

Fantaszyko NAJLEPSZE KSIĄŻKI NA ŚWIECIE
PRAWDOPODOBNIĘ



WILCZY MIOT

A. S. SWANN

Mojej żonie Michelle
wytrzymanie ze mną
i z tą książką

PODZIĘKOWANIA

Tego typu książka wymaga mnóstwa badań i choć nie mogę podać każdego źródła, chciałbym wspomnieć o książce „Krucjaty północne” Erica Christiansena, stanowiącej prawdopodobnie najlepsze z dostępnych w języku angielskim źródeł dotyczących tego okresu. Chciałbym również wspomnieć stronę internetową The ORB: On-Line Reference Book for Medieval Studies (Literatura źródłowa do badań nad średniowieczem, <http://the-orb.net>), która umożliwiła mi dotarcie do przetłumaczonych tekstów źródłowych, włącznie z zasadami i statutami zakonu krzyżackiego. Serwis Google Books stanowił dużą pomoc w wyszukiwaniu różnych niedostępnych już w sprzedaży źródeł z dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku, włącznie z „The History of Prussia” (t. I i II) autorstwa kapitana W.J. Wyatta oraz „Die altpreußischen Personennamen” autorstwa Reinholda Trautmanna. Chciałbym również podziękować mojej grupie krytycznej, Cajun Sushi Hamsters, której członkowie czytali części książki, zanim zyskała właściwe tło. Dziękuję mojej agentce Eleanor za reprezentowanie i podsuniecie mi garści dobrych sugestii, oraz mojemu wydawcy, Anne, za kupienie tego i kolejną garść dobrych rad.

Na końcu to, co najważniejsze - chciałbym wyrazić uznanie Lynn Okamoto, autorce mangi & anime „Elfen Lied”, która stanowiła inspirację tej powieści.

PRELUDIUM

Anno Domini 1221

W najciemniejszych lasach Burzenlandu, na południe od Karpat, rycerz Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, brat Semyon von Kassel, pędził, jakby ścigał samego diabła.

Kolczugę miał umazaną błotem, skórę pociemniałą od sadzy, twarz umazaną krwią. Krwawił z ust, gdy wciąż na nowo odmawiał Pater Noster. Pusta pochwa miecza objęła mu się o biodro, a w dłoni zaciskał lśniący sztylet, zbyt bogato zdobiony jak na członka jego zakonu.

Przepatrywał ciemny las szeroko otwartymi, lśniącymi oczami o kamiennym spojrzeniu.

Trop, za którym podążał, wytyczały szerokie ślady na gliniastym dnie lasu. Miejscami drzewa lub porzucony kawałek zbroi znaczyły podobne do smoły ślady krwi. Mijał hełmy, rękawice, buty swoich braci rycerzy - wszystko znaczone krwią i strzępami ciała czy kępami włosów.

Od kiedy wypalił szacunek dla Boga w pogańskim kapłanie, który pozostawił po sobie ten bogaty sztylet, natknął się na szczątki pół tuzina poległych braci. Modlił się, by usta poddawane straszliwej karze poganina mówiły wyłącznie prawdę.

Tropiona przez niego bestia nie próbowała ukryć swoich śladów. Czemu miałyby to robić? Jaki głupiec odważyłby się wejść w te lasy jej śladem i zaatakować stworzenie, które polowało na ludzi tak, jak oni polowali na króliki?

Zabiła jedenastu rycerzy. Jedenastu ludzi uzbrojonych w miecze i łaskę Boga, jedenastu, którzy mogli być tuzinem, gdyby komtur nie odesłał Semyona, by samotnie medytował nad swoimi grzechami.

Poległy komtur udzielił mu nagany za okazanie skłonności do okrucieństwa. Teraz brat Semyon wiedział, że kierowała nim ręka Boga, ponieważ dzięki medytacji nad swoim okrucieństwem uniknął okrutnego losu współbraci.

Opuścił obóz wymordowanych rycerzy zakonnych i wytropił kapłana pogańskiej wiary która skaziła tę okolicę. Kapłan zginął we własnym świętym ogniu, ale najpierw opowiedział Semyonowi o bestii, która pokonała jego braci zakonnych.

Krzyżak ponownie się pomodlił, by ostatnie słowa cierpiącego poganina były prawdą.

Przeszedł nad powalonym drzewem. Zaczepiły o niego gałęzie szare niczym kości, zgrzytając po kolczudze i drapiąc odsłoniętą skórę. Za powalonym drzewem zobaczył polankę szeroką na pięćdziesiąt kroków.

Z drugiej strony polanki, naprzeciw leżącego pnia, w podstawie sterczącego z dna lasu skalistego wzniesienie otwierała się ciemna jama. Pod nią Semyon zobaczył na wpół zakopaną w stercie liści ludzką czaszkę.

Ścisnął rękojeść sztyletu tak mocno, że rozboleły go knykcie.

Przez polankę poniosło się potężne warczenie i w jednej chwili z drzew wokół zerwały się wszystkie ptaki, uderzeniami tysięcy skrzydeł tłumiąc warkot bestii. Semyon zebrał się w sobie i wbił wzrok w otchłań tunelu. Zobaczył błysk pary oczu...

Z jamy wystrzeliła koszmarna masa czarnego futra i mięśni. Potwór przypominał wilka, ale i człowieka. Jego przednie łapy kończyły się czymś w rodzaju zniekształconych dłoni i poruszały się prawie wyprostowane. Skoczył na rycerza z kłami wyszczerzonymi w pełnej śliny wilczej paszczy i prawie ludzkimi oczami przepelnionymi nienawiścią.

Semyon poczuł, jak ręka Boga kieruje jego dłonią, gdy unosił w górę ceremonialny sztylet pogańskiego kapłana. Srebrna klinga zatopiła się w gardzieli stwora, a Semyon pociągnął nią w poprzek, rozrywając tchawicę, ścięgna i tętnice. Jego twarz i rękę zalała gorąca krew.

Przez chwilę przyglądali się sobie: zakonny rycerz i demoniczny wilk. Semyon miał wrażenie, że w nazbyt ludzkich oczach potwora dostrzegł zaskoczenie. Stwór zadygotał, puszczając nową falę spienionej krwi z rozciętego gardła.

Padł na bok, znieruchomiał.

Brat Semyon von Kassel, ostatni ocalały ze swojego konwentu, przeżył ponownie. Teraz nie wątpił w Bożą opatrzność.

Nawet gdy usłyszał dochodzący z ciemnej dziury leża martwego stwora płacz ludzkiego niemowlęcia.

JUTRZNIA

Anno Domini 1239

Os iusti meditabitur sapientiam,
et lingua eius loquetur iudicium.

Usta sprawiedliwego gloszą mądrość
i język jego mówi to, co słuszne.

Psalm 37:30

I

- Proszę...!

Manfried Hartmann usiłował zignorować głos dochodzący zza ciężkich dębowych drzwi. Stał na baczność z drugiej strony korytarza, drząc lekko. Nawet w bluzie i kolczudze było mu zimno w tym wilgotnym lochu.

Jeszcze bardziej mroziła go żalosna słabość w dochodzącym ze strzeżonej przez niego celi kobiecym głose.

Trudno było nie odbierać postawienia go tu na straży inaczej jak służby karnej. Być może, w bardziej życzliwym nastroju, mógłby myśleć o niej jak o formie umartwiania się, które krzyżaccy panowie przydzielali mu, by przez pracę i posłuszeństwo oczyścić jego duszę. Mimo słów sierżanta na temat „więźniów o szczególnym znaczeniu” Manfried nie potrafił dostrzec w tym niczego szczególnie wzniosłego. Z pewnością w tym lochu wcale nie czuł się bliżej Boga.

Z długiego i bolesnego doświadczenia wiedział, że gdyby zaczął rozmowę o tym z jednym z kapłanów, albo - Panie, uchowaj - którymś z rycerzy zakonu, uzyskana odpowiedź obejmowałaby nakaz modlitwy, pokuty i wielogodzinnych rozważań cierpienia Pana na krzyżu.

Jednak, na Boga, gdyby chciał odmówić tak wiele pacierzy, zostałby w Lubece i wstąpił do klasztoru.

Wcale nie znaczyło to, że spędził tu pięć nocy jak poganin, odwrócony plecami do Boga. Jednak oczekiwanie od żołnierza, że całą noc, od komplety do jutrzni, spędzi na cichej kontemplacji Chrystusa, było liczeniem na zbyt wiele.

Zwłaszcza wobec nieustannie błagającego go głosu młodej kobiety. A z powodu opiekuna kobiety - dowodzącego baliwatem zakonu krzyżackiego komtura krajowego Erharda von Stendala - który zakazał rozmawiać, a nawet patrzeć na więźnia, nuda doprowadzała go do szaleństwa.

- Panie! Choć słowo! Odrobina wody!

Może rycerze zakonu uważali, że ich żołnierze będą bardziej bać się piekła, jeśli najpierw zakosztują jego smaku.

Manfried wcale nie po to wybrał się do tej krainy. Był trzecim synem pomniejszego

szlachcica, i to niezbyt zamożnego, jego jedynym atutem była umiejętność walki. Przybył w dzikie rejony Prus jako żołnierz chrześcijaństwa, by bronić Kościoła i zdobyć dla niego nowe ziemie oraz wyznawców.

Powiedział matce, że wyrusza w świat, by przynieść chwałę rodowemu nazwisku i zdobyć w nowo ochrzczonych ziemiach Prus własne ziemie. Nie spodziewał się, że jego kruczata może skończyć się w wilgotnym lochu, na wdychaniu smrodu nieczystości i pleśni oraz wysłuchiwanie odbijających się echem błagań jakiejś poganki. Jednakże z łaski Pana oto stał tu, w głębinach stołu twierdzy strzegącej miasta, które od ośmiu lat uznawało krzyż, pilnując kobiety, która ledwie miała dość sił, by mówić.

Zastanawiał się, czym tak bardzo obraził Boga, by zasłużyć na tak podły los.

- Panie...

Teraz jej głos był słabszy.

Pozostawiono go tutaj, zgrzytającego zębami pod dowództwem pruskich neofitów, którzy obsadzili twierdzę, lecz miał dość rozsądku, by zachować posłuszeństwo. Choć nie złożył ślubów zakonu i zwolniony był - w świetle prawa, jeśli nie zwyczaju - od więzów czystości i ubóstwa, mimo wszystko obowiązywała go zasada posłuszeństwa. Od każdego, kto służył zakonowi, oczekiwano przysięgi lennej, niezależnie od tego, czy był to kapłan, czy duchowny, sługa czy niewolnik, osoba duchowna czy świecka.

Rozkazano mu nie rozmawiać z więźniem i nie zbliżać się do drzwi, a powody tego rozkazu to nie jego sprawa.

Nie wiedział o uwięzionej kobiecie nic poza plotkami i tak naprawdę znał jedynie jej głos. Nigdy nie widział, by ktoś inny zbliżał się do drzwi celi, by dopilnować nakarmienia uwięzionej kobiety lub ją przepytać. Po prostu zastępował jednego wartownika przy komplecie, a inny zajmował jego miejsce podczas jutrzni.

Jej głos brzmiał młodo, ni to dziewczęco, ni to kobieco. Był również boleśnie suchy, chrapliwy i z każdym dniem coraz cichszy.

Manfried pomyślał o swojej siostrze, ledwie dwa lata młodszej od niego. Uwięziona kobieta pewnie jest w jej wieku...

Ta myśl - porównanie nieznannej, bezimiennej kobiety do młodszej siostry - sprawiła, że poczuł w duszy obrzydliwy ciężar.

Za co ją tu zamknięto? Może ma brata?

Takie traktowanie wydawało się czymś przesadnym, nawet jak na pogankę. Jeśli kobieta nie przyjęła chrztu, powinno się ją obdarzyć śmiercią lub sprzedać do jakiegoś majątku, gdzie mogła się zająć jakąś użyteczną pracą. Porzucenie jej tutaj zdawało się okrutne i bezcelowe.

Oczywiście, krążyły plotki. Choć zakon niechętnie traktował plotkarstwo, niektóre grzechy były zbyt drobne, by usprawiedliwić wysiłek związany z ich wyrugowaniem.

Manfried słyszał plotki opowiadane przez kilku ludzi twierdzących, że rozmawiali z członkami świty komtura krajowego Erharda. Przełożony prowincji w drodze do Bałgi zatrzymał się w ufortyfikowanym Johannisburgu¹, by zostawić tę kobietę pod opieką garnizonu twierdzy. Wszyscy zgadzali się co do tego, że Erhard wbrew swej woli miał dołączyć do oddziałów szykujących się do wiosennego natarcia na północne, dzikie rejony Warmii.

Mówiono też, że komtur krajowy Erhard został wezwany z powrotem do Marienwerder² na spotkanie z mistrzem krajowym Prus.

Co do pozostawionej przez niego dziewczyny istniało wiele teorii. Wielu uważało, że jest barbarzyńską księżniczką, zabraną jako zakładniczka, by zmusić do przyjęcia chrztu pogańskiego księcia czy wodza. Inni sądzili, że została zabrana w charakterze łapówki, by zachęcić jakieś plemię do działań przeciwko innemu, ponieważ pogańskie plemiona, w przeciwieństwie do niewiernych na Ziemi Świętej, toczyły ze sobą wojny równie zażarte jak przeciwko chrześcijanom. Jeszcze inni twierdzili, że jest nagrodą dla jakiegoś wielkiego rycerza, który podarował zakonowi ziemię albo ludzi.

Wydany przez Erharda rozkaz, by nie rozmawiać ani nie zbliżać się do dziewczyny, wzbudził inne plotki: rzekomo miała być tak piękna, że każdy, kto na nią spojrzy, zostanie natychmiast uwiedziony i zmuszony do służenia jej, lub też jest tak szkaradna, że jedno jej spojrzenie może zabić męża. Mogła też być dość bogata, by próbować przekupić strażników.

Manfried pomyślał, że komtur krajowy Erhard miał wiele trosk. Rycerze zakonu przejmowali się cnotą swoich sług niemal równie mocno jak własną i choć nie zmuszali świeckich żołnierzy do naśladowania braci i spania w nieustannie oświetlonych, wspólnych salach - co miało uniemożliwić ukrycie grzechu - to bacznie pilnowali ich zachowania.

Wielu ludzi obsadzających ten garnizon było neofitami, wyznającymi chrześcijaństwo zaledwie od kilku lat i zapewne bardzo chętnie przyjęliby - bądź wzięli siłą - tego rodzaju niestosowne usługi.

Tacy ludzie bardzo źle znosili nudę.

Manfried zbeształ się w duchu za tego rodzaju myśli. Ta kobieta była jakąś poganką, służącą albo niewolnicą, nieochrzczonej i niegodną uwagi.

¹ Obecnie Pisz - przyp. tłum.

² Obecnie Malbork - przyp. tłum.

Tego rodzaju rozważania zwiększały tylko jego niepokój. Wzbudzenie w sobie sympatii do pilnowanego więźnia było podobne do okazania łaski na polu bitwy. On, żołnierz, ma obowiązki. Przybył tu, by służyć Bogu i zakonowi.

Jednak tu, w lochu, wcale nie czuł się blisko Boga. Mógł być bezlitosny w słusznym gniewie, mając przed sobą pogańską armię, która mordowała kapłanów i paliła kościoły... ale jedna dziewczyna?

Wyszeptał Pater Noster, prosząc o siłę ducha.

Gdy skończył, ostatnie słowa modlitwy, *sed libera nos a Malo*, utonęły w nieruchomym, cuchnącym powietrzu. Zapadła cisza.

Cisza nie ustępowała.

- Co? - wyszeptał, zamiast „amen”.

Nie było odpowiedzi. Zza okutych metalem dębowych drzwi, do których nie wolno było mu się zbliżać, nie rozległo się nawet łkanie.

Jego niepokój narastał. Nikt nie powiedział mu, jakie zbrodnie mogła popełnić pilnowana przez niego kobieta ani czemu jest taka ważna. Powiedziano mu jedynie, że według komtura krajowego Erharda i pruskiego sierżanta było to najważniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek pełnił.

Nadal się nie odzywała.

Przez cztery noce jej głos rozbrzmiewał nieustannie, towarzyszył mu, odbijał się echem od wilgotnych, mokrych kamieni, błagał o wodę, pytał go o imię, czasem śpiewał cicho. Czasem po niemiecku, czasem po prusku, wiecznie bez odpowiedzi, ale dziewczyna ciągle mówiła.

Ciągle.

Przyszło mu do głowy, że jeśli tu umarła, jego okropne, nużące zadanie skończy się i znajdą mu wreszcie coś innego do roboty. Ta myśl i towarzyszący jej przeblýsk okrutnego optymizmu sprawiły, że jeszcze silniej odczuł wstrętny osad na duszy.

Jak strasznie byłoby umrzeć w takim miejscu!

Minęło kilka długich minut ciszy, zanim złamał swój pierwszy rozkaz.

- Halo? - zawołał po prusku. Oprócz kilku słów nie znał tego języka, zapytał więc po niemiecku: - Dobrze się czujesz?

Co za nedorzeczne pytanie, pomyślał, gdy nie uzyskał na nie odpowiedzi. On wcale się nie czuł dobrze, a przecież był strażnikiem.

Jednak co będzie, jeśli coś stało się więźniarce? Jeśli była tak ważna, czy nie powinien czegoś zrobić?

W zasięgu ręki miał sznur alarmowy. Gdyby go pociągnął, poruszyłby dzwon w strażnicy. I to właśnie powinien zrobić. Powinien zadzwonić na alarm.

A jeśli kobieta tylko śpi?

Barbarzyńscy towarzysze i tak patrzyli na Manfreda z góry - jego niemiecka krew nie była dobrze widziana wśród prawie pogańskiej społeczności garnizonu. Jego służba już była nieprzyjemna. Naprawdę miałby dawać im faktyczny powód do pogardy? To byłoby czymś potwornym.

A niesłuszne dzwonienie na alarm byłoby nie tylko zawstydzające, mogłoby doprowadzić do nagany. Taki błąd mógł nie mieć związku z jego duszą, ale Krzyżacy stali się najlepszą w całym chrześcijańskim świecie organizacją wojskową, nie dzięki tolerowaniu tego rodzaju błędów, niezależnie od stojących za nimi dobrych intencji. Mógł stracić szansę służenia jako pełnoprawny żołnierz i długo pokutować na stanowisku strażnika więziennego.

Z drugiej strony, jeśli coś rzeczywiście się stało, to i tak mógł go czekać podobny los. Znał świat na tyle, by wiedzieć, że gdy zdarza się coś niefortunnego, stwierdzenie, że wypełniało się rozkazy, nie chroni przed pociągnięciem do odpowiedzialności.

Słyszał dobiegające z głębokiego mroku kapanie wody, niewiele głośniejsze od własnego oddechu. Cisza była aż ciężka.

Musiał się dowiedzieć, co dzieje się w celi.

Złamał więc zakaz.

Cela znajdowała się na końcu korytarza, w cieniach wąskiego podziemia, gdzie prawie nie sięgało migotliwe światło latarni. Drzwi wykonano z dębu wzmocnionego żelazem. W całym stołpie solidniejsze były tylko główne wrota.

Stanowisko wartownika oświetlały dwie latarnie. Manfred zdjął jedną z mosiężnego haka i ruszył sklepionym korytarzem. Żelazne okucia drzwi zbrązowiły od rdzy, ćwieki miały główki wielkości jajek. Na wysokości oczu umieszczono mały, żelazny judasz. Płaski pas metalu opierał się próbom odsunięcia, zgrzytając metalicznie w sposób, od którego Manfreda rozboleły zęby. Płatki rdzy ubrudziły mu dłonie, nadając im wygląd jak od jakiejś bagiennej choroby.

Czy nikt tego w ogóle nie używa?

Popatrzył przez prostokątne zakratowane okienko szerokie zaledwie na dwie dłonie. Cella była pogrążona w mroku.

- Halo? - zawołał w ciemność, najpierw po prusku, potem po niemiecku.

- Proszę, pomóż - przemówiła ledwie słyszalnie po niemiecku.

Manfried uniósł latarnię, otworzył zasłonę najszerzej, jak potrafił, i przystawił światło do

otworu, usiłując rozjaśnić celę po drugiej stronie drzwi.

Patrzył do środka przez dłuższą chwilę.

- Słodki Jezu! - wyszeptał.

W nieczystościach niestosownych nawet dla rzeźni leżała twarzą w dół młoda kobieta. Była naga, z gładką białą skórą pokrytą wstrętnym brudem, z długimi włosami, kiedyś pięknymi, teraz zlepionymi w strąki przez zaschnięte paskudztwa.

Manfried uznał, że może mieć siedemnaście, najwyżej osiemnaście lat. Tyle co jego siostra.

Poruszyła się, uniosła twarz do światła.

- Proszę, odrobinę wody.

Patrząca na niego spod brudu twarz była gładka, niepobrużdżona czasem ani pracą.

Ta dziewczyna musiała być szlachetnie urodzona. Świadczyły o tym jej gładkie dłonie i twarz. Nawet jego siostra, dobrze wydana za męża, miała dłonie twarde od pracy, której wymagało utrzymanie małego domu nie dość bogatego, by posiadać służbę.

- Oni ci niczego nie dali? - Manfred wymamrotał bardziej do siebie niż do więźniarki. Wyglądało na to, że dziewczyna go nie słyszy. Miała nieobecne spojrzenie, a w intensywnie zielonych oczach pustkę.

Lewą nogę trzymała z tyłu, a jej kostka była usmarowana krwią i rdzą w miejscu, gdzie kajdany otarły ją do żywego ciała. Krwi było mnóstwo. I smrodu. Stopa nabrzmiała od infekcji leżała pod dziwnym kątem. Pewnie z powodu złamanej kości.

Zaszokowany Manfred nie uświadomił sobie, że nie słyszał, by dziewczyna krzyczała z bólu.

- Na Boga - szepnął - czy zakon nie ma w nazwie Szpitala Najświętszej Marii Panny? Nawet nieskruszonego poganina nie powinno się pozostawić z ranami bez pomocy.

Metalowa obejma na nodze połączona była z żelaznym łańcuchem, który wyglądał, jakby stworzono go z myślą o dźwiganiu zwodzonego mostu twierdzy, a nie zatrzymania dziewczyny. Pomimo wagi łańcuch był napięty, prowadząc do potężnej kłamry wbitej w podłogę celi. Samo potknięcie się przy tej masie mogło wystarczyć do złamania nogi. Sądząc po wyglądzie rany i osłabieniu więźniarki, musiało to nastąpić kilka dni temu.

Manfried uważał się za twardego, nigdy nie krzywił się z powodu bólu czy krwi, nie przerażały go donośne krzyki bojowe. Ale to?

Tak nie traktuje się kobiety.

W końcu byli chrześcijanami, powinni być lepsi od wyznawców bożków, lepsi od ludzi poświęcających swoje kobiety i niemowlęta demonicznym bogom, lepsi od ludzi żerujących

na słabszych, poganach i chrześcijanach, by cieszyć się ich cierpieniem.

Teraz jednak przed oczyma nie miał dzieła chrześcijanina.

Nie potrafił nazwać czegoś tak potwornego, jednak był pewien, że dokonali tego ci na wpół pogańscy Prusacy. Jego pogarda dla nich przerodziła się w nienawiść.

- Przyniosę ci trochę wody.

Manfried zapomniał o rozkazach. Był żołnierzem zakonu krzyżackiego, ale był też człowiekiem.

II

Sierżanta Güntera Sejoda, dowodzącego garnizonem Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie w Johannisburgu, obudziło bicie dzwonu. Potrzebował chwili, by zrozumieć, co się dzieje.

Więżniarka!

Żołnierze w koszarach już zaczęli się podnosić, gdy Günter zerwał się z miejsca i pobiegł, omijając prycze. W duchu równocześnie modlił się do Jezusa Chrystusa i starego boga Perkuna. Błagał obu, by nie były to drzwi celi, by dzwonienie wynikało tylko z jakiejś mechanicznej usterki. Może szczur zaczął gryźć linę dzwonu, a może została przypadkowo pociągnięta przez podwładnego ze słabym pęcherzem, który nie potrafił powstrzymać się do jutrzni.

- Nie! - wyszeptał Günter, wybiegając przez drzwi.

Po drugiej stronie korytarza w ścianie znajdowała się nisza, przez którą przebiegało kilka lin; pociągnięcie tej ogłaszało powszechny alarm, tamtej wzywało na komplecę, a tej z kolei obwieszczało otwarcie drzwi celi na najniższym poziomie lochów.

Ta ostatnia lina wciąż się poruszała, szarpana w górę i w dół, powodując nierówne dzwonienie w górze.

To nie był przypadek ani podgryzanie przez szczura.

Ktoś złamał srebrne pieczęcie komtura krajowego Erharda i zaczął otwierać drzwi. Günter chwycił linę i zadzwonił na alarm.

Jezu Chryste, ojcze Perkunie, miejcie dla nas litość...

Miał wrażenie, że jak zwykle modli się do głuchych bogów.

* * *

Drzwi były bardzo ciężkie. Manfred musiał zaprzeć się całym ciałem. Dopiero po kilku minutach rozchylił je na tyle, że możliwe stało się przejście i wpuszczenie odrobiny światła.

Postawił latarnię tuż za progiem - miał dość rozsądku, by nie zabierać pojemnika z płonącym olejem w zasięg rąk więźniarki, mimo że była tak słaba. Kierując się tą samą logiką, odłożył swój miecz, klucze i bogato zdobiony srebrny sztylet, wręczony mu przez sierżanta w imieniu komtura krajowego Erharda.

Sztylet z wygrawerowanymi słowami łacińskich psalmów był niepokojąco kosztowny. Manfred wiedział, że stacjonujący tu żołnierze, bracia w okresie próbnym, pragnący naśladować wojowniczych mnichów zakonu, niepokoił się, otrzymując tak wyszukaną broń.

Nic go nie obchodziły eleganckie zdobienia ani cenny metal, bardziej martwił fakt, że srebro to kiepski materiał na broń. Gdyby spodziewał się brać udział w jakiejś walce, może przejąłby się tym na tyle, by poruszyć tę sprawę z sierżantem, jednak wydawało się to tak mało prawdopodobne, że równie dobrze mogliby go uzbroić w kiełbasę.

Bez lampy, sztyletu i miecza - do celi zamierzał wnieść tylko cynowy kubek z wodą.

Po otwarciu drzwi na dostateczną szerokość schylił się po kubek. Wtedy zobaczył, czemu tak trudno było mu przesunąć drzwi. Coś tam utknęło, zostało przeciągnięte po kamieniach, pozostawiając jasnoszary ślad. Musiał to być jakiś miękki metal, może ołów.

- Proszę...!

Dziewczyna odezwała się nieco mocniejszym głosem. Patrzyła na niego lśnięcymi zielonymi oczami i dostrzegł, że pod pokrywającym ją brudem jest całkiem ładna. Łzy wymyły na jej policzkach ślady czystej bieli i gdy się dźwignęła, złożyła ręce, zasłaniając nimi nagie piersi.

Manfried pomyślał, że ona pewnie się go boi. Mogła uważać, że przyszedł tu, by ją wykorzystać.

Wyciągnął w jej stronę kubek.

- Przyniosłem ci trochę wody.

Pociągnęła nosem, jakby się obawiała, że zaprawił wodę czymś szkodliwym. Ale potem się uśmiechnęła. Miała drobne i równe białe zęby - pewny znak szlachetnego urodzenia.

- Dziękuję - szepnęła, wyciągając rękę.

Musiał zrobić kilka kroków w jej stronę, ponieważ łańcuch nie pozwoliłby jej sięgnąć tak daleko. Właściwie to gdy się poruszyła, złamana noga pozostała bezwładna. Skrzywił się, choć dziewczyna nie okazała bólu.

Kiedy podszedł, ujęła jego dłoń. Radość, którą zobaczył w jej uśmiechu, była olśniewająca.

- Manfred! Na wszystkie świętości, uciekaj z tej celi!

Słyszając głos sierżanta Güntera, Manfred poczuł potężną falę wściekłości. Odwrócił się, wciąż trzymany za rękę przez dziewczynę.

- Ty poganinie! Tak traktować kobietę...

Wściekłość przerodziła się w zmieszanie, gdy zobaczył w korytarzu za drzwiami sześciu żołnierzy w kolczugach i hełmach, z bronią w rękach. Żołnierze tłoczyli się z niepewnym

wyrazem twarzy, jakby nie bardzo wiedzieli, po co ich tu ściągnięto. Jednak w oczach sierżanta zobaczył coś, czego się nie spodziewał.

Strach.

Dziewczyna mocniej ścisnęła jego rękę, tuż powyżej nadgarstka. Puścił kubek i spojrzał w dół. Pociągnęła go do siebie, jakby chciała coś powiedzieć. Położyła drugą dłoń na jego piersi i znowu uśmiechnęła się do niego.

- Manfred, uciekaj stamtąd na...

Dłoń na piersi pchnęła go i Manfred poczuł nagły, wstrząsający ból. Padając, sięgnął do swej ręki...

Ale poczuł tylko pusty rękaw kolczugi.

Kobieta stała obok. Odrzuciła jego oderwaną prawą rękę.

Manfried czuł, że życie z niego wycieka przez ranę w barku. Niewyraźnie usłyszał, jak Günter wrzeszczy na swoich ludzi, potem dobiegły go stękania i zgrzyt metalu.

Nic nie rozumiejąc, wbił wzrok w więźniarkę.

Pod jej bladą skórą poruszały się mięśnie niczym liny, ciało pociemniało. Dłonie wykrciły się, paznokcie zakrzywiły w szpony. Twarz ze ślicznym uśmiechem rozciągnęła się w obrośnięty rudym futrem pysk.

Jednak wilczy demon cały czas patrzył na niego tymi samymi oczami.

- Ja tylko... - wydusił z siebie.

Uderzyła łapą, pozbawiając go świadomości.

* * *

- Zamknąć drzwi! - wrzasnął Günter. - Zamknąć te cholerne drzwi!

Trzech ludzi naparło na dębowe drzwi, próbując je zatrzaskać. Dołączył do nich czwarty i metal zaskrzeczał o srebrne pieczęcie wbite pod dolną krawędź belek. Drzwi poruszyły się na grubość palca. Potem znowu.

Stworzenie w celi obróciło się w ich stronę i przez chwilę wydawało się, że potworna twarz się do nich uśmiecha. Istota pokryta czerwonym futrem stała na środku celi, pochylona nad ciałem powalonego Manfrieda.

- Nie panikować! - Günter krzyknął głosem, w którym pobrzmiwała panika. - Ten łańcuch jest zbyt mocny, by zdołała go zerwać. Nie sięgnie nas. - Mówił bardziej z nadzieją niż z przekonaniem. Kajdany na nodze stworzenia wykonano z czystego srebra, które miało uniemożliwić dziewczynie stanie się tym... czymś.

Pół człowiek, pół wilk. Kończyny miała długie i umięśnione, nawet przykurczona i

częściowo pochylona, wzrostem dorównywała roslemu mężczyźnie. Jej łapy były prawie ludzkie, kończąc się wielkimi, nieludzkimi dłońmi o zgiętych palcach zwieńczonych zakrzywionymi czarnymi szponami. Wilcze szczęki mogły bez trudu zmiażdżyć ludzki kark.

Stworzenie dyszało, patrząc na niego z językiem zwisającym z paszczy.

Günter przyłączył się do próby zaparcia drzwi. Drgnęły nieznacznie.

Nawet bez nienaruszonych srebrnych pieczęci zamknięcie drzwi powinno wystarczyć do powstrzymania potwora. Były zbyt ciężkie, nawet przy sile tej...

- Sierzancie! - krzyknął jeden z jego ludzi.

- Jesteście dziećmi? Mówiłem wam! Łańcuch...

Kątem oka zauważył, że stworzenie zrobiło chwiejny krok do przodu, przekraczając ciało Manfreda.

Nieosiągalne! - przemknęło mu przez myśl. Opaska kajdan zrobiona jest z czystego srebra. A łańcuch jest zbyt ciężki, zbyt mocny. Nie mogła zerwać...

Nie zerwała.

Teraz Günter zauważył coś, czego nie dostrzegł wcześniej. Na podłodze, przykuta do ściany najcięższym łańcuchem, jaki zdołali wykonać niemieccy kowale, owinięta wzmocnionym żelazem srebrnym pierścieniem leżała oderwana nad kostką, gnijąca dziewczęca stopa.

Drzwi otwarły się z hukiem, wrywając się znad pieczęci wciśniętej klinem pod ich dolną krawędź, odrzucając Güntera. Któryś z jego ludzi krzyknął, gdy dębowe belki przygniotły mu rękę do ściany.

Bestia stała w wyjściu, nieco przekrzywiona, ponieważ jedna z pokrytych czerwonym futrem nóg kończyła się krwawym kikutem. Günter widział, że noga się wydłuża.

- Srebro! - wrzasnął do swoich ludzi. - Użyjcie srebrnej broni!

Jacob poprowadził trzech ludzi, przeskakując nad Günterem, by sięgnąć bestii. Wszyscy trzej byli młodzi i mieli dość ikry, by szturmować bramy samego piekła.

A biorąc pod uwagę sposób, w jaki wrzeszczeli teraz do Boga i niebios, całkiem możliwe, że spodziewali się to właśnie w tej chwili robić.

Jacob pierwszy dotarł do bestii i mimo ciasnoty przyjął idealną postawę bojową. Ciął mieczem w tułów. Siła ciosu powaliłaby na kolana opancerzonego przeciwnika. Ostrze wbiło się głęboko w pokrytą rudym futrem klatkę piersiową i rozcięło płuco.

Jednak klingi nie wykonano ze srebra.

- Cholerny Erhard! - zaklął Günter. - Niech go za to piekło pochłonie!

Pośród wrzasków i modlitw rozbrzmiewających echem w kamiennym korytarzu nikt nie

usłyszał jego przekleństwa.

Potwora pozostawił im pod opieką komtur krajowy Erhard von Stendal. Zapewnił Güntera, że nie grozi im żadne poważne niebezpieczeństwo, bo srebrne kajdany i srebrna pieczęć na drzwiach uwiężą stworzenie. Dodał, że srebrne sztylety, którymi obdarzył garnizon, oraz zamknięte w zbrojowni bełty ze srebrnymi grotami na pewno się nie przydadzą.

Nie było powodu, by obciążać ludzi, zwłaszcza świeżo po chrzcie, wiedzą o naturze więźnia. Pokryte srebrem miecze i topory wzbudziłyby zbyt wiele pytań, poza problemem niestosownego luksusu i rozrzutności.

Jacob roześmiał się głośno, najwyraźniej przekonany, że zadał bestii śmiertelny cios. Krew płynęła po ostrzu, pieniać się w ranie w rytm dyszenia stwora.

- Sztylet - rozkazał Günter, choć uświadomił sobie, że Jacob nie ma srebrnej broni przy sobie. Ten pobożny idiota nie potrafił zaakceptować noszenia u pasa tak niestosownego bogactwa.

Günter podniósł się z ziemi i sięgnął po własny sztylet. Ruszył, by ocalić dumia, który nawet nie zdawał sobie sprawy, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jacob obrócił się do niego z rozbawionym wyrazem twarzy.

- Sierzancie, spokojnie! Ja to...

Jego cios powaliłby każde stworzenie, ale nie to. Bestia została tylko na chwilę zatrzymana, jednak gdy się ruszyła, nie okazała ani śladu bólu.

Wyrwała broń z ręki Jacoba, wyciągnęła ją ze swojego boku i wbiła rękojeścią w twarz żołnierza z taką siłą, że zabiła go na miejscu. Rzuciła martwe ciało Jacoba przez szereg postępujących żołnierzy, wprost na Güntera.

Sierżant znowu padł na ziemię, uderzając hełmem o kamienną podłogę.

Wokół siebie usłyszał krzyki, modlitwy i dźwięki rozrywanego ciała. Mdlilo go od zapachu krwi, gdy przez całą wieczność spychał z siebie ciało Jacoba. Wreszcie wstał i unosząc sztylet, zrobił krok do tyłu.

Oprócz niego przy życiu pozostał już tylko łkający cicho żołnierz Prus, wciąż uwięziony przy ścianie z ręką złamaną przez dębowe drzwi. Ciała pozostałych pięciu leżały rozszarpane.

Stworzenie dyszało głośno, kulejąc, szło korytarzem w stronę Güntera. Przednie łapy i paszczę miało umazane krwią, która w świetle lamp błyszczała na czarno. Sierżant miał wrażenie, że widzi utkwione między zębami stwora strzępy ludzkiego ciała.

Bestia patrzyła na niego bezdennymi zielonymi oczami.

Günter cofnął się pod ścianę, trzymając między sobą a potworem srebrny sztylet i modląc

się do Chrystusa i Perkuna, by pozwolili mu przynajmniej na godną śmierć.

Bogowie znowu odmówili wysłuchiwania modlitw. Bestia warknęła, odsłaniając zęby - a może uśmiechnęła się na widok ostrza w trzęsącej się dłoni. Potem przygarbiła się i przemknęła obok niego na trzech łapach.

Pognała w stronę schodów.

III

Oytim schodził po wąskich spiralnych schodach. Niósł trzy kusze oraz płócienny worek z - aż trudno uwierzyć - bełtami o srebrnych grotach. Broń leżała w zamkniętej skrzyni w zbrojowni. Przed chwilą dzwony zaczęły walić na alarm, wyrwały go ze snu. Sierżant Günter dał mu klucz i rozkazał przynieść zawartość skrzyni, a sam poprowadził wszystkich pozostałych żołnierzy skoszarowanych w zamku, do magazynów na dolnym poziomie, gdzie trzymano więźnia.

Gdy Oytim wyciągnął broń ze skrzyni, dzwony przestały wreszcie hałasować. Zbiegał po schodach najszybciej, jak potrafił, ale nie poruszał się zbyt prędko z powodu nieporęcznej broni i utrudniającego ruchu worka. Jego myśli zaprzętały dwa pytania:

Pierwsze - co się stało? Nie mogło chodzić o ucieczkę więźnia. Przecież to kobieta.

A drugie...

Srebrne bełty?

To naprawdę wzbudziło w nim strach. Choć wykonano je ze srebra, w niczym innym nie przypominały ozdobnych sztyletów wręczonych im przez komtura krajowego Erharda von Stendala. Nie było w nich nic eleganckiego ani ceremonialnego. Miały czysto użytkową formę, wyróżniały się jedynie cennym metalem tworzącym grot.

Ale po co? Srebro jest miękkie, nie przebije nawet lekkiej zbroi. Nie było sensu robić z takiego materiału prawdziwej broni, chyba że...

Oytim pochodził z małej wioski w głębi Prus, na obrzeżach dzikiej głuszy, gdzie nawet rycerze zakonu poruszali się bardzo ostrożnie. Jako dziecko słuchał opowieści dziadków o istotach żyjących w dżicy, wciąż zamieszkujących święte gaje. Istotach, które polowały na ludzi porzucających starych bogów. Istotach, które można było zranić jedynie bronią ze szczego srebra.

Nie, to były tylko bajki. Pozostałości starej, odrzuconej przez niego wiary. Teraz był chrześcijaninem i wiedział, że duchy lasu to bajki, złudzenia stworzone przez szatana, który nie ma władzy nad prawdziwie wierzącymi w Chrystusa.

Zresztą tutaj byli bardzo daleko od tamtych lasów. Nawet gdyby stworzenia z dawnych opowieści naprawdę czaiły się w mrokach tamtych borów, nie byłoby ich tutaj, w tej twierdzy, w samym sercu chrześcijańskich Prus.

Na dole zakrzywionej, pozbawionej okien klatki schodowej Oytim wypadł przez zwieńczone łukiem drzwi do spichlerza. Duże kamienne pomieszczenie wypełniały rzędy drewnianych beczek z pszenicą, żytem i jęczmieniem. Był to najwyższy poziom magazynu, a teraz, gdy kończyła się zima, jedyny używany w tym charakterze.

Za rzędami beczek ciężkie drewniane drzwi broniły wejścia do kolejnych spiralnych schodów, prowadzących kilka pięter pod ziemię, gdzie przechowywano zapasy dla całego Johannisburga na wypadek mało prawdopodobnego oblężenia.

W pomieszczeniu stał tuzin żołnierzy z wyciągniętą bronią, zwróconych w stronę drzwi. Było tu ponad pół garnizonu.

Jeden z nich, Tulne, odwrócił się do Oytima.

- Gdzieś ty był, u diabła?

- Sierżant kazał mi to przynieść. - Podał Tulnemu kusze i bełty.

- Co on sobie myśli? Kusze? - Tulne rozejrzył się po spichlerzu. - Czy to wygląda na otwarty teren? Zaczynam się martwić o rozsądek naszego sierżanta. Jeśli dojdzie tu do walki, będzie po wszystkim, zanim uda się naciągnąć je do drugiego strzału. - Wziął do ręki bełt. - Z czego zrobiony jest ten grot?

- Ze srebra.

Tulne prychnął. Postawił kuszę na ziemi, wsunął nogę w strzemię i zgiął się, by naciągnąć cięciwę.

- To jakaś bzdura. Nikt nie robiłby srebrnego grotu na belcie do kuszy. Załaduj pozostałe. Możemy mieć trzy strzały, zanim będzie po zabawie.

Oytim naciągnął drugą kuszę.

- Gdzie jest sierżant?

Ważąc w dłoni załadowaną broń, Tulne kiwnął głową w stronę drzwi.

- Zabrał Niemców na dół i powiedział, żeby zabarykadować drzwi do czasu, aż stamtąd wyjdzie. - Tulne ziewnął. - Nie denerwuj się, Oytim. Sześciu żołnierzy poradzi sobie z jednym więźniem.

Oytim rozejrzył się i stwierdził, że jego obaw nie podzielają inni strażnicy. Wszyscy trzymali broń w dłoniach, ale stali spokojnie, rozmawiając cicho ze sobą.

Tulne roześmiał się i klepnął go w plecy.

- To kobieta, Oytim. Jedna kobieta przeciwko sześciu doświadczonym w boju żołnierzom! A może wątpisz w ducha walki Niemców? W takim razie też nie musisz się obawiać. Mamy tu trzynastu pruskich wojów.

Oytim zrozumiał, że pogańskie zabobony przeszkodziły mu w jasnym myśleniu.

- Oczywiście, masz rację...

W drzwi walnęło coś ciężkiego. Grzmot uderzenia poniósł się echem po kamiennym pomieszczeniu.

- Nie - wyszeptał Tulne.

Drugie walnięcie, głośniejsze od pierwszego. Potężna dębowa belka blokująca drzwi zadrżała, a z utrzymujących ją żelaznych klamer wzbily się chmurki kamiennego pyłu.

Oytim uświadomił sobie nagle błąd konstrukcyjny w budowie stołpu. Drzwi, przed którymi stali, choć zablokowane, nie zostały zbudowane z myślą o niewypuszczeniu przeciwnika. Obronne drzwi umieszczono w punktach kluczowych, zapewniając przewagę obrońcom... ale wstawiono je z założeniem, że napastnicy będą atakować od zewnątrz, przez jedyne wejście do stołpu. Wróg, z którym mieli teraz do czynienia, nadchodził z przeciwnej strony.

Te drzwi nigdy nie miały wytrzymać silnego ataku. Były zbyt duże, zrobione z jednej warstwy dębowych desek i brakowało im nawet metalowych ćwieków utrudniających rąbanie. Blokująca belka została dodana niedawno, jako że dolne poziomy rzadko wykorzystywano w charakterze więzienia.

Minęło jedno uderzenie serca i drzwi zatrzęsyły się ponownie. Magazyn wypełnił trzask ustępującego pod naporem drewna. Kilku żołnierzy podbiegło do drzwi, zaparło się ramionami o blokującą belkę.

Jeden z wojów, potężnie zbudowany, chwycił trzecią kuszę i zrobił krok do tyłu, tak że wraz z Oytimem i Tulnem utworzyli szereg broniący wyjścia ze spichlerza.

- Cała armia - mruknął Tulne.

- Nie - odpowiedział Oytim. - Potrzebne srebrne belty.

Klęknął i oparł naładowaną kuszę o udo. Wycelował w drzwi, coraz bardziej wginające się do wnętrza przy każdym uderzeniu, z coraz szerszymi szczelinami między dębowymi deskami.

- Zabobonne bzdury - rzekł Tulne z pogardą.

Oytim już go nie słuchał. Opanował oddech. Miał szansę tylko na jeden strzał i musiał się do niego przygotować. Cokolwiek przejdzie przez drzwi, nie mógł się zawahać.

Następnemu uderzeniu towarzyszył wyraźny metaliczny szczęk. Jedna z trzymających belkę żelaznych klamer oderwała się od ściany. Żołnierze trzymający drzwi przesunęli się, by podtrzymać opadającą belkę. Trzy pozostałe klamry wciąż trzymały.

Walenie ustało.

- Co jest? Zrezygnowali? - Tulne opuścił kuszę.

- Nie - wyszeptał Oytim.

Drzwi, które nie zostały stworzone z myślą o opieraniu się takim siłom, obwisły. Trzecia deska, blisko środka, zatrzeszczała i przechyliła się na szerokość dłoni u szczytu, obracając się na dębowej belce. Jeden z żołnierzy, Cawald, sięgnął w górę, by pchnąć deskę z powrotem na miejsce. Nagle z krzykiem padł na kolano, a jego prawa noga zniknęła w szczelinie u dołu drzwi. Sąsiedzi go złapali, podtrzymali. Wrzeszczał i kopał drzwi lewą nogą, prawą coś wciągało przez drzwi coraz głębiej, już prawie do biodra. Towarzysze chwycili go pod ramionami, zaparli się i naprężyli, by go wyrwać.

Padli na plecy, gdy Cawald zniknął w szczelinie. Jego przenikliwy krzyk urwał się gwałtownie, a przechylona deska powoli odchyliła się z powrotem do normalnej pozycji, po czym przechylała się dalej, tworząc pusty słup czerni w środku skrzydła drzwi.

Oytim wymierzył w szczelinę, pewien, że zobaczy jakiś ruch w ciemności, błysk zębów lub oczu...

- Nie, durnie! - wrzasnął w stronę żołnierzy przy drzwiach. Dwaj zbliżyli się z boków do wyłomu i wykorzystując pozostałości drzwi jako osłonę, wymierzyli miecze, by uderzyć na to, co mogło wyłonić się ze środka. Równocześnie jednak blokowali Oytimowi linię strzału.

Coś poruszyło się w ciemności i żołnierz po prawej od wyłomu doskoczył. Jego ręka z mieczem zniknęła w czerni, a potem znieruchomiał, jakby uderzył mieczem w kamienną ścianę. Na jego twarzy pojawił się wyraz niemal komicznego zaskoczenia i nagle szarpnął się do przodu, jakby coś pociągnęło go za rękę z mieczem. Uderzył piersią w drzwi. Odwrócił się do towarzysza stojącego obok, może chciał poprosić o pomoc. W tej chwili jego całe ciało wykręciło się w bok, stopy oderwały się od ziemi i zniknął w głębi szczeliny.

- Boże, chroń nas! - drżącym głosem wyszeptał Tulne.

Z sześciu ludzi wcześniej blokujących drzwi zostało teraz tylko dwóch. Coś znów walnęło w drzwi i żelazne klamry ustąpiły ze zgrzytem, w chmurze pyłu z murarskiej zaprawy. Ciężka dębowa belka spadła na ziemię, strzaskane deski drzwi poleciały do spichlerza.

* * *

Günter pobiegł za stworem uzbrojony jedynie w srebrny sztylet. Ryzykował jak szaleniec, ale masakra, której był świadkiem, sprawiła, że przestał się nad tym zastanawiać. Nie chciał przeżyć, skoro widział rzeź swych ludzi.

Ze sztyletem w jednej ręce i latarnią w drugiej pędził pięć mrocznych pięter w górę, w stronę głównych drzwi. Klatka schodowa była ciasna i ostro skręcała, więc po każdym kroku

mógł się znaleźć twarzą w twarz ze stworem. Kamienne schody były śliskie i nierówne, w pośpiechu kilka razy omal nie spadł.

Na każdym poziomie lochów znajdowały się drzwi, choć tylko te na górze zostały zablokowane. Potwór wybił każde z nich z niewiarygodną siłą - roztrzaskał deski i wyrwał zawiasy ze ścian. Przy jednych zobaczył krwawy odcisk na kamiennym murze. Nie pozostawiła go ludzka ręka. Wnętrze dłoni wyścielały poduszki jak łapę wilka, a palce były dłuższe i grubsze niż u człowieka. Szpony stwora pozostawiły w powierzchni kamienia cztery równoległe rysy.

Gdzieś w górze rozległ się potężny łomot. Günter podniósł głowę i dostał w oczy chmurą drobnego pyłu, który przecisnął się przez pęknięcia w suficie.

Dotarła do głównych drzwi...

Nie powinien czuć tak silnego strachu. Nawet gdyby zdołała wybić drzwi pomimo założonej na nie dębowej belki - a to by wymagało taranu - za nimi czekało trzynastu pruskich wojów, a osobiście dopilnował, by uzbroili się przeciwko potworowi w kusze z bełtami o srebrnych grotach. Trzynastu wyszkolonych, doświadczonych w boju żołnierzy uzbrojonych w srebro.

To wystarczy.

A jednak się bał.

Pobiegł w górę. Nie zdziwił się, gdy usłyszał krzyki.

Zgasił latarnię i odrzucił ją w nadziei, że zdoła zaatakować potwora od tyłu. Wspiął się po ciemnych schodach, nasłuchując krzyków, uderzeń mieczy o kamienie i niskiego warkotu.

Pokonał ostatni zakręt schodów i otworzył się przed nim korytarz oświetlony blaskiem, którego wcale nie powinno tam być. Ze spichlerza po drugiej stronie otwartych drzwi wpadało światło, obrysowując cienie chaotycznie poruszających się postaci. Powietrze wypełniały dźwięki pruskich przekleństw i ciężki zapach krwi.

Bestia miała dość rozsądku i znajomości taktyki, by po rozwaleniu drzwi wycofać się do korytarza. Strażnicy poskoczyli za nią, trafiając w miejsce zbyt ciasne i mroczne, by walczyć skutecznie nawet przeciwko zwykłemu wrogowi.

Günter mocniej chwycił bezużyteczny sztylet i rozkazał swoim ludziom cofnąć się do spichlerza. Jednak jego krzyki nie przebiły się przez szcęk metalu i wrzaski żołnierzy.

Zza grupy walczących śmignął bełt z kuszy, uderzył w kamień obok głowy Güntera, wzbijając iskry.

Nie strzelaj na oślep! Czekaj, aż wyraźnie zobaczysz cel!

Gdzieś blisko Güntera padł człowiek, anonimowy w mroku. Jęczał przez chwilę, ale zaraz

ucichł i przestał się ruszać. Sierżant chciał go odciągnąć w bezpieczne miejsce na schodach, ale gdy namacał ramię mężczyzny i szarpnął, zdał sobie sprawę, że ciężar odpowiada tylko połowie ciała.

Zwalczył falę mdłości i mijając poległego, ruszył w stronę szybko gasnącego starcia. Zobaczył jeszcze dwa ciała uderzające o ściany po obu stronach korytarza i przygarbionego potwora stojącego przed samymi drzwiami.

Zaszarżował. W biegu usłyszał świst zwalnianej cięciwy i podniósł się skowyt nieprzypominający żadnego dźwięku, jaki Günter usłyszał z gardła człowieka lub zwierzęcia. Potwór skoczył przez drzwi w chwili, gdy sierżant zadawał cios. Srebrne ostrze przeszło powietrze, Günter stracił równowagę i runął na ziemię między potrzaskane resztki drzwi.

Spojrzał w górę i zobaczył demona - potężne mięśnie, krwistorude futro, szpony i okrwawiona paszcza - atakującego Oytima i Tulnego. Obaj znajdowali się pod przeciwległą ścianą spichlerza. Kusza Oytima wciąż była załadowana. Tulne wystrzelił bełt w ramię bestii, a teraz desperacko naciągał cięciwę.

Gdy Günter podnosił się na nogi, bestia dopadła Tulnego. Żołnierz zniknął za potężnymi pokrytymi czerwonym futrem plecami, jego krzyk trwał krótko.

Bestia zwróciła okrwawioną paszczę w stronę Oytima.

Żołnierz wystrzelił prosto w jej pysk. Potwór zawył z bólu głosem z samego dna piekła.

Günter pokonał pół drogi do nich, gdy bestia chwyciła Oytima za gardło i rzuciła nim jak szmacianą lalką. Żołnierz uderzył o beczkę z siłą tak dużą, że pękło kilka klepek, po czym padł na ziemię i już się nie poruszył.

Sierżant się zatrzymał, bo bestia, wciąż wyjąc, wpadła w szal, macając wokół rękami dwukrotnie dłuższymi niż u człowieka.

A on miał tylko srebrny sztylet.

Stał tuż poza zasięgiem bestii, modląc się, by strzał Oytima był celny i przebił oko stwora, trafił do mózgu.

Jednak bogowie Güntera byli głusi.

Stwór przestał wyć. Ku przerażeniu sierżanta opuścił rękę i popatrzył na niego zielonymi oczami. Dwoma. Bełt poszedł za wysoko, za bardzo na prawo i pod zbyt ostrym kątem. Co prawda spowodował pęknięcie kości, ale też rykoszetował na krzywiznie czaszki i jej nie przebił. Szeroka rana silnie krwawiła, ale potwór nie zginął ani nie umierał.

Patrzył na Güntera, warcząc cicho. Sierżant, straciwszy nadzieję, uniósł sztylet, zamknął oczy i przygotował się na śmierć.

Po kilku chwilach ponownie otworzył oczy.

Bestia zniknęła.

IV

Uldolf nie miał dobrego poranka.

Sprawdził już pięć z zastawionych przez siebie sideł i w żadnych niczego nie znalazł. Można by pomyśleć, że jeśli miał ryzykować wolność, kłusując na ziemiach zakonu, mógłby choć raz dla odmiany coś złapać. Jednakże kończąca się zima była sroga i wyglądało na to, że zwierzyna została mocno przetrzebiona nawet na ziemiach tuż przy niemieckiej twierdzy.

Kiedy więc zbliżył się do szóstych wnyków, ukrytych w poszyciu przy przewróconej przez piorun sośnie, i zobaczył jakieś futro, miał ochotę krzyknąć z radości.

Klęknął obok wnyków. Złapał zająca - niewielkie zwierzątko z kiepskim futrem. Lecz siostra dochodziła do siebie po gorączce i potrzebowała mięsa, więc Uldolf wcale nie zamierzał przebierać.

Rozejrzył się wokół, na wypadek gdyby ktoś jeszcze znajdował się w lesie. Cekał go najgroźniejszy etap popełnianego przestępstwa. Nawet gdyby został złapany na tych ziemiach z zającem w torbie, mógłby twierdzić, że upolował go gdzieś indziej, nie okrada zakonu. Przynajmniej jak długo nikt nie zobaczyłby go zastawiającego wnyki w lasach tuż pod murami zamku Johannisburg.

Uldolf nikogo nie zobaczył, ale też niewielka była na to szansa w krótkiej przerwie między wschodem słońca a jutrznią. Labirynt gęstych zarośli, stromych wzgórz i wąwozów rozciągających się od wschodniej strony Johannisburga nie zachęcał do przypadkowych spacerów. Las był gęsty i na tyle zdradliwy, że stanowił element naturalnej obrony miasta od czasów sprzed nadania miastu chrześcijańskiej nazwy i wzniesienia w nim kamiennego stołpu. Uldolf mógłby niepostrzeżenie podejść na mniej niż tysiąc kroków do samego zamku - aż do granicy lasu przed niższym murem.

Ze względu na stromiznę w tamtym miejscu nie było żadnych zabudowań między wschodnią ścianą zamku a dolnym murem - tylko zbocze wzgórza wspierające gładkie, szare mury. Miasto rozciągało się na zachód od zamku, gdzie pochyłość była łagodniejsza i bardziej równa.

Niewielu ludzi tu przychodziło, a jeszcze mniej teraz, gdy stłumiono stare sposoby wyznawania wiary i święte zagajniki Perkuna zostały zniszczone lub zapomniane. Jednak Uldolf pamiętał. Nie dlatego, że oddawał cześć starym bogom - był chrześcijaninem jak

każdy wolny człowiek na ziemiach zakonu. Znał te lasy jeszcze z czasów sprzed rany, która pozbawiła go prawej ręki. Znał je lepiej niż Niemieccy, Duńscy i Polscy kupcy, kapłani i rolnicy, których zakonnicy sprowadzili w celu zasiedlenia chrześcijańskiego Johannisburga.

Gdy zyskał pewność, że nikt go nie obserwuje, schylił się nad siódmymi.

Długa praktyka pozwoliła mu na schowanie zajęcia do torby i ponowne ustawienie wników szybciej, niż zrobiliby to wielu ludzi z dwoma rękami.

Torba niegdyś była częścią prostych końskich juków należących do Krzyżaka, który zginął w bitwie. Ich nowy właściciel miał dość rozsądku, by nie sprzedawać swojej zdobyczy na rynku w Johannisburgu. Uldolf kupił juki na jednym z potajemnych targów przeznaczonych wyłącznie dla Prusów za grosze w czasach, gdy jeszcze miał jakieś do wydania.

Na jukach ćwiczył swoje umiejętności kaletnicze. Uszył torbę, którą zapewne mógłby sprzedać na rynku w Johannisburgu za równowartość zysków z kilku miesięcy sprzedaży sarniny - gdyby pozwoliła mu na to matka.

- Uldolf - powiedziała mu - i co byś wtedy miał, by pokazać ludziom, co potrafisz?

A i tak niewielu wierzyło, że jednoręki wieśniak może być sprawnym kaletnikiem. Z pewnością nie wierzyli w to zagraniczni kupcy w Johannisburgu, którzy każdego Prusa - ochrzczonego czy nie - uważali za wartego tyle co poganin.

Zamiast handlować z nimi, oferował swoje usługi pruskim rolnikom z okolicy - ludziom, którzy znali jego przybranych rodziców jeszcze z czasów, zanim Johannisburg stał się chrześcijański. Uldolf podejrzewał, że wszystko zaczęło się od współczujących gestów względem rodziców mających kalekiego syna i chorowitą córkę. A może z szacunku dla dziedzictwa Uldolfa. Jego pierwszy ojciec był ostatnim naczelnikiem Mejdânu, zanim wioska wpadła w ręce chrześcijan.

Uldolf czuł pewną dumę z faktu, że nie musi już liczyć na współczucie, bo w ciągu ostatnich dwóch lat zdobył uznanie dla swych umiejętności. W zasięgu dnia marszu nie było gospodarstwa, w którym nie znajdowałoby się siodło lub uprząż noszące gdzieś na sobie jego znak.

Jednak jego umiejętności rzadko przydawały się zimą. Ci, którzy chętnie korzystali z jego usług, gdy nadeszły mrozy, doświadczali podobnie ciężkiego losu jak jego rodzina, a zawartość spiżarni musiała wystarczyć do pojawienia się pierwszych owoców wiosny.

Cieszył się więc, że zdołał cokolwiek złapać. Z zajęcia i kaszy jęczmiennej jego matka zdoła nagotować jedzenia na tydzień. Choć zima była bardzo ostra, ostatnie wiosenne śniegi już prawie stopniały, a w południe ziemia przestaje trzeszczeć od mrozu pod stopami.

Wkrótce rozpoczną zasiew, a potem będzie mógł znowu zacząć oferować swoje usługi. Może w tym roku znajdzie kogoś chętnego przyjąć czeladnika i zdoła odpracować rok służby.

- A może w tym roku odrośnie mi ręka - mruknął pod nosem. Sięgnął do ramienia i je potarł, choć nie pomagało to w pozbyciu się bólu odczuwanego w dawno utraconej kończynie.

Nawet gdyby miał dwie ręce, był już zbyt stary na czeladnika. Lata, które mógł poświęcić na naukę zawodu, poświęcił na ciężką pracę w gospodarstwie rodziców.

Z oddali dobiegł go dźwięk dzwonu kościelnego z Johannisburga. Dzwoniono na jutrznię.

Czas wracać do domu.

Jego trasa przez lasy prowadziła szeroką pętlą, unikając wyraźnych szlaków zwierzyny i kilku wydeptanych ścieżek. Szedł dnem wąwozów osłaniających go przed wzrokiem każdego, kto by podróżował przez ziemie zakonu. W tej chwili znalazł się najbliżej na całej trasie zamku i murów twierdzy w Johannisburgu.

Było coś groźnego w zarysie wzniesionego przez ludzi wzgórza, a fortyfikacje przysiadły na jego szczycie niczym kamienna ropucha na stercie nawozu. Ten widok budził niepokój i nasilał ból w okaleczonym ramieniu.

Uldolf był wdzięczny losowi za gorączkę, która pozbawiła go pamięci o ranie i śmierci pierwszych rodziców. Minęło już osiem lat...

Nie, nie będzie o tym myślał. Zmusił się do myślenia o obecnej rodzinie: Gedimie, który był teraz jego ojcem, Burthe, swojej matce, i siostrzyczce Hildzie. Wspomnienie Hildy w końcu przywołało uśmiech na jego usta. Jak mógł być ponury, skoro w nocy w końcu ustąpiła gorączka siostry?

Przeszłość minęła i nie wróci.

Wkrótce zobaczył przed sobą obrośnięty mchem pień wielkiego dębu, punkt zwrotny jego trasy i miejsce najbardziej zbliżone do Johannisburga. Tutaj strumień, wzdłuż którego wędrował, dzielił się na dwa - jeden skręcał głębiej w las, drugi wypełniał głęboką sadzawkę.

Dzięki stromemu zboczowi i potężnej koronie dębu sadzawka była niewidoczna z wioski. W pełni lata to miejsce nabierało charakteru zielonej jaskini.

Uldolf uśmiechał się za każdym razem, gdy widział głaz obok korzeni dębu. W tej chwili przerastał białą skałę o głowę, ale wiele lat temu wydawała się olbrzymia. Oferowała hojne nagrody dziecku, które pokonało jej gładkie boki i wspięło się na szczyt, bo wtedy można było sięgnąć do najniższych konarów dębu.

Dawno temu, zanim... zanim zaczął mieszkać z Gedimem, wiosną i latem spędzał tu niezliczone popołudnia, skacząc do sadzawki z gałęzi dębu. Zawsze było to jego tajemne

miejsce. Nigdy nikomu go nie pokazał.

Gdyby pora nie była tak późna, może znowu wspiąłby się na głąz - nie żeby wejść na dąb, ale po prostu usiąść i popatrzeć. Tu znajdował spokój, zwłaszcza gdy nachodziły go myśli i sny o przeszłości. A z jakiegoś powodu przeszłość wydawała się teraz bardzo bliska.

Właśnie miał skrócić wzdłuż strumienia, odchodząc głębiej w las, z dala od sadzawki, gdy coś w wyglądzie dębu sprawiło, że się zatrzymał.

Jakieś zwierzę bezlitośnie odrapało pień. W świetle świtu wyraźnie zobaczył świeże białe bruzdy i zwisające strzępy kory i mchu. Ślady sięgały wyżej od jego głowy.

Jakie stworzenie mogło to zrobić?

Coś poruszyło się u podstawy głązu, przy brzegu strumienia. Uldolf przez chwilę nie mógł rozpoznać, co widzi. Minęło kilka sekund, zanim przebłyski włosów i skóry złożyły się w coś zrozumiałego.

W płytkiej wodzie przy białym głązie leżała naga kobieta.

Skórę miała tak bladą, że z początku Uldolf uznał ją za topielicę, jednak po chwili zobaczył, że oddycha. Podbiegł, rozchlapując wodę, dotknął jej ramienia.

A ona wykręciła się gwałtownie i wrzasnęła z tak głębokim przerażeniem, że Uldolf stracił równowagę i poleciał plecami do strumienia.

Kobieta, a raczej dziewczyna, niezdarnie odczołgała się od niego. Dyszała ciężko z łkaniem. Na jej prawym ramieniu znajdowała się świeża rana, a na twarzy rozcięcie sięgające od łuku brwiowego do linii włosów. Wciąż odczołgiwała się, aż dotarła plecami do pnia dębu. Gdy w niego uderzyła, zadygotała, krzycząc głośno i chwytając ranę na ramieniu.

- Nie bój się - powiedział Uldolf. - Chcę ci pomóc.

Potrząsnęła głową.

Dziewczyna była brudna nie tylko od krwi, ale całe jej ciało łącznie z długimi włosami pokrywały nieczystości. Czystą miała jedynie lewą stopę. Musiała przez dłuższą chwilę ciągnąć ją przez wodę, pomyślał Uldolf.

- Co ci się stało?

Podciągnęła kolana do piersi i objęła je zdrową ręką. Trzęsa się ze strachu i z zimna. Uldolf zrobił parę kroków w jej stronę. Drgnęła i próbowała zwinąć się w kulę, chowając twarz między kolanami.

Zatrzymał się i przykucnął.

- Nie chcę cię skrzywdzić - powiedział, gdy ich głowy znalazły się na tej samej wysokości.

Po chwili spoczęło na nim spojrzenie zielonych oczu prześwitujących zza pasm mokrych,

posklejanych krwią włosów.

- Jestem Uldolf. Mieszkam niedaleko stąd.

Patrzyła na niego znad kolan, próbując objąć się jeszcze ciaśniej.

- Jak masz na imię?

Głęboko nabrała powietrza, ale nie odpowiedziała.

- Rozumiesz w ogóle to, o co cię pytam? - Uldolf użył jednego z nielicznych znanych sobie niemieckich słów. Wskazał na siebie. - Przyjaciel.

Dziewczyna tylko na niego popatrzyła. Wciąż się trzęsła, ale chyba przestała się bać.

Przez jego głowę przemykały dziesiątki różnych możliwości. Najprawdopodobniej była ofiarą jakichś bandytów. Zostawili ją, sądząc, że dziewczyna umrze. Nawet gdyby nie była ranna, porzucenie jej nago w dziczy oznaczało pewny wyrok śmierci. Nie mogła być tu dłużej niż pół godziny, inaczej zabiłoby ją zimno lub jakieś dzikie zwierzę.

Uldolf zerknął na podrapaną korę dębu i zadygotał w duchu. Wolał nie myśleć, co taka bestia mogła zrobić z ludzkim ciałem.

Zrobił krok do tyłu i rozejrzał się wokół. Na szczęście nie zobaczył żadnych śladów ludzi ani zwierząt. Nie wyłapał żadnych niespokojnych dźwięków.

Spojrzał na kobietę. Bolesne było obserwowanie tego, jak mocno dygocze.

- Trzeba cię okryć - powiedział, sięgając do niej.

Uniosła głowę i go ugryzła. Wyszarpnął dłoń.

- Jak możesz!

Popatrzyła na niego.

- Nie rozumiesz? Mam tylko tę jedną! - Pomachał jej dłonią przed twarzą i zacisnął pięść.

- Chcesz, żebym cię tu zostawił?

Skuliła się z powrotem i zaczęła płakać.

Uldolf nagle poczuł się paskudnie. To nie jej wina, że tak panicznie się bał zranienia jedynej ręki. Miał osiem lat na przystosowanie się do straty. Było ciężko, ale zdołał sobie z tym poradzić. Gdyby jednak coś stało się z ręką...

Jednak dziewczyna nawet nie przebiła skóry.

Znowu przykucnął, pocierając dłonią o nogę.

- Przepraszam, nie powinienem był na ciebie krzyżeć. Ale to bolało.

Teraz, gdy znalazł się na wyciągnięcie ręki od dziewczyny, wyraźniej widział ranę na jej głowie. W samym środku dostrzegł kość czaszki.

- Ciebie pewnie i tak boli bardziej.

Pociągnęła nosem i obróciła twarz w jego stronę.

- Nie rozumiesz ani słowa z tego, co mówię, prawda?

Przynajmniej przestała płakać.

- Po prostu cię wystraszyłem, co? - Westchnął i zdjął z ramienia skórzaną torbę. - Teraz zrobię to powoli, a ty nie będziesz mnie już więcej gryzła. Rozumiesz?

Miał na sobie pelerynę podszytą baraním kozuszkím. Sam ją uszył. Była bardzo ciepła i dobrze mu służyła nawet w najcięższe zimy. Ostrożnie owinął pelerynę wokół dziewczyny. Mimo wszystko ruch ją wystraszył i próbowała uskoczyć.

Uldolf wstał, cofnął się, podniósł rękę do góry.

- Widzisz, nic złego nie robię.

Była dużo drobniejsza od niego i peleryna zakryła ją całą. Po raz pierwszy w oczach dziewczyny nie zobaczył strachu, tylko zamęt.

- Obawiam się, że to uderzenie w głowę mogło ci trochę namieszać w mózgu. Powinna się temu przyjrzeć moja matka. Była akuszerką.

Dziewczyna ciałniej otuliła się peleryną, pocierając policzkiem o futerko przy kołnierzu. Potem się uśmiechnęła, a Uldolfa uderzyło, że ktoś tak osłabiony mógł zdobyć się na coś tak radosnego.

Podniósł torbę, założył ją na ramię.

- Zaufasz mi teraz i pozwolisz sobie pomóc?

Wyciągnął rękę.

Popatrzyła na jego dłoń i przez chwilę Uldolf sądził, że znowu spróbuje go ugryźć.

- Dasz radę iść? Trudno byłoby mi cię nieść całą drogę do domu.

Miał wrażenie, że bardzo długo stoi z wyciągniętą do niej ręką. W tej chwili był przekonany, że dziewczyna rozumie jego słowa, że podejmuje decyzję.

Po długim namyśle chwyciła jego dłoń. Skórę miała zimną i śliską od wody, ale chwyt nadspodziewanie mocny. Nie zdążył jej dźwignąć, sama podniosła się z ziemi, podciągając się na jego rękę jak na gałęzi drzewa.

Nie zapięła peleryny i gdy wstawała, okrycie się z niej zsunęło. Choć była ranna i brudna, poraziła go uroda nagiego ciała.

Zmarszczyła brwi, gdy uświadomiła sobie, że peleryna się zsunęła. Zupełnie nie okazywała wstydu, co sprawiało, że jej nagość rozpraszała go jeszcze bardziej.

Uldolf podniósł pelerynę z ziemi, strzepnął z niej suche liście i spróbował ponownie okryć dziewczynę. Okazało się to znacznie trudniejsze. Kiedy po założeniu peleryny na jedno jej ramię sięgał ręką do drugiego, ciężar okrycia sprawiał, że się zsuwało. Powtórzył to dwukrotnie, zanim zdał sobie sprawę, że w ten sposób niczego nie osiągnie.

Bardzo się starał nigdy nie złościć z powodu braku drugiej ręki, ponieważ podobnie jak przeszłości, tego nigdy nie dało się zmienić. Wyklinanie i uzalanie się nad sobą prowadziło tylko do rozpacz. Jednak teraz nie potrafił nic poradzić na narastającą furję. Co z niego za ratownik? Nie potrafił nawet zarzucić peleryny na kobietę.

Dziewczyna popatrzyła na niego nad nagim ramieniem, a Uldolf się zaczerwienił, próbując równocześnie powstrzymać rękę od drżenia.

- Przepraszam. Muszę się chwilę zastanowić.

Zobaczył, że ona sięga ręką nad zranionym ramieniem.

Patrzył na jej dłoń przez chwilę, zanim uświadomił sobie, o co chodzi. Podał jej koniec peleryny. Kiedy go trzymała, założył drugi skraj na jej zdrowym ramieniu, po czym obszedł dziewczynę, by pokazać jej sposób zapięcia. Przesunął rzeźbioną kość przez otwór z przeciwnej strony.

- Widzisz? W ten sposób ci nie spadnie.

Spojrzała w górę, a on znowu poczuł zakłopotanie.

- Wybacz, traktuję cię jak dziecko, ale mam wrażenie, że nie rozumiesz, co do ciebie mówię.

Dotknęła kości, próbując rozpiąć okrycie. Zmarszczyła brwi. Zapewne w wykonaniu Uldolfa zrobienie tego jedną ręką wyglądało na trochę łatwiejsze.

- Słuchaj, jeśli to zrobisz...

Nie skończył, bo dziewczyna rozpięła pelerynę, która znowu zsunęła się z jej prawego ramienia, odsłaniając ranę i pełną pierś.

Uldolf zrobił krok do przodu, by ponownie chwycić skraj peleryny, ale dziewczyna podniosła dłoń, wyraźnie go zatrzymując. Jej ręka drżała lekko i Uldolf pomyślał, jak bolesny musiał być dla niej ten ruch.

- Nie powinnaś obciążać...

Umilkł, ponieważ nawet jeśli go rozumiała, w tej chwili wcale go nie słuchała. Zrobiła krok do tyłu i całkiem ściągnęła z siebie pelerynę. Trzymając ją przed sobą, obejrzała uważnie, po czym zmieniła chwyt i sprawnie zarzuciła ją sobie na ramiona. Używając obu rąk, złożyła poły peleryny pod szyją i je spięła.

Podniosła wzrok na Uldolfa.

- Rozumiem - rzekł z uśmiechem. - Nie jesteś bezradna.

Zrobiła krok do przodu i nagle się zachwiała na nogach. Złapał ją w chwili, gdy wyciągnęła zdrową rękę w poszukiwaniu jakiegoś podparcia. Opadła na niego, owijając rękę wokół jego piersi. W efekcie znalazł się pod peleryną, przyciskając dziewczynę do siebie.

Zrobiło mu się gorąco.

Spazmatycznie nabrała powietrza. Próbowwała opanować łzy i frustrację.

Pogłaskał ją po plecach, starannie unikając prawego ramienia.

- Wiem, jak się czujesz, ale jeśli mamy gdzieś pójść, musisz się na mnie opierać.

Pociągnęła nosem i kiwnęła głową, jakby zrozumiała jego słowa.

V

- Mamo, ktoś idzie!

Burthe obejrzała się przez ramię na córkę. Hilda się obudziła. Siedziała w koszuli nocnej zwisającej luźno na zbyt wychudzonym ciele. Burthe odłożyła naprawiane spodnie, pośpiesznie podeszła do jej łóżka i dotknęła czoła córki. Z radością się przekonała, że gorączka nie wróciła.

- Leż spokojnie, dziecko. Byłaś zbyt ciężko chora, żeby teraz skakać.

- To Ulfie, mamo. Nie słyszysz go?

Burthe prychnęła. Wiek i choroba, która wymęczyła ją po urodzeniu Hildy, sprawiły, że była teraz prawie głucha.

- Myślisz, że przyniósł coś dla mnie? - Hilda próbowała odrzucić okrycie.

Burthe położyła dłonie na ramionach dziecka i stanowczo ją położyła.

- Jeśli twój brat wrócił, za chwilę tu będzie. Im więcej będziesz odpoczywać, tym szybciej pozwolę ci wstać.

Starła się, by w jej głosie nie było słyhać zmartwienia. W ciągu ostatniego miesiąca wyczerpała całą swą wiedzę o ziołach. Nie powiedziała o tym Uldolfowi ani mężowi, ale już wątpiła, czy Hilda w ogóle wyzdrowieje.

W środku tej nocy gorączka wreszcie spadła, ale Burthe wciąż się martwiła, być może ze strachu, że jeśli podda się radości, zaprosi tym samym zło do powrotu w ciało jej dziecka.

Tak więc chociaż rozumiała, że mała, jak każda sześciolatka, chciałaby skakać po łóżku, podciągnęła okrycie pod jej szyję.

- Odpoczywaj, dziecko.

- Odpoczywałam w nieskończoność!

Burthe pocałowała córkę w czoło, myśląc: nie wolno mi płakać.

- Nie mów tak. Nie odpoczywałam w nieskończoność i dobrze o tym wiesz.

- Przepraszam, mamo.

Odpoczywać w nieskończoność. Te słowa zabrzmiały echem w głowie Burthe. Gdyby inne jej dzieci przeżyły, miałyby teraz osiem i dziesięć lat. Syn, Masyнке, umarł na gorączkę, zanim dożył pierwszych urodzin, a córka nie dostała nawet szansy otrzymania imienia. Chrześcijanie przyszli, gdy Burthe była w piątym miesiącu ciąży. Poroniła w trakcie

panicznej ucieczki przed najeźdźcami do bram miasta.

Potem wraz z mężem wzięli do siebie osieroconego Uldolfa. Myślała, że została bezpłodna i on będzie ich jedynym dzieckiem.

Jednak dwa lata później urodziła Hildę. Cięża była bardzo ciężka, a poród wyjątkowo trudny, ale córka, podobnie jak adoptowany chłopiec, miała mnóstwo siły. To cud, że wyzdrowiała po tak ciężkiej chorobie.

A jednak paplała radośnie, jakby właśnie obudziła się ze zwykłej popołudniowej drzemki.
- Mamo, chyba Ulfie potrzebuje pomocy.

Burthe znowu ją pocałowała, po czym wstała i nadstawiła uszu. Z zewnątrz dobiegło ją przytłumione wołanie. To rzeczywiście był Uldolf.

- Zostań w łóżku, zrozumiano? - Ruszyła w stronę drzwi, rzucając Hildzie ostrzegawcze spojrzenie.

Wyszła przed chatę na placyk przechodzący w pole, z którego plony szły głównie na podatki i daniny, pozwalające żyć im we względnym spokoju. W tym tygodniu śniegi wreszcie stopniały, jednak ziemia wciąż była twarda od mrozu.

Pole między chatą a drogą otaczał prosty kamienny murek. Każdy kamień został przed laty wyciągnięty z ziemi przez Uldolfa i jej męża. Podobne murki otaczały pozostałe obsiewane przez nich pola oraz zagroda, w której trzymali inwentarz, gdy tylko jakiś mieli. Od środka zimy zagrodę w wyłączne posiadanie objął koń, który tego ranka pociągnął wóz z Gedimem do Johannisburga.

Uldolf szedł drogą wzdłuż murku. Zatrzymał się przy sięgającej pasa bramie prowadzącej na pole.

- Przyniósł coś? - usłyszała Burthe z wnętrza chaty.

Niewątpliwie.

- Mamo, pomóż! - zawołał Uldolf.

Burthe potrzebowała chwili, by zareagować, ponieważ przez chwilę nie potrafiła zrozumieć, co właściwie widzi. Uldolf dźwigał swoją pelerynę przewieszoną przez ramię i wybrzuszoną niczym worek z ziarnem.

- Och, na bogów! - Pobiegła przez pole, uświadamiając sobie, że Uldolf z dużym trudem niesie na ramieniu człowieka.

Kobietę.

Zobaczyła zakrwawioną skroń opierającą się na ramieniu syna. Nie zawracała sobie głowy otwieraniem niskiej bramy, po prostu wyciągnęła nad nią rękę.

- Podaj mi ją.

Uldolf z głośnym stęknieniem i wyraźną ulgą zrzucił swój ciężar w jej ramiona. Kobieta była drobna, ale nieprzytomna, a więc bezwładna. Choć przy temperaturze ścinającej oddech w chmurki pary Uldolf miał na sobie tylko lnianą koszulę, był cały spocony.

- Co z nią jest? - Tak się zdyszał, że ledwie mógł mówić.

Burthe popatrzyła na kobietę. To jeszcze dziewczyna, pomyślała.

Dziewczyna oddychała równo i głęboko, a jej skóra miała zdrowy kolor.

- Pomimo tej rany wygląda lepiej od ciebie. - Burthe cofnęła się, umożliwiając Uldolfowi otwarcie bramy i wejście do środka. - Długo ją niosłeś?

- Niezbyt. Znalazłem ją w lesie pod wschodnią ścianą Johannisburga, chyba bandyci...

- Koło Johannisburga? To przynajmniej siedem kilometrów stąd.

- Z początku szła o własnych siłach.

Burthe oglądała ranę, która wyglądała na śmiertelną. A jednak dziewczyna była różowa na twarzy i oddychała normalnie.

- Jak daleko szła z taką ciężką raną?

- Może pół kilometra.

Burthe potrząsnęła głową.

- Nic dziwnego, że przyszedłeś tak późno.

* * *

- Kto to jest, mamó? - Hilda siedziała na brzegu swojego wąskiego łóżka.

- Gość - odpowiedziała Burthe córce. - I jest ranna, więc nie waż się jej przeszkadzać.

Położyła dziewczynę na łóżku Uldolfa. Ranna westchnęła lekko, ale nie odzyskała świadomości. Dolna część peleryny Uldolfa opadła, odsłaniając wyjątkowo brudną gołą nogę.

- Ma też brzydką ranę na ramieniu. - Uldolf stanął obok Burthe.

- Przynieś mi trochę świeżej wody i czyste ręczniki.

Chłopak wyszedł do studni. Okoliczna ziemia była nieurodzajna i kamienista, ale przynajmniej mieli dobrą wodę. Chrześcijańscy panowie mogli im zabrać prawie wszystko, ale tego nie zdołali.

Burthe odpięła pelerynę i odwinęła dziewczynę, by lepiej się jej przyjrzeć.

- Och, biedne dziecko!

- Mamó!

- Ciii, Hildo, mama pracuje.

Rana na barku też była paskudna - poszarpany krater w środku strzępów rozerwanego ciała, większych niż rana na głowie. Niesamowite, że dziewczyna nie wykrwawiła się na

śmierć. Niesamowicie na tyle, że Burthe jeszcze raz sprawdziła jej oddech i wymacała tętno.

- Jesteś silna - wyszeptwała. - To dobrze.

Silna jak jej dzieci, może dość silna, by zwalczyć gorączkę, która nieubłaganie musiała nastąpić po takiej ranie.

Burthe podeszła do skrzynki trzymanej na półce obok paleniska. Wracając do łóżka, zobaczyła Uldolfa, stojącego przy łóżku z dużym wiadrem wody w ręce i ręcznikami przerzuconymi przez ramię. Zawołała go. Oderwał spojrzenie od nagiej dziewczyny i obejrzał się na nią.

- Uldolfie, odłóż to i pozwól naszemu gościowi na odrobinę skromności.

Zaczerwienił się mocno i odstawił trzymane wiadro. Zaczął odchodzić, ale Burthe jeszcze go zatrzymała, zdjęła mu z ramienia ręczniki.

- No, idź już. Nie masz jakiejś zwierzyny do oporządzenia?

Kiwnął głową i wyszedł.

Burthe znowu pochyliła się nad gościem. Dziewczyna była w wieku jej syna, może trochę młodsza. Bez wątplenia piękna, nawet w tak tragicznym stanie. Naprawdę trudno było mieć pretensje do Uldolfa, że się gapił.

- Mogę jakoś pomóc, mamó?

Burthe westchnęła i spojrzała na córkę. Hilda wciąż siedziała na łóżku, ale na samym skraju. Wychylała się do przodu tak daleko, jak tylko mogła. Irytację Burthe hamował fakt, że podniecenie zdawało się przywracać Hildzie siły.

Lepiej zaspokoić tę ciekawość, zanim dziecko wpadnie przez nią w jakieś kłopoty.

- Tylko jeśli zdołasz być cicho i posłuszna. Obiecujesz?

Hilda się rozpromieniła.

- Tak, mamó!

- W takim razie weź ten stołek i usiądź tutaj.

Hilda natychmiast zeszła z łóżka i przyniosła stołek. Kiedy usiadła, Burthe podała jej skrzynkę.

- Jak o coś poproszę, podasz mi to.

- Tak, mamó. - Hilda energicznie pokiwała głową, z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

Burthe zanurzyła ręcznik w wodzie. Wszystko we właściwej kolejności - najpierw trzeba oczyścić rany.

* * *

Trwało to długo. Burthe nawet się cieszyła, że dziewczyna jest nieprzytomna. Rany, choć

zdumiewająco czyste, bez ropy czy martwicy, były jednak głębokie i poszarpane. Po usunięciu brudu ścięła włosy wokół rozcięcia rany na głowie dziewczyny.

Okazało się, że dziewczyna ma na głowie dwie rany, jakby coś wbiło się w ciało, powodując pęknięcie, ale nie roztrzaskanie czaszki. Chirurg pewnie użyłby wiertła, uwalniając wapory.

- Dziwne, że ona nie cierpi - mruknęła Burthe pod nosem.

- Słucham, mammo?

- Cicho, dziecko.

Gdyby dziewczyna miała dreszcze, drgawki albo zimną, bladą skórę, Burthe próbowałaby otworzyć czaszkę pomimo braku doświadczenia i sprzętu. Jednak skoro dziewczyna była tylko nieprzytomna, nie warto ryzykować.

Burthe nie miała natomiast pojęcia, co mogło uderzyć dziewczynę pod takim kątem.

Może upadła na jakąś gałąź... Nie, bo musiałaby uderzyć z wielką siłą, a gałąź roztrzaskałaby się przy tym na drzazgi.

Tak czy inaczej blizna będzie bardzo szpecąca. Burthe też była młodą dziewczyną. Starannie zaszyla poszarpane brzegi rany.

- Co robisz, mammo?

- Jeśli ktoś zostanie tak mocno zraniony, Hildo, skóra nie zrośnie się bez pomocy.

- Nie zrośnie się?

- Nie. Brzegi rany trzeba ze sobą połączyć.

- Czy to znaczy, że ona będzie miała szew na głowie jak moja lalka?

Burthe uśmiechnęła się i zawiązała supełek na trzecim szwie.

- Tylko przez jakiś czas. Kiedy skóra się zrośnie, wyciągnę te nitki.

Dalej szyla w górę czaszki. Jej pacjentka pozostawała w błogiej nieświadomości.

- Czy to boli? - zapytała Hilda.

- Nie aż tak bardzo jak wtedy, gdy zraniła sobie głowę.

- Chyba nie potrafiłabym spać przy takim bólu.

Potem Burthe zajęła się raną barku i wreszcie poświęciła sporo czasu na umycie dziewczyny z błota, krwi i nieczystości. Zauważyła coś dziwnego. Nieczystości i krew pokrywały całe ciało z wyjątkiem lewej stopy, która była czysta nawet pod paznokciami.

Było to bardzo tajemnicze, lecz po zakończeniu mycia Burthe nie zaprzętała sobie tym więcej głowy.

* * *

Obudziła się naga, w dziwnym łóżku, z wrażeniem, jakby spała od bardzo dawna. Nie pamiętała prawie nic sprzed zaśnięcia.

Pamiętała sny... sny o byciu kimś innym. Kimś zimnym, kto czuje tylko złość i jest zdolny do każdego okrucieństwa. Te koszmary ją przestraszyły, choć wszystkie mieszały się w jej głowie w bezsensowny mętlik.

Czuła się, jakby śniła od lat.

Spróbowała się poruszyć i omal nie krzyknęła z bólu. Na wpół wspomnienie, na wpół sen mówił jej, że ludzie chcieli ją skrzywdzić. To na pewno tylko sen...

Jednak ból był bardzo rzeczywisty.

Zacząła się zastanawiać, gdzie jest, kim jest i jak znalazła się w tej chacie. Niewyraźnie przypomniała sobie mężczyznę, który wyciągnął ją ze strumienia. Dał jej swoją ciepłą pelerynę i ciągle do niej mówił. Nie rozumiała słów. Tak bardzo ją to zezłościło, że gdy wyciągnął do niej rękę, ugryzła go.

Krzyknął, a ona się wystraszyła. Jednak po chwili opuścił pięść i zaczął mówić ciszej, łagodniej. Wtedy zdała sobie sprawę, że on ma tylko jedną rękę. Dotarło też do niej, że skoro jej nie uderzył, nie mógł być jednym ze złych ludzi.

Myśl o złych ludziach sprowadziła bolesne wspomnienia - krew, wrzaski, rozrywane ciało... - zbyt jaskrawe, by mogły być snami, zbyt przerażające.

Tamtych ludzi nie było tu teraz. Znalazła się gdzieś indziej, daleko od złych ludzi.

Może tutaj będzie bezpieczna.

INTERLUDIUM

Anno Domini 1229

Dziesięć lat przed krwawą rzeźnią na zamku Johannisburg, zanim twierdza została wzniesiona i zanim miastu nadano nazwę Johannisburg, Erhard von Stendal, rycerz Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, został wyniesiony do rangi komtura krajowego, dowódcy prowincji zakonu krzyżackiego. Wcześniej służył zakonowi jako prosty rycerz w Ziemi Świętej, a jego awans nie był zwykłym wydarzeniem.

Zazwyczaj brat osiągał w zakonie krzyżackim wyższe stanowisko na drodze wyboru przez współbraci. Dowódcę wybierano dzięki zbiorowej mądrości komturii - domu, w którym wspólnie służyli rycerze. Podobnie zbiorowej mądrości i zgody dowódców prowincji trzeba było, by wynieść zwykłego komtura do godności komtura krajowego, czyli przełożonego prowincji. Do czasu, aż sam doznał tego zaszczytu, Erhard nie miał pojęcia, że brat może zdobyć to stanowisko w jakikolwiek inny sposób.

Jednakże zaledwie kilka tygodni po tym, jak cesarz Fryderyk II został koronowany na króla Jerozolimy w Bazylice Bożego Grobu, sam wielki mistrz zakonu, Hermann von Salza, poinformował Erharda o jego nowych obowiązkach. Erhard miał opuścić swój dom i udać się na granicę Prus. Żadni bracia nie konsultowali jego wyniesienia, ponieważ o ile Erhard wiedział, w baliwacie, który mu powierzono, nie było żadnych braci. Zresztą prowincja prawdopodobnie też nie istniała.

Erhard przyjął te rozkazy bez pytania, choć nie wiedział, czemu wielki mistrz odrywał go od braci w Jerozolimie ani czemu został wyniesiony do nowej rangi w tak niezwykły sposób. Pewien był natomiast, że wszelkie wyprawy mające na celu chrystianizację Prus doprowadzą do powstania kolejnych domów i prowincji zakonu, choć nigdy nie słyszał, by stanowisko przełożonego tworzono przed powstaniem samej prowincji.

Jadąc na ziemię Kulmerlandu, na południowo-wschodnim skraju pruskiej dziczy, wciąż wierzył, że będzie prowadził oddziały zbrojne do walki z poganami i mieczem chronić głoszących chwałę Boga oraz tych, którzy przyjmą do serca słowa Chrystusa. Ani przez chwilę nie spodziewał się, że wypełnianie woli Pana będzie proste, jednak wciąż wierzył, że wie, gdzie prowadzi jego droga.

Tego letniego dnia ta ścieżka doprowadziła go do klasztoru na wschód od Torunia, nad Drwęcą.

Dzięki rzadkiemu okresowi zgody między cesarzem Fryderykiem II a papieżem Grzegorzem IX - zgody, do której doprowadził osobiście wielki mistrz Hermann von Salza - ziemie na północ od tego miejsca zostały zgodnie przyznane zakonowi krzyżackiemu. Dzięki władzy papieskiej i cesarskiej Krzyżacy otrzymali we władanie całe Prusy.

Chwilowo to lenno istniało wyłącznie na papierze, jako że Prusy wciąż nie zostały okiełznane. Rozciągały się przez bagna i gęste lasy na północ i wschód, wzdłuż wybrzeża Bałtyku. Mieszkający w tych lasach poganie mieli reputację wojowników zażartych jak Saraceni.

Pruski apetyt na chrześcijańską krew stał się problemem dla wszystkich sąsiadów: Duńczyków, Sasów i Polaków. Fakt, że Polacy nie potrafili obronić się przed nieustannymi rajdami przez północną granicę, sprawił, że książę mazowiecki poprosił zakon krzyżacki o interwencję.

Klasztor, do którego Erhard właśnie się zbliżał, stanowił świadectwo pruskiego barbarzyństwa. Ściany naznaczone ogniem częściowo runęły, krzyże zwalono, a figura Maryi, która stała kiedyś w niszy przy wejściu, została przewrócona i pozbawiona głowy. Jednak Erhard wiedział, że nie budynek ucierpiał najmocniej. Służący w misji bracia, którzy nie zginęli na miejscu, zostali uprowadzeni. Licznych zniewag barbarzyńcy dopuszczali się względem żywego ciała Chrystusa: mordowali biskupów, niszczyli kościoły i nawróconych brali w niewolę.

Jednak ten kawałek chrześcijańskiej ziemi został odzyskany, czego dowodem była chorągiew krzyżacka unosząca się nad pozostałościami dzwonnicy. Widok łopoczącego na letnim wietrze czarnego krzyża podniósł Erharda na duchu. Dowodził, że żadna porażka prawych nie jest trwała.

Z drugiej strony martwił go brak oznak, by ktoś planował odbudować misję. Zbliżając się, nie zobaczył żadnych mnichów, tylko zbrojnych noszących na zbrojach różnorodne tabardy, a wszyscy zachowywali się całkiem pewnie. Po ich ubiorze oraz różnorodnych sposobach, w jaki strzygli włosy i brody, Erhard rozpoznał, że są świeckimi.

Przynajmniej ten dom Boży jest dobrze broniony.

Podjechał do budynku, a gdy zsiadł z konia, jeden ze strażników przejął wodze jego wierzchowca.

- Jesteś zapewne naszym nowym komturem krajowym - dobiegi go głos od wejścia.
- Brat Erhard von Stendal - przedstawił się, mrużąc oczy w słońcu. Cień w zagłębionym

wejściu był nieprzenikniony, a gospodarz ubrał się na czarno, od tuniki do wytartych skórzanych butów.

Mężczyzna wyszedł na słońce, by go powitać.

- Jestem brat Semyon von Kassel.

Wyciągnął rękę, a Erhard zauważył, że miał też czarne rękawice.

- Wielki mistrz Hermann von Salza przesyła pozdrowienia.

- Co ważniejsze, przesyła ciebie. - Brat Semyon się uśmiechnął.

Poza faktem, że nosił się na czarno pomimo letniego upału, nie było w nim nic niezwykłego. Dość masywnie zbudowany, twarz miał pobrużdżoną wiekiem, ale siwizna pobieliała mu tylko skronie i starannie przyciętą brodę. Oczy miał szare jak kamień.

Twarz niczym się nie wyróżniała, ale jego uśmiech...

W uśmiechu brata Semyona coś wzbudzało niepokój. Kryła się w nim jakaś wiedza... wiedza, której prawdopodobnie lepiej było nie poznawać.

- Jestem tu - rzeki Erhard. - Choć nie powiedziano mi, w jakim celu.

- W jakim celu? By służyć Bogu i zakonowi. - Brat Semyon zaśmiał się i puścił dłoń Erharda. - Chodź, mam ci wiele do pokazania i czeka nas jeszcze więcej do omówienia.

* * *

Brat Semyon i jeden ze świeckich strażników poprowadzili go mrocznym korytarzem. Miło było zejść w cień z palących promieni słońca, lecz Erhard doznał wrażenia, że panujący tu mrok jest groźny.

- Zostałeś obdarzony wielkim zaszczytem. Ty pierwszy poprowadzisz jedną z naszych specjalnych prowincji. To wyjątkowe zadanie, które nasz wielki mistrz powierzył najbardziej zdyscyplinowanemu i godnemu zaufania rycerzowi zakonu. Będziesz miał wyłączną władzę, nikt nie będzie ci równy.

- Zakładam, że powiesz mi, czym będę rozporządzał?

- Wszystko w swoim czasie. - Zatrzymali się przed solidnymi drzwiami. - Czy wiesz, czemu zostałeś wybrany?

- Nie oświecono mnie w tej kwestii.

- Powodów było kilka. W Ziemi Świętej dowiodłeś swojej biegłości w bardziej subtelnych technikach prowadzenia wojny, atakując nie tylko ciała, ale i głowy, i dusze niewiernych. Nie jest ci obce korzystanie ze szpiegów, dywersji i zabójstw.

- Służę Bogu, memu Panu.

- I robisz to z godnym uznania brakiem sentymentów.

Drzwi otwały się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Za nimi znajdował się korytarz z kilkoma długimi klatkami. Kraty były nowe, z czarnymi żelaznymi prętami bez śladu rdzy, a płaskie kamienie na podłodze zostały ściśle dopasowane. Wąskie i wysokie klatki ustawiono przy zewnętrznej ścianie, oświetlały je tylko otwory wentylacyjne wysoko w murze, nie większe od pięści Erharda.

W mrocznym korytarzu jego oczy dostosowały się do ciemności dostatecznie, by widział wyraźnie. Szerokość klatek ledwie umożliwia mężczyźnie rozłożenie rąk, na długość były dwukrotnie większe. Ich mieszkańcy byli nadzy, każdy przykuty za nogę do ciężkiej klamry wmurowanej w środku celi.

Dzieci.

Było ich sześcioro, chłopcy i dziewczynki, wszystkie w wieku około ośmiu lat. Milczały. Nie podniosły wzroku, gdy brat Semyon prowadził Erharda i strażnika korytarzem przed klatkami.

Erhard odmówił szybką modlitwę za swoją duszę, po czym zwrócił się do brata Semyona.

- Co to ma być? Czy te dzieci zostały ochrzczone? Za co spotkała je taka kara?

Semyon roześmiał się głośno.

- Nie, mój dobry rycerzu, nie ochrzciłbyś tych dzieci, tak samo jak nie ochrzciłbyś swojego konia.

- Czemu odmawiać im Chrystusa? I wybaczenia grzechów?

- Grzech, mój panie, to domena człowieka. Te stwory nie są ludźmi.

Erhard nie rozumiał. Patrzył na więźniów i nie zobaczył w tych dzieciach nic niezwykłego. Może tylko jedno...

Wszystkie były nienaturalnie spokojne.

Nie paplały, nie wierciły się, w ogóle nie reagowały na jego obecność. Jediną oznaką, że są w ogóle świadome swojego otoczenia, był błysk błękitnego oka jednej dziewczynki, obserwującej go ukradkiem zza grzywy jasnych włosów.

- Jestem głęboko poruszony, bracie. Mówisz, że te dzieci nie są ludźmi. Jak mogę zaakceptować te słowa, widząc coś takiego? - Machnął ręką w stronę klatek.

- Zobaczysz więcej - zapewnił brat Semyon.

- Czemu są takie ciche? To niemowy?

- Nie. Po prostu zostały dobrze wyszkolone. - Brat Semyon przeszedł na barbarzyński język Prusów. Na szczęście wielki mistrz wysłał Erharda na północ w towarzystwie pruskich niewolników, którzy mieli być przewodnikami i nauczyć go języka. - Odzywają się tylko, gdy się każe mówić. Prawda, Rózo?

- Tak, bracie Semyonie - wyszeptła naga dziewczynka. Choć odpowiedziała, nie podniosła głowy. Wciąż patrzyła na Erharda.

- Niegrzecznie jest się gapić, Rózo - powiedział Semyon, dalej po prusku.

Dziewczynka poruszyła się i całkiem ukryła twarz we włosach.

- Co to za dzieci? - zapytał Erhard. - I co one tu robią?

Brat Semyon odpowiedział po niemiecku:

- Wykonują tu zadania, które były dla ciebie nie do pomyślenia, gdy składałeś śluby w Jerozolimie. Jednak zanim udzielię wyjaśnień, najpierw muszę ci coś pokazać. Przygotuj się - zwrócił się do strażnika.

Strażnik podszedł do stojaka pod ścianą, gdzie zatknięto długie żelazne pręty i broń drzewcową, i wziął z niego długą włócznię o szerokim, liściowatym grocie lśniącym srebrzyście w słabym świetle.

Czy to mogło być prawdziwe srebro?...

Brat Semyon wszedł do klatki Róży, zamykając za sobą okratowane drzwi. Przebył niewielką przestrzeń, schylił się nad dziewczynką i odpiął metalową obręcz, która obejmowała jej kostkę. Erhard miał wrażenie, że na obręczy również dostrzegł odblask srebra.

Brat Semyon podszedł do samej kraty.

- Rózo, chodź tutaj - rozkazał po prusku.

Dziewczynka podniosła się niechętnie i stanęła obok brata Semyona. Erhard zauważył, że pozostałe dzieci wreszcie zwróciły na nich uwagę.

- Daj mi prawą rękę, Rózo.

Mała wyciągnęła rękę z otwartą dłonią, drżąc przy tym lekko. Semyon chwycił ją mocno za nadgarstek.

- Bardzo dobrze, Rózo.

Obrócił się do Erharda i znowu przeszedł na niemiecki.

- Byłbyś uprzejmy użyć mi swojego sztyletu? - Wyciągnął rękę przez kraty.

Dziewczynka cicho łkała, jednak nie próbowała się wrywać.

Erhard w duchu odmówił Pater Noster.

- Proszę o sztylet - ponaglił go brat Semyon. - Nie mogę jej tu trzymać w nieskończoność.

Erhard zawsze był zdecydowanym człowiekiem, nieskorym do wewnętrznych rozterek. Nigdy też nie wątpił w swoją służbę, jednak widok dziewczynki trzymanej przez brata Semyona sprawiał, że jego pewność siebie zaczynała się kruszyć.

- Komturze krajowy Erhardzie! Czy mam ci przypomnieć, kto cię tu przysłał albo komu służysz?

Śluby były ważniejsze od wszelkich chwilowych wątpliwości. Erhard wyciągnął sztylet z pochwy przy pasie i podał Semyonowi. Ostrze zaślśniło słabo, odbijając odrobinę światła słonecznego wpadającego do środka przez otwory wentylacyjne w murze. Róża zeszywniała, śledząc wzrokiem ostrze.

W pomieszczeniu zrobiło się tak cicho, że Erhard usłyszał swój oddech.

Brat Semyon zagłębił ostrze w dziecinnej dłoni. Choć Erhard tego się spodziewał, wstrzymał oddech, jakby jego zraniono.

Róża zamknęła oczy i jęknęła. Krew ściekała między jej palcami.

Chryste, dopomóż! - pomyślał Erhard. Nie mógł nie pomyśleć o ranach od gwoździ na dłoniach Pana.

- Co chcesz mi w ten sposób zademonstrować?

- Patrz na nią, nie na mnie.

Erhard z powrotem spuścił wzrok na ociekającą krwią dłoń Róży. Krew zrobiła się gęsta, prawie czarna. Już krzepła, choć cięcie było głębokie.

Z doświadczenia zdobytego na polach bitewnych wiedział, że nawet drobne rany mogą długo krwawić, jeśli nie zostaną szybko opatrzone. Jednak krew tej małej dziewczynki przestała płynąć.

A potem stało się coś niemożliwego. Brzegi rany zaczęły się ze sobą łączyć, jakby ciało się topiło i zlewało ze sobą w dwóch strumieniach. Erhard obserwował, jak rana się skraca, a jej brzegi zamykają się wzdłuż dziecinnej dłoni, aż całkiem znikły.

Gdy brat Semyon puścił nadgarstek Róży, dziewczynka uciekła na środek celi i zwinęła się w kłębek, plecami do nich. Erhard miał wrażenie, że ona płacze.

Tak naprawdę jednak zlizywała zaschniętą krew z dłoni.

- Bardzo dobrze, Róžo - powiedział po prusku Semyon, podchodząc do niej. - Twój pan jest zadowolony. - Schylił się i z powrotem założył jej na nogę srebrną obręcz. Odezwał się do Erharda po niemiecku: - Mogą czuć ból jak ludzie, ale ich rany goją się błyskawicznie. Palce, kończyny, narządy, wszystko odradza się nawet bez blizn.

Erhard patrzył na istotę w celi. Jakaś jego część, ta ziemską, wciąż myślała o niej jak o dziecku. Część duchowa, ta służąca Bogu i zakonowi, widziała w niej coś innego, coś obcego i groźnego.

- Czy są nieśmiertelne? - zapytał, gdy strażnik opuścił włócznię i pomógł Semyonowi wyjść z klatki.

- Ależ skąd. Choć to potomstwo jakiegoś pogańskiego demona, są równie śmiertelne jak ty czy ja. Oczywiście starzeją się i można je zabić.

- W jaki sposób, skoro potrafią się tak uzdrawiać?

- Zniszcz lub usuń mózg albo serce, a nie przeżyją. Związane srebrem nie będą się leczyć szybciej niż człowiek. Jeśli zostaną ranione ostrzem ze srebra, będą dochodzić do zdrowia tylko odrobinę szybciej niż zwykły człowiek.

Erhard uświadomił sobie, że brat Semyon relacjonuje własne doświadczenia. Ile z tych „dzieci” miał do dyspozycji, skoro zdobył tak bogate doświadczenie? Ile mózgów i serc usunął, by dowieść ich śmiertelności?

- Czym one są? - zapytał Erhard, próbując opanować głos. - Skąd się tu wzięły?

- Na to, czym są, istnieje aż nazbyt wiele nazw. Ich rodzaj żyje w najciemniejszych ostępach dzikiej głuszy. Polują na ludzi. Przeżywa bardzo niewielu tych, którzy poznali prawdziwą naturę takiego potwora. A oni tylko przyczyniają się do rozpowszechniania strasznej legendy.

- Ale czym...

- Chodź, pokażę ci, co może cię spotkać przy nawracaniu tych pogańskich ziem na drogę Pana. Zaplanowałem na dzisiaj sesję szkoleniową dla Lilii.

- Szkolenie?

- O tak.

* * *

Brat Semyon oddał Erhardowi sztylet. Krew na klindze wciąż była jaskrawoczerwona i płynna.

Poszli na balkon wychodzący na główny dziedziniec klasztoru. Erhard zauważył, że wszystkie wejścia na dziedziniec zamknięto ciężkimi drzwiami wzmocnionymi żelazem. Usunięto też kamienne chodniki, pozostawiając nagą ziemię.

- Co tu się będzie działo? - zapytał Erhard.

- Zaraz zobaczysz.

W dole otwarły się drzwi. Dwóch odzianych w kolczugi strażników wprowadziło na dziedziniec nagą dziewczynkę. Miała długie rude włosy zasłaniające twarz. Strażnicy zdjęli jej z nóg srebrne kajdany.

- Bracie Semyonie...

- Proszę, obserwuj. Pytania zadasz później.

Ta dziewczynka, Lilia, nie mogła mieć więcej niż osiem lat, tyle co pozostali. Stała bez ruchu na skraju dziedzińca, jakby nie była świadoma, gdzie się znajduje. Wiatr się zmienił i Erhard odniósł wrażenie, że coś usłyszał.

Czyżby ona śpiewała?

Jeśli tak, robiła to bardzo cicho. Erhard był w stanie wyłowić tylko najlżejszy ślad melodii, trzy lub cztery nuty.

Strażnicy wycofali się przez drzwi, którymi weszli. Otworło się wejście po drugiej stronie dziedzińca. Na plac weszło sześciu mężczyzn - trzech strażników i trzech więźniów w łańcuchach.

Jeńcy byli Prusami. Wciąż mieli na sobie pancerze z grubej skóry, a na twarzy największego z nich widać było pozostałości niebieskiego malowania bojowego. Strażnicy wbili w ziemię miecze, dwaj wycelowali w pogan z kusz, a trzeci zdjął więźniom łańcuchy.

Potem strażnicy wycofali się przez drzwi, którymi weszli. Na dziedzińcu pozostało czworo ludzi - trzech wojów i mała dziewczynka.

- Co to, u diabła, ma być? - zawołał jeden z Prusów w dialekcie ledwie zrozumiałym dla Erharda. Był masywnie zbudowany, miał bujną czarną brodę i farbę na twarzy. - Bawicie się z nami w jakieś gierki, całujące Chrystusa dranie?

Lilia podniosła głowę. Twarz miała bez wyrazu, lecz jej zielone oczy lśniły nienawiścią.

- Żadnych gier - powiedziała.

Wszyscy trzej obrócili się w jej stronę. Obok tego masywnego stał szczupły mężczyzna z brodą zaplecioną w warkocz. Wbił wzrok w Lilię.

- Co się tu dzieje?

- Chcą, żebym z wami walczyła - cicho odpowiedziała Lilia.

- To jakiś żart. - Brodacz się roześmiał. Popatrzył na balkon, wprost na Erharda i brata Semyona. - Tak się zabawiacie, germańskie świnię? Chcecie, żebyśmy dla was zarznąli dziecko?

- Nie. - Lilia potrząsnęła głową. - Chcą, żebym to ja zarznąła was.

Trzeci z mężczyzn był łysy i niższy od pozostałych. Zacisnął dłoń w pięść i ruszył przez dziedziniec.

- Dziecko czy nie, gówniarz musi się nauczyć szacunku.

Zamachnął się i uderzył Lilię w twarz. Siła ciosu powinna ją przewrócić, jednak dziewczynka dalej stała na nogach. Łysy mężczyzna odwrócił się do swoich towarzyszy.

- Co za idiotycz...

Jego słowa utonęły w chrapliwym jęku. Lilia wskoczyła mu na plecy. Jej kończyny wydawały się większe, a twarz dziwnie zniekształcona.

Prus upadł na kolana, próbując zrzucić siedzącą mu na plecach dziewczynkę.

Tylko że to już nie była dziewczynka. To było stworzenie o długich kończynach i

czerwonym futrze, z wilczym pyskiem, w którym błyszczały długie kły. Wkrótce mężczyzna przestał się wyrywać, legł martwy.

Dwaj Prusowie otrząsnęli się z szoku i sięgnęli po wbite w ziemię miecze.

Potwór ledwie zdążył zejść z pleców trupa, gdy mężczyzna z brodą ciał go w kark. Straszna istota tylko obróciła pysk, złapała nadgarstek mężczyzny w zaślinioną paszczę, potrząsnęła głową na boki i rozluźniła szczęki.

Wojownik upuścił miecz, zatoczył się do tyłu, obejmując zdrową ręką swoje ramię i wykrzykując jakieś obelgi. Drugi Prus zdołał wbić miecz w brzuch potwora.

- Giń! - wykrzyknął triumfalnie.

Przednie łapy stwora wciąż dostatecznie przypominały ludzkie dłonie, by chwycić uzbrojoną w miecz rękę napastnika. Przerazająca istota przemówiła dziecięcym głosem:

- Nie. Wcale nie.

Prus chciał cofnąć rękę, ale jedynie przyciągnął potwora do siebie. Lilia kontynuowała jego ruch, ciągnąc do przodu i wbijając miecz głębiej w swoje ciało, aż jelec oparł się o brzuch, a gardło mężczyzny znalazło się w jej zasięgu.

Erhard był świadkiem niezliczonych bitew i wielokrotnie widywał ludzką śmierć, często sam ją zadawał własnym mieczem, jednak odwrócił wzrok.

To nie była bitwa. Nie różniło się to wiele od zabaw pogańskich Rzymian rzucających chrześcijańskich męczenników na pożarcie dzikim zwierzętom ku uciesze gawiedzi.

Popatrzył na brata Semyona, który przyglądał się rzezi z fascynacją. Erhard musiał sobie przypomnieć w duchu, że to sługa boży, który złożył takie same śluby jak on. Nie do niego należało osądzanie serca innego człowieka. Erhard czuł wielką wdzięczność, że sąd ten spoczywał wyłącznie w rękach Pana.

- Nie odwracaj się, bracie Erhardzie - odezwał się cicho Semyon.

Erhard niechętnie skierował wzrok z powrotem na dziedziniec. Dwaj wojowie zginęli od potężnych ran szyi, a ostatni żywy poganin wycofał się do rogu, niezdarnie trzymając jedną ręką miecz, wetknąwszy pod pachę rozszarpaną rękę.

Lilia stanęła przed nim wyprostowana, pokryta krwią.

Ranny Prus ze wszystkich sił starał się utrzymać drżący czubek miecza między sobą a Lilią.

- Nie zbliżaj się...

Lilia wolno ruszyła ku niemu. Zatrzymała się o krok przed grożącą jej klingą.

- Nie pozwolę ci... - wyjąkał Prus.

Chwyciła ostrze swoją ni to dłonią, ni to łapą i z łatwością wyrwała mu broń z ręki. Na jej

łapie pojawiła się krew, ale rozcięcie niemal natychmiast znikło. Potężna rana na brzuchu również zdążyła się już zasklepić.

Brodaty wojownik łkał głośno.

- Na bogów - wyszeptał. - Łaski!

- Czemu?

Lilia skoczyła na niego, nie dając mu nawet szansy na krzyk.

* * *

Wilczy miot - tak zostały nazwane przez brata Semyona bestie, które w każdej chwili mogły ukryć się w ludzkiej skórze. Stwory czające się w koszmarach każdej wioski i osady pośród tych dzikich lasów.

Lilia stała na dziedzińcu, znowu w formie ludzkiego dziecka. Naga, pokryta krwią, przypatrywała się Erhardowi. Zza pozlepianych w strąki włosów jej oczy błyszczały zielenią.

- Skąd ona... - zaczął Erhard. - Skąd to się wzięło?

- Taki potwór - wilk wielkości i postury człowieka - wymordował braci zakonu prawie osiem lat temu.

Brat Semyon ani na chwilę nie odwrócił wzroku od dziewczynki.

- Nigdy o tym nie słyszałem - zauważył Erhard.

- Nie rozgłaszaliśmy tego. Działo się to w czasach, gdy wciąż broniliśmy króla Węgier przed Kumanami, trzy lata przed tym, zanim ten niewdzięcznik wygnał nas, bo wymagaliśmy należnego nam szacunku... - Brat Semyon się uśmiechnął. - Ale nie obchodzi cię polityka, prawda?

- Taki stwór zaatakował zakon?

- Mój konwent. - Semyon kiwnął głową. - Moich braci. Przechodziliśmy przez granicę. Bestia zaatakowała nasze konie, gdy spaliśmy. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, z czym przyszło się nam zmierzyć, i sądziliśmy, że napadli nas ludzie. - Wreszcie obrócił się do Erharda. - Wiesz, w dzikich ostępach Transylwanii wciąż żywe są pogańskie kultury. O pobliskiej osadzie mówiło się, że nie przyjęła w pełni Chrystusa, udaliśmy się tam więc, by poszukać zadośćuczynienia za nasze straty.

- Co tam znaleźliście?

- Z początku wieśniacy zapewniali nas o niewinności. Jednak byłem przekonujący. Odkryłem kapłana ich fałszywego boga i święty gaj oraz opowieści o mściwych duchach i stworach żyjących w lasach.

- Wilczy miot?

- To moja nazwa, nie ich. Nie skażę sobie języka nazwami pogańskich bóstw, którymi nazywano te stwory...

- I co się stało?

- Mój komtur był prawym człowiekiem, ale zbyt miłosierny przy pracy na rzecz Pana. Nie podobała mu się agresywność mojego przesłuchania ani koszt krwi potrzebnej do uzyskania odpowiedzi. Zakuł kapłana w kajdany i wysłał mnie, bym medytował nad miłosierdziem naszego Pana. Tej nocy bestia przyszła po braci i gdy wróciłem z mojego odosobnienia, znalazłem tylko ich krew. - Semyon znowu wpatrywał się w Lilię. - Jednak stwór zostawił mi kapłana.

- Panie, miej łaskę!

- Ja jej nie okazałem. I zanim kapłan zginął, dowiedziałem się wszystkiego.

Kapłan powiedział, że ofiarami wioski żywiła się jakaś bestia. Wierzył, że wezwał ją i skierował jej gniew przeciwko chrześcijanom. Od niego Semyon dowiedział się o zdolności do zmiany postaci, możliwości uzdrowienia niemal każdej rany oraz, co najważniejsze, o jej słabości.

- Wcześniej odebraliśmy kapłanowi sztylet ze srebra. Po jego śmierci wziąłem tę broń i poszedłem za bestią do jej kryjówki. Potwór był potężniejszy od dzieci, których tu widziałeś, i tylko łasce Boga zawdzięczam, że zdołałem zadać mu śmiertelny cios w gardło.

- A te dzieci?

- Ta bestia karmiła swój miot, bracie Erhardzie. Nasze konie, moi bracia... wszystko było mięsem do jej spizarni. W legowisku znalazłem kości, na wpół pożarte ciała oraz dziesięć jej szczeniąt. Miały najwyżej dwa miesiące.

- Róża? Lilia?

- Zrodzone z tego stwora i wykarmione ludzkim mięsem.

Erhard długą chwilę modlił się w duchu, zanim zdołał podjąć rozmowę.

- Z pewnością to ręka samego diabła. Jak zakon może nieść pomoc takim stworom?

- Ta sprawa wzbudziła ożywioną debatę. Chodź, oświecę cię. - Semyon wyprowadził go z balkonu w chwili, gdy na dziedziniec weszło trzech strażników, by ponownie założyć Lilię srebrne kajdany.

* * *

W panteonie pogan te stwory były uosobieniem ich okrutnych bogów o czerwonych szponach i kłach. Oczywiście - jak stwierdził Semyon - było to złudzenie szatana, mające ukryć przed pogańskimi sercami i umysłami chwałę Boga i odwieść ich od zbawienia.

Gdy boża opatrzność doprowadziła brata Semyona do znalezienia miotu tych stworów, rozgorzała debata, jakiego rodzaju są oszustwem.

Rozważano trzy możliwości.

Pierwsza - stwory te należą do legionu piekielnego, są demonami wysłanymi na ziemię na zgubę ludzkości. Przeczyły temu trzy fakty. Stwory składały się z ziemskiej materii - ciała, krwi i kości, jak każde zwierzę. Były również śmiertelne; ich zabicie było trudne, ale nie niemożliwe. Ostatnim dowodem były niemowlęta, świadczące o tym, że stwory rodziły, dorastały i starzały się, czego skutkiem była śmierć.

Druga możliwość - stwory pochodzą od ludzi, wiedźm i czarowników, którzy opanowali demoniczne siły dające im zdolność przemiany. Jednakże argumentem przeciw był fakt, że zranione stwory w iście cudowny sposób wracały do zdrowia. To mogło być jedynie darem Boga. W dodatku siły piekła są podatne na egzorcyzmy. Jednak słowa Chrystusa nie miały żadnej władzy nad ciałami tych istot ani nie powstrzymywały ich przemian.

Jeśli więc stwory nie były ani demonami, ani opętanymi ludźmi, zostawała tylko trzecia możliwość - są jakimiś zwierzętami nieznanymi na ziemiach chrześcijan. Nie są demonami bardziej niż stwór, który połknął Jonasza. Po prostu to zwierzęta. Można je wyszkolić jak psa, konia czy niewolnika.

Na koniec brat Semyon wyjaśnił, jak słuszne było, by chrześcijaństwo wykorzystało fałszywe widzenie świata pogan przeciw nim.

Erhard słuchał opowieści Semyona i wspominał Lilię stojącą naprzeciw pruskiego woja.

Czy coś takiego mogło być narzędziem Boga?

Z drugiej strony czy było to okrutniejsze od tego, co widział i robił na Ziemi Świętej? Jeśli taką drogę wybrał dla niego Pan, Erhard będzie musiał nią podążać.

- Bracie Semyonie - odezwał się - powiedziałeś, że znalazłeś dziesięć tych stworów. Widziałem tylko sześć.

Semyon pokiwał głową.

- Ich szkolenie nie było łatwe.

PRYMA

Anno Domini 1239

Nolite fieri sicut equus et mulus,
quibus non est intellectus.
In camo et freno maxillas eorum constringe,
qui non approximant ad te.

Nie bądźcie bez rozumu niczym
koń i muł:
tylko wędzidłem i uzdą można je okiełznać,
nie zbliżą się inaczej do ciebie.

Psalm 32:9

VI

Dziesięć lat po przybyciu brata Semyona do zrujnowanego klasztoru nad Drwęcą komtur krajowy Erhard von Stendal zostawił Lilię pod opieką twierdzy w Johannisburgu. Początkowo wcale nie planował ponownie odwiedzać tej placówki. Był w drodze do Balagi, jak każdej wiosny od prawie dziesięciu lat szykował się do wiosennych kampanii na wschodzie.

Jednak dogonił go kurier ze zwojem pergaminu z pieczęcią Wielkiego Mistrza Zakonu. „Twoja obecność wymagana jest w naszych domach w Marienwerder nie później niż na Wielkanoc tego roku”, przeczytał.

Wiadomość podpisał wielki mistrz Konrad z Turynгии. Jego poprzednik, Hermann von Salza, wyniósł Erharda na stanowisko komtura krajowego. Konrad nosił tytuł wielkiego mistrza dopiero od kilku tygodni, a już nieoczekiwanie znalazł się w Prusach i żądał widzenia.

Erhard rozważał zabranie Lilii ze sobą, jednak pomimo jej przeszkolenia wciąż stanowiła zbyt wielki sekret. Gdyby rozeszła się wieść, że w konwencie rycerzy przebywa dziewczyna skuta srebrnym łańcuchem, zrodziłyby się pytania bardzo niekorzystne dla Erharda, jego zakonu i misji.

Na szczęście Johannisburg był małym miastem i dysponował twierdzą dobrze przystosowaną do bezpiecznego przechowania Lilii. Erharda nie martwił niewielki garnizon twierdzy. Lilia spośród swego rodzeństwa była najbardziej posłuszna, najinteligentniejsza i akceptowała przydzielane jej misje. Doskonale ucieleśniała plany brata Semyona dotyczące wilczego miotu i stanowiła zagrożenie tylko dla wrogów Boga i zakonu.

W Johannisburgu potulnie weszła do celi, by czekać na powrót swojego pana.

Od tamtej chwili minął prawie tydzień.

Komtur krajowy Erhard von Stendal wraz z pocztym dotarł do Marienwerder, a jego wierzchowiec brnął ulicami przez mieszaninę błota, odchodów i gnoju, śmierdzącą pomimo zimna.

Budynki nachylały się nad ulicami, stłoczone między murami miejskimi a przedmurzem zamku. Tutejsze biskupstwo ustanowiono niecałe dziesięć lat temu, a mimo to bramy, przez które przejechał Erhard, prowadziły do najważniejszego miasta w chrześcijańskich Prusach -

równie ludnego i zróżnicowanego, jak każde inne na północnych ziemiach chrześcijan. Wokół Erhard słyszał mowę niemiecką, francuską i włoską, nawet szerokonosych Prusów można było zrozumieć.

Zamek był trzykrotnie większy od twierdzy w Johannisburgu i pełen ludzi. Stajenni przejeźli konie, a służący zaprowadzili przyjezdnych do koszar, w których bez trudu pomieściłoby się czterdziestu rycerzy.

Erhard ze swoją świtą zjedli wieczorny posiłek z miejscowymi braćmi - było ich ponad dwa tuziny, dość na dwa pełne konwenty. Jedli w milczeniu, słuchając Pisma Świętego, a gdy odczytano modlitwy końcowe i służący zebrali resztki chleba na jałmużnę, jeden z braci podszedł do Erharda i powiedział:

- Teraz możesz do nich iść.

* * *

„Oni” okazali się kilkoma najwyżej postawionymi członkami zakonu krzyżackiego w Prusach. Był tam komtur krajowy Prus oraz sam wielki mistrz, Konrad z Turynгии. Przy prawej ręce Konrada siedział nieznany Erhardowi mężczyzna w szacie biskupiej. Bracia zakonu byli skromnie ubrani w jasne lniane szaty, ozdobione wyłącznie czarnym krzyżem zakonu. Jedynym odstępstwem od ascetycznych strojów rycerzy były pierścienie na palcach wielkiego mistrza Konrada, stanowiące oznakę jego rangi.

Biskup był tu nie na miejscu niczym paw w stadzie gawronów. Jego dłonie lśniły od pierścieni, szatę miał barwną, aksamitną, z nieprzyzwoicie obszernymi rękawami obszytymi futrem. Był tęgi, ciężki złoty łańcuch z krzyżem zniknął w fałdach na jego karku.

Ku zaskoczeniu Erharda właśnie biskup odezwał się pierwszy.

- Tyś jest komtur krajowy Erhard von Stendal? - zapytał po niemiecku z silnym obcym akcentem.

- Tak, Wasza Eminencjo.

Biskup kiwnął głową.

- Posiadasz tytuł dowódcy krajowego, choć nie masz żadnego kraju. Możesz mi powiedzieć, jak uzyskałeś ten tytuł?

Erhard zmrugał oczy i spojrzał na wielkiego mistrza Konrada. Wielki mistrz miał bardzo poważny wyraz twarzy.

- Odpowiedz na pytanie biskupa Cecilio.

- Został mi on nadany przez wielkiego mistrza Hermanna von Salzę, gdy służyłem w Jerozolimie.

Biskup burknął coś po włosku. Erhard nie znał tego języka dość dobrze, by zrozumieć w pełni, ale brzmiało to trochę jak „głupie marnowanie zasobów”.

Erhard wyprostował się nieco bardziej, stawiając opór zupełnie niechrześcijańskim uczuciom, które zaczęły wzbierać w jego piersi. Wiedział, że w Kościele nie brakuje ludzi kwestionujących priorytet misji zakonu na północy. Uważali oni, że wszelkie siły chrześcijaństwa należy skierować na wspieranie obrony Ziemi Świętej. Poganie zamieszkujący nad Morzem Bałtyckim ich nie obchodzili.

Takim ludziom nie podobało się, że zakon szybko urósł tu w siłę i że dużo więcej świeckich krucjat rekrutowano na rzecz kampanii w Prusach niż wspierania słabego oporu stawianego przez Kościół niewiernym w Jerozolimie. Nie brali pod uwagę faktu, że rycerze uczestniczący w krucjatach do Prus mieli do przebycia znacznie krótszą i łatwiejszą drogę, a po zakończeniu kampanii mogli wrócić do domu w miesiąc. Dla ludzi pokroju biskupa każdy miecz w Prusach oznaczał jeden miecz mniej w Ziemi Świętej.

Erhard podziękował Bogu, że nie jego zadaniem jest prowadzenie tu dyskusji. Czekał na dalsze pytania. Biskup jednak zwrócił się do wielkiego mistrza Konrada tonem, który zdaniem Erharda graniczył z brakiem szacunku.

- Czy tego rodzaju wyniesienie jest powszechną praktyką w niemieckim zakonie?

Kim jest ten wstrętny człowiek? - pomyślał Erhard.

Wielki mistrz Konrad przedstawił biskupowi normalną procedurę awansów braci zakonnych. Erhard przyglądał się gestykulacji biskupa w trakcie rozmowy z wielkim mistrzem. W błyskach klejnotów zobaczył wyjaśnienie i bardzo mu się ono nie spodobało.

Między pierścieniami dostrzegł sygnet papieski.

Biskup był przedstawicielem papieża, i to papieża wrogo nastawionego do zakonu. To był zły znak. Zakon krzyżacki rozkwitał przez ostatnie dziesięć lat dzięki podwójnemu patronatowi Fryderyka II, cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego, oraz papieża Grzegorza IX. Obaj przywódcy, duchowy i świecki, obdarzyli zakon krzyżacki władzą nad Prusami. Wspieranie zakonu było jednym z niewielu punktów, w których tych dwóch władców się zgadzało. Wrogość między Grzegorzem a Fryderykiem narosła do tego stopnia, że gdy cesarz udał się do Ziemi Świętej, by wypełnić śluby uczestnictwa w krucjacie, papież wręcz najechał jego ziemię.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat panował między nimi względny pokój głównie dzięki dyplomatycznym talentom wielkiego mistrza Hermanna von Salzy, utrzymującego przyjazne stosunki z obydwojema władcami. Jego umiejętności nie tylko umożliwiły zawarcie pokoju między ziemiami papieskimi a cesarstwem; zdołał też tak zwiększyć potęgę zakonu, że stał

się on niemal autonomiczną siłą rządzącą na północy Europy. Na terenie Prus zakon krzyżacki w świetle prawa podlegał tylko papieżowi, a w praktyce odpowiadał wyłącznie przed Bogiem.

Jednakże Erhard słyszał, że od czasu niedawnej śmierci Hermanna von Salzy wątki pokój między papieżem a cesarzem zaczynał się kruszyć. Wyglądało na to, że przy okazji zaczęły się sypać fundamenty pozornie nieograniczonych przywilejów zakonu.

Gdy wielki mistrz Konrad skończył objaśnianie zwykłej procedury awansów w szeregach zakonnych braci, biskup Cecilio popatrzył na Erharda głęboko osadzonymi oczami.

- W twoim wypadku było inaczej, prawda?
- Owszem, Wasza Eminencjo, inaczej.

Erhard z twarzy biskupa wyczytał, że temu człowiekowi nie wystarczy zwykły szacunek. Biskup Cecilio był przyzwyczajony do rządzenia przez strach. Poczucie uprawnienia do władzy, jakie Erhard wyczuwał w tym człowieku, stało w jaskrawym kontraście do wielkiego mistrza Konrada, który kilka lat wcześniej zrzekł się szlachetnego urodzenia i przynależnego mu tytułu, by wstąpić do zakonu jako prosty rycerz.

- Może wyjaśnisz nam swoją pozycję i sposób, w jaki ją osiągnąłeś.

Erhardowi nie podobał się kierunek, w którym zmierzało to przesłuchanie. To, co robił dla zakonu, było tajemnicą o przeogromnym znaczeniu. Spojrzał na wielkiego mistrza Konrada, szukając u niego wskazówek.

- Za pozwoleniem mojego mistrza, Wasza Eminencjo.
- Nie nadwerężaj mojej cierpliwości, bracie Erhardzie. Przybyłem tu zbadać tę sprawę z pełnią autorytetu papieża.

Erhard pokłonił się biskupowi.

- Któremu jestem winien posłuszeństwo i lenno. Przede wszystkim służyć Jego Świątobliwości. Jednak winien jestem posłuszeństwo memu mistrzowi zaraz po Bogu.

- Cóż za bezczelność! - burknął biskup. Erhard był gotów na gwałtowniejszy wybuch, lecz biskup Cecilio się opanował. Wyglądało na to, że zakon wciąż tu rządzi, choć równowaga była bardzo chwiejna.

- W tej sali nie ma żadnych tajemnic. - Wielki mistrz Konrad splótł palce. - Mów otwarcie i oświeć biskupa Cecilio w sprawie sposobu, w jaki służyłeś Bogu, Kościołowi i zakonowi przez ostatnie dziesięć lat.

Erhard w duchu pomodlił się o siłę i rozpoczął relację.

- W roku Pańskim tysiąc dwieście dwudziestym dziewiątym w Jerozolimie zostałem wezwany na audiencję do wielkiego mistrza Hermanna von Salzy...

Opowiedział o małych dzieciach z wilczego miotu szkolonych przez brata Semyona w zrujnowanym klasztorze. Opowiedział, jak wytresowane bestie budziły panikę w wioskach. Opowiedział, jak zdołali użyć dziecka z wilczego miotu do zdobycia oblężonego pruskiego fortu, który opierał im się przez prawie rok. Jeden stwór wymordował dowódców, zniszczył morale i zasiał panikę wśród obrońców. Gdy zakon szerzej wprowadził tę taktykę, Prusowie sami otwierali bramy twierdz przed napastnikami. Wierzyli, że starzy bogowie przyszli ich ukarać, a zakon z radością oferował im ochronę w postaci mocy Chrystusa.

- Dzięki tym bestiom - podsumował Erhard - przesunęliśmy granice chrześcijańskiego świata daleko w głąb Prus, przy małych stratach i większej liczbie neofitów. - Erhard nie wspomniał o stratach wśród wilczego miotu. Większość nie dorównywała Lilii w nauce podstaw taktyki i zginęła od ran zbyt ciężkich, by się uzdrowiły.

- Rozumiem. - Biskup pokiwał głową. - Masz jeszcze coś do powiedzenia?

- Tylko tyle, że to opatrność naszego Pana oddała w nasze ręce te wyjątkowe stwory i Jego ręka oraz nieustająca łaska pozwalała nam osiągać sukcesy w walce na tych pogańskich ziemiach.

Biskup potarł nos swoimi przypominającymi kiełbaski palcami. Światło lamp odbiło się od jego twarzy błyszczącej od potu. Erhard uważał kamienne sale za chłodne, ale też nie był ubrany w liczne warstwy ciężkich strojów, nie był też tak otyły.

- To nieprzyzwoitość - oświadczył w końcu biskup.

- Wasza Eminencjo... - zaczął Erhard.

- Twoje zeznanie dobiegło końca - warknął biskup. - Z twojego świadectwa jasno wynika, że zaangażowałaś się w przekraczającą wszelkie pojęcie obrazę przeciwko Bogu i naturze. Masz czelność mówić o łasce i opatrności boskiej?

Erhard zrobił krok wstecz i potrząsnął głową. Rzucił błagalne spojrzenie na Konrada.

- Ale...

Biskup oskarżycielsko wystawił palec w stronę Erharda.

- Zamilcz, bo każę cię uciszyć.

Konrad nie zareagował, więc Erhard umilkł pokornie.

- Przybyłem tu, by przeprowadzić śledztwo dotyczące działań zakonu. Wysłuchałem relacji o potworach będących pod opieką twoją oraz brata Semyona von Kassel. Podobno trzy zginęły z rąk pogan, przeciwko którym zostały wysłane. - Przechylił głowę, a jego następne słowa pełne były jadu. - Z pewnością to oczywisty znak łaski Pańskiej.

Erhard nie zamierzał nic wyjaśniać. W tej chwili tylko pogorszyłby sytuację. Sprawa została przegrana na długo przed tym, zanim przekroczył bramy Marienwerder.

Biskup uderzył otwartą dłonią w stół, głośno stukając pierścieniami w drewno.

- Udzieliłeś schronienia agentom szatana. Co gorsza, karmiłeś te demony ludzkim ciałem i używałeś ich, by przydawać sobie chwały na polu bitwy. Zostałeś tak głęboko i nikczemnie zwiedziony przez Ojca Kłamstw, że zwątpiłem w możliwość twojego odkupienia. Masz szczęście, że są ludzie wysoko oceniający twoją prawość, a we własnym świadectwie nie uległeś pokusie oszustwa. Twojemu zakonowi pozostawiam wybór właściwej pokuty dla ciebie.

- Jak życzy sobie Jego Świątobliwość - odezwał się w końcu Konrad. - Jeśli brat Erhard zrobił coś złego, nie było to jego zamiarem. Jest wiernym sługą Boga i Kościoła. Jeśli zszedł na złą drogę, zakon też jest za to odpowiedzialny.

- Tak - łaskawie zgodził się biskup Cecilio. - Jego Świątobliwość będzie oczekiwał właściwej pokuty również od zakonu.

- Powrócisz do Rzymu z daniną, którą Jego Świątobliwość powinien uznać za aż nadto wystarczającą.

- O tym, oczywiście, nie mnie decydować. - Biskup zwrócił się do Erharda. - Jednak w imieniu papieża domagam się natychmiastowego zniszczenia tych obrzydliwych stworów w płomieniach.

Biskup musiał zobaczyć niepokój na twarzy Erharda, bo pozwolił sobie na lekki uśmieszek.

- Tak, nie musisz się już martwić bratem Semyonem ani stworem, który pozostał pod jego opieką. Z nimi już sobie poradziliśmy, a miejsce jego grzesznych praktyk zostało spalone i oczyszczone przez egzorcyzmy. Możesz odejść. - Dostojnik wykonał niedbały gest dłonią. - Będę się modlił za twoją duszę.

Jego ton sugerował, że wcale tego nie robi.

* * *

Erhard czuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Nigdy nie brał pod uwagę możliwości...

Zacisnął pięści i oparł się o ceglany mur korytarza. Nie, wcale nie chodziło o to, że papież nie wiedział, co Erhard robi w imię Boga i zakonu. Papież sam zatwierdził argumentację, którą brat Semyon przedstawił dawno temu.

Od prawie osiemnastu lat dekretem papieskim stwory te uznawane były za istoty ziemskiego pochodzenia.

Sytuacja się zmieniła, pomyślał Erhard.

Nie było przyjemne dopuścić do siebie świadomość, że Kościół podejmował decyzje

moralne na bazie polityki, ale papież był przywódcą nie tylko duchowym, ale i ziemskim. Ziemscy władcy często zbaczali ze ścieżki tego, co słuszne, na ścieżkę tego, co korzystne.

Jego świątobliwość Grzegorz IX uznał, że nie leży już w interesie jego potęgi, by zakon rycerski tak bliski rywalizującemu z nim cesarzowi dysponował tak potężną bronią.

Dzieci wilczego miotu brata Semyona były zbyt skuteczne.

Komtur krajowy Erhard von Stendal wiedział o tym, ale zdawał sobie także sprawę, że jego wiedza nie wpływała na obowiązki wobec Boga, zakonu i Kościoła. Złożył śluby posłuszeństwa. Będzie musiał wrócić do Johannisburga i spalić Lilię na stosie.

Przypomniawszy sobie zdarzenie, które miało miejsce krótko po tym, jak przejął odpowiedzialność za dzieci wilczego miotu od brata Semyona. Biczował Lilię za jakieś przewinienie, nie pamiętał już jakie. Gdy skończył, a jej plecy zaczęły się goić, podniosła na niego wzrok.

- Panie...

W pierwszym odruchu znów chciał ją uderzyć za odezwanie się bez pytania, ale coś - może litość - go powstrzymało.

- Czy ty masz swojego pana? - zapytała.

- Moim panem jest Król i Zbawca, Jezus Chrystus.

- Czy twój pan Jezus bije cię, gdy nie wypełniasz jego poleceń?

Erhard patrzył na jej dziecinną twarz, ale widział tkwiącą w niej bestię.

- Jeśli Go nie słucham, mój Pan robi coś znacznie gorszego. Odwraca się ode mnie plecami i opuszcza mnie.

Kiwnęła głową, jakby rozumiała, o czym mówi.

- Proszę, nie odwracaj się do mnie plecami - poprosiła go.

Słowa te brzmiały echem w jego pamięci, gdy w korytarzu rozległy się kroki. Erhard zobaczył jednego ze swoich młodych rycerzy, biegnącego z niestosownym pośpiechem. Byłby go zbeształ, ale na twarzy młodego rycerza rysował się wyraźny niepokój.

- Co się stało?

- Właśnie dotarł posłaniec z Johannisburga - wydyszał rycerz głosem ochryplym i bez tchu.

- Jakie wieści? - Erhard chwycił go za ramię.

Gdy usłyszał nowinę, poczuł, jak droga, którą Bóg rozwijał przed nim przez ostatnie dziesięć lat, rozpada się, pozostawiając mu pod stopami otchłań.

VII

Gedim wracał z Johannisburga w paskudnym nastroju. Niełatwo było utrzymać rodzinę, zwłaszcza zimą, ale z tym już się pogodził. Teraz jednak musiał jeszcze radzić sobie ze złożonymi zasadami handlu wprowadzonymi przez zakon. Zawiózł do Johannisburga skóry, miał nadzieję wymienić je na trochę żelaznych narzędzi - motykę, siekierę lub wymarzony pług, który by zastąpił nieustannie wymagającą naprawy drewnianą sochę.

Oczywiście jego skóry nie wystarczały na nowy pług, w dodatku strażnik przy bramie miejskiej zabrał jedną czwartą jego towarów w charakterze daniny.

Chciał splunąć strażnikowi w twarz i powiedzieć: „Kłaniam się przed waszym bogiem. Jak bardzo chcecie nas jeszcze poniżyć ponad to, co już cierpimy?”. Nie zrobił tego jednak, bo człowiek odbierający mu skóry też był Prusem. Gedim chyba znał jego ojca. Tak jak Hilda, strażnik został ochrzczony - choć był w wieku Uldolfa, prawdopodobnie więc pamiętał, jak wyglądało życie, zanim krzyż rzucił swój cień na miasto.

Tak więc wracał bez nowych narzędzi. Na prawie pustym wozie stała tylko skrzynka solonych śledzi.

Kupił także buteleczkę lekarstwa dla Hildy. Żona robi mu awanturę. Cóż on wiedział o leczeniu chorych? Burthe zapewne powie mu, że mikstura jest bezużyteczna przy gorączce dziecka i tylko zmarnował pieniądze. Wolał jednak kłócić się o to, niż nie zrobić kompletnie nic dla córki.

Zresztą mieli teraz śledzie.

Jego wóz pokonał ostatni zakręt na gruntowej drodze przed gospodarstwem i przed jego oczami pojawiła się chata o nierównych, kamiennych ścianach, kryta strzechą.

Na ławce przed chatą siedział Uldolf, czyścił skórę jakiegoś małego zwierzęcia.

Znowu kłusował...

Wyprzegając niespiesznie konia, Gedim się zastanawiał, czy powinien zbesztać Uldolfa. Obaj świetnie wiedzieli, że mały obszar, na którym wolno było kmieciom polować, został oczyszczony ze zwierzyny na początku zimy. Żeby zdobyć zająca, z którego teraz zdzierał skórę, Uldolf musiał udać się prawie pod mury Johannisburga.

Ale jak tu go zbesztać? Przecież Gedim wrócił z handlu owocami kłusownictwa syna.

Wyprowadził konia na niewielką łączkę i zdjął z wozu skrzynkę z rybami. Choć nie mógł

do końca pochwalić tego, co robił jego syn, zazwyczaj udawał, że nie ma pojęcia, skąd pochodzi przyniesiona przez niego zwierzyzna.

- Jak się ma Hilda? - zapytał chłopaka.

- Przed chwilą oczy się jej świeciły i paplała radośnie. W nocy spadła gorączka.

Mało brakowało, a zatoczyłby się z ulgi. Osobiście podziękuje samemu Chrystusowi, jeśli okaże się, że trzymane w kieszeni lekarstwo naprawdę będzie stratą pieniędzy.

Ruszył do drzwi. Hilda spała, gdy wyjechał do Johannisburga cztery dni temu. Dobrze będzie zobaczyć ją przytomną.

- Ojciec... - Uldolf odłożył nóż i chwycił Gedima za rękę.

- O co chodzi?

Uldolf spuścił wzrok, wyglądał na zakłopotanego.

- Mamy gościa.

* * *

Gedim zdołał wyciągnąć z Uldolfa całą historię pomimo niechęci chłopaka do podawania szczegółów. Nie był pewien, czy syn jest zawstydzony, skromny czy boi się, że ojciec się na niego rozzłości. Jednak w końcu opowiedział wszystko.

„Dzień po twoim wyjeździe do Johannisburga znalazłem ją w lesie i przyniosłem tutaj. Była ranna, chyba napadli ją bandyci. Obchodziłem pozastawiane wnyki i szedłem wzdłuż strumienia. Z początku mnie nie rozumiała, chyba z powodu tej rany na głowie. I ma też paskudną ranę na ramieniu”...

Trwało to dość długo, ale ojciec wyciągnął z Uldolfa całą historię. Dopiero około czwartego powtórzenia dotarło do niego, że ranna kobieta leżała nago w strumieniu i Uldolf przyniósł ją do domu.

Gedim złapał się na rozmyślanii, czy w trakcie tej przygody ucierpiała peleryna Uldolfa. Nie mieli możliwości zastąpienia czymś tak ciepłego okrycia, nie było ich na to stać.

Ta myśl go zawstydziała.

Kiedyś Gedim był członkiem klanu wojowników rządzącego wioską Mejdân, młodszym bratem Radwena Seigsona, dziedzicem wielkiego bogactwa - ziemi, niewolników i bydła. Po upadku Mejdânu został jednym z nielicznych ochrzczonych, których zakon krzyżacki, w swojej dziwnej chrześcijańskiej logice, uznał za „szlachetnie urodzonych”. Zakon pozwolił mu więc zachować parę sztuk bydła i kilku niewolników.

W ciągu ostatnich ośmiu lat Niemcy przejęli zdecydowaną większość tego majątku - jeśli niejako podatki i daniny, to na drodze prostej wymiany, gdy brakowało mu środków na

wyżywienie rodziny przez zimę.

Ostatni wół zakończył żywot zeszłej zimy, a Gedim nie chciał przyznać, że jego mięso i ziarno zaoszczędzone na paszy umożliwiło im przetrwanie tej zimy.

Wolał nie myśleć, co czeka ich za rok.

Gdy Uldolf skończył swą relację, żona Gedima zawołała ich obu na obiad.

Weszli za Burthe do chaty. W zapachu gotowanej kaszy jęczmiennej Gedim wyczuł również nieco mięsa byłego właściciela skóry czyszczonej przed domem przez Uldolfa.

Po raz pierwszy od wielu, wielu dni zobaczył Hildę nie w łóżku. Siedziała przy palenisku, nad którym na żelaznym haku wisiał kociołek z jedzeniem. Z głębokim skupieniem mieszała w kociołku drewnianą łyżką o długim trzonku.

Nowo przybyła miała na sobie wytartą koszulę i poszarpaną sukienkę, które Burthe przechowywała, by przerobić na ubranie dla Hildy. Przez szeroki otwór pod szyją Gedim dostrzegł brzeg bandaży na barku dziewczyny. Bandaże owijały też jej głowę, trudno więc było mu ocenić ranę, o której opowiedział mu Uldolf. Miała długie rude włosy. Sposób, w jaki uśmiechnęła się do Uldolfa, w żaden sposób nie zdradzał, że otarła się o śmierć.

- Jak masz na imię, dziecko? - zapytał ją Gedim.

Zmarszczyła brwi.

- Ona cię nie rozumie - rzekł Uldolf.

- Mówiłeś do niej po prusku? - Gedim powtórzył po niemiecku: - Jak masz na imię?

Nie zareagowała znowu.

Usiadł na krześle przy stole naprzeciw dziewczyny i uważnie się jej przyjrzał.

Mogła mieć jakieś siedemnaście lat.

- Skąd się wzięłaś? - zapytał. - Jak mamy cię odesłać z powrotem do domu?

Otworzyła usta, ale tylko burknęła coś niewyraźnie. Potrząsnęła głową i spuściła wzrok.

- Widzisz... - zaczął mówić Uldolf.

- Ciii, synu. - Gedim podniósł rękę, ucinając protesty.

Gdy był wojownikiem, zanim ten region Prus stał się krainą chrześcijańską, widywał mężów cierpiących po ranach głowy, którzy na zawsze ulegali odmianie. Takie uderzenie mogło uszkodzić człowieka w sposób znacznie dotkliwszy niż utrata oka czy ręki.

- Rozumiesz, co do ciebie mówię, prawda, dziecko?

Patrzyła na niego swoimi przenikliwymi zielonymi oczyma. Znowu spróbowała odpowiedzieć, lecz wargi jej zadrżały, jakby miała się rozplakać.

- Nie próbuj mówić - powiedział do niej. - Myślę, że to przez ten cios w głowę.

- Jest niemową? - Uldolf usiadł przy stole.

- Widywałem ludzi, którzy po takim ciosie tracili mowę. - Znowu zwrócił się do dziewczyny. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak wielkie miałaś szczęście? Nie tylko przeżyłaś, ale odnalazł cię mój syn.

Patrzyła na niego z przekrzywioną głową i wyglądała, że próbuje go zrozumieć.

- Co my teraz z tobą zrobimy? - zapytał Gedim. - Nie możesz nam powiedzieć, kim jesteś ani gdzie twoje miejsce...

- Jej miejsce jest tutaj! - oświadczyła Hilda, dumnie stawiając na stole dymiącą misę z jedzeniem. - Jest naszym gościem. Mama tak mówiła.

Burthe położyła przed nim łyżkę, a Gedim posłał żonie spojrzenie, w którym kryło się retoryczne pytanie: Kto jest głową tego domu?

Uśmiechnęła się w sposób niedwuznacznie sugerujący: Oboje znamy odpowiedź. A teraz zjedz obiad.

Gedim sięgnął po łyżkę i rzekł:

- Cóż, jeśli mama tak powiedziała.

Dziewczyna powąchała miskę i podniosła wzrok, gdy Hilda położyła łyżki przed nią i Uldolfem.

- Proszę bardzo - odezwał się Uldolf. - Gość pierwszy łamie się chlebem.

Oblizła wargi, popatrzyła na swoją łyżkę, po czym na dużą wspólną misę.

- Jedz, proszę - zachęcił ją Uldolf.

Dziewczyna wsadziła rękę do miski i podniosła do ust dłoń pełną kaszy.

- Aj! - krzyknęła Hilda.

Nawet Burthe wydała się poruszona. Uldolf wyglądał na zażenowanego.

Gedim potrzebował ogromnego wysiłku, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Chyba była głodna - stwierdził w końcu Uldolf.

Co do tego nie było wątpliwości. Gdy podniosła wzrok znad misy, na jej twarzy widać było wahanie, jakby zastanawiała się, czemu nikt więcej nie je. Burthe skorzystała z okazji, by szmatką wytrzeć jej twarz.

Dziewczyna zagapiła się na Burthe, co tylko jeszcze bardziej rozbawiło Gedima.

- Pruska - wymamrotał, chichocząc. - Mimo rudych włosów jest czystej pruskiej krwi.

- Co mówiłeś? - Burthe posłała mu ostre spojrzenie.

- Mówię, że potrzebuje demonstracji właściwych manier przy stole - odpowiedział, podnosząc łyżkę.

* * *

Gedim wyszedł z chaty i zobaczył Uldolfa stojącego na polu, wpatrującego się gdzieś w przestrzeń. Gwiazdy iskrzyły na bezksiężycowym niebie niczym warstwa mrozu.

- Czas do łóżka, Uldolfie.

- Wiem.

- Dobrze zrobiłeś.

- Nie, wcale nie. - Uldolf potrząsnął głową. - Zachowałem się jak tchórz. Byłem o kilka minut marszu od bram miasta, ale niosłem tę kobietę osiem kilometrów, zamiast tam prosić o pomoc. I tylko dlatego, że nie chciałem zostać ukarany za kłusownictwo.

Gedim położył mu dłoń na ramieniu.

- Mogła przez to umrzeć - dodał Uldolf.

- A czy przyszło ci do głowy, synu, że mogła być ofiarą żołnierzy z tamtejszego garnizonu?

- Tak myślisz? - Uldolf zmarszczył brwi.

- Jeśli ktoś porzucił tę kobietę, by umarła w cieniu zamku Johannisburga, kto jest najbardziej prawdopodobnym sprawcą? Jakiś przypadkowy bandyta, który może bezpiecznie uprawiać swoje rzemiosło o godzinę jazdy od stróżów prawa, czy też jedyni ludzie w okolicy, którzy nie muszą bać się chrześcijańskich praw?

- Myślisz, że oni mogliby to zrobić?

- Widziałem wojnę, synu. I wiem, kogo zakonnicy biorą do służby. Najmują każdego, kto gotów jest kupować sobie łaski Boga krwią lub złotem. Prus w służbie zakonu nie jest wiele lepszy od tych bandytów, którymi tak się martwisz.

- Ale...

- Człowiek, który szuka swojej winy, zawsze jąkaś znajdzie. Znam ciebie. Nie jesteś tchórzem. Gdybyś naprawdę wierzył, że możesz zaufać żołnierzom w Johannisburgu, nie zawahałbyś się tam pójść, niezależnie od ryzyka. A teraz wracaj. Hilda powinna już spać, a nie chcę, żebyś ją budził, włączając do łóżka o jakiejś bezbożnej porze.

- Ojczy, ta rana głowy jest bardzo poważna?

- Nie wiem, synu.

- Mówiłeś, że widziałeś ludzi z takimi ranami.

Gedim westchnął. Nie opowiadał za wiele o czasach, gdy był wojownikiem. Nie znajdował wiele sensu w chwale, którą ludzie próbowali przypisać temu brutalnemu zajęciu. I jaskrawo widział wtedy własny upadek. Choć powinien walczyć, poddał się i przyjął chrzest. Ale nie żałował tej decyzji.

- Większość szybko umierała - powiedział synowi. - Znałem dwóch, którzy przeżyli.

Jeden był ślepy, choć jego oczy nie zostały uszkodzone i wciąż reagowały na światło. Drugi mógł mówić i pamiętał swoje życie aż do chwili otrzymania ciosu, ale stracił zdolność zapamiętywania czegokolwiek po nim. Każdego zawsze witał słowami: „Miło cię spotkać, tak dawno się nie widzieliśmy”, nawet tych, z którymi rano dzielił się chlebem. Jeszcze po wielu miesiącach był przekonany, że właśnie się obudził po bitwie.

- A co z nią? Z początku myślałem, że mówi w jakimś innym języku.

- W tej chwili nie mówi w żadnym.

- Czy straciła pamięć, jak tamten człowiek, o którym mówiłeś?

- Nie tak jak on. Tamten rozmawiał z tobą i pamiętał, kim jesteś, jeśli znał cię, zanim został uderzony. Ona nie straciła zdolności zapamiętywania. Sądząc po spojrzeniach, ciebie pamięta bardzo wyraźnie.

Uldolf się odwrócił, żeby Gedim nie zobaczył jego twarzy.

- W takim razie jest jak dziecko, niemowlę.

- Jeśli tak, jest bardzo bystra. Jeszcze nie widziałem dziecka, które tak szybko nauczyłoby się używania łyżki.

- Może jeszcze nauczy się znowu mówić.

- Może. - Gedim objął Uldolfa za ramiona i poprowadził go z powrotem do chaty. - Porozmawiamy o tym jutro.

VIII

Osiem dni po masakrze w zamku Johannisburg sierżant Günter Sejad miał wątpliwy zaszczyt powitania pełnej kompanii nowych wojów, świeckich rycerzy, giermków, turkopoli i różnych zbrojnych. Przyproceedziło ją siedmiu rycerzy okrytych białymi opończami z czarnymi krzyżami Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie.

Günter nie wiedział, jakie rozkazy przywiezie komtur krajowy po rozmowie z wielkim mistrzem zakonu. W myślach wciąż dręczył go widok własnej głowy odrąbywanej toporem.

Jednak się nie spodziewał, że Erhard von Stendal wróci w towarzystwie prawie setki ludzi. Gdy wyruszał prawie dwa tygodnie temu, towarzyszyło mu załedwie sześciu rycerzy i kilku służących oraz rudowłosa kobieta. Potwór.

Liczny oddział zbrojnych wjechał w obręb zamkowych murów i rozłożył obóz na dziedzińcu, w cieniu kamiennego stołpu, w którym niedawno zginęło tak wielu ludzi.

Na czele kolumny jechał sam komtur krajowy Erhard. Poprowadził swojego wierzchowca przez cały dziedziniec i zatrzymał go kilka kroków przed Günterem. Jeden z ocalałych ludzi sierżanta, z ramieniem w łubkach, przytrzymał wodze wierzchowca.

Günter stanął na baczność. Kątem oka obserwował, jak komtur krajowy uważnie przygląda się pozostałej przy życiu szóstce. Bruzdy na jego czole wyglądały złowieszczo.

- Sierzancie - zwrócił się do niego w nienagannym języku pruskim.

- Tak, panie.

- Jeśli dobrze liczę, straciłeś czterestu ludzi.

- Tak, panie.

Erhard potrząsnął głową.

- Chryste, zmiłuj się. - Popatrzył na stołp, którego jasnoszare ściany w promieniach zachodzącego słońca przybrały szkarłatną barwę. Odbite światło nadało krwiste zabarwienie bieli jego opończy. - Obawiam się, że czeka nas ciężka próba.

- Panie, czy mogę zapytać...

Erhard podniósł rękę.

- Nie tutaj. Czy nękała mieszkańców miasta?

- Nie. Chwała Bogu - dodał Günter, pilnując się, by użyć liczby pojedynczej. - Stwór

uciekł na wschód.

- Co się znajduje w tamtym kierunku?
- Droga i trochę gospodarstw w miejscu, gdzie ziemia znowu robi się płaska.
- Znalazłeś jakieś ślady tego, w co się zmieniła?

To znaczy, czy wysłałem moich pozostałych czterech sprawnych ludzi za tym stworem, uzbrojonych w srebrne sztylety? - pomyślał Günter. Nie, nie zrobiłem tego, ty głupi mnichu. Niektórzy z nas nie spieszą się na spotkanie z Bogiem tak bardzo jak ty.

- Po zajęciu się poległymi i rannymi przeszukaliśmy lasy pod zachodnim murem. Znaleźliśmy tylko odcisk stopy w błocie, zakrwawione futro w krzakach, świeże ślady pazurów na drzewie.

Erhard kiwnął głową. Wyszeptał coś po łacinie, po czym wrócił do pruskiego.

- Pokaż mi miejsce tragedii.

* * *

Najniższe poziomy magazynów pozostawiono w takim stanie, jak były w chwili ucieczki potwora, tylko usunięto szczątki żołnierzy w celu urządzenia im godnego pogrzebu. Günter sam sprowadził Erharda na dół. Żaden z jego ludzi nie chciał tam wracać, a komtur nie zabrał nikogo ze swoich.

Obaj nieśli latarnie. Światło tworzyło na wilgotnych ścianach cienie skaczące pośród rudych smug zaschniętej krwi. Śmierdziało tu zgniłym mięsem i śmiercią.

Erhard zatrzymał się na chwilę przy niskim stole, na którym wciąż leżał miecz i sztylet Manfreda. Potem przeszedł korytarzem do okutych metalem drzwi i sprawdził ich brzegi.

- Mówiłem, panie - odezwał się Günter. - Manfred sam otworzył te drzwi. - Chciał wyraźnie podkreślić, że nie przyłożył do tego ręki żaden Prus.

Erhard kiwnął głową.

- Widzę. - Uważnie obejrzał długą bruzdę na podłodze tworzącą łuk od progu. W miejscu zakończenia bruzdy na kamieniach leżały kawałki srebra. - Nie wiedział dość, by przed otwarciem drzwi usunąć moje pieczęcie. Dolna została wbita klinem pod skrzydło.

Podniósł srebrną grudkę i potrząsnął głową.

- Jak udało się jej pozbyć kajdan? Nie powiesz mi chyba, że Manfred ściągnął jej łańcuch?

- Nie. Bestia amputowała sobie stopę.
- Co powiedziałaś? - zapytał Erhard po dłuższej, pełnej niedowierzania ciszy.
- Sam możesz zobaczyć, panie, jeśli jeszcze tego nie wyczułeś.

Erhard wyglądał, jakby zaczął wreszcie rozumieć, że smród dochodzi z wnętrza celi. Poświecił do środka i wszedł.

- Stan tej celi... - Obrócił się, spojrzął na Günтера oskarżycielsko. - Czy to twoje dzieło?

Günter potrząsnął głową.

- Postępowaliśmy ściśle według twoich zaleceń, panie. Jedzenie i woda, poza tym żadnego kontaktu. - Wskazał słomę zanieczyszczoną odchodami i moczem. - Miała czyste wiadro na odchody, ale z niego nie korzystała.

Erhard spojrzął w dół, na ubrudzone odchodami legowisko ze słomy i zbladł jeszcze bardziej. Ukląkł przy obręczy kajdan, w której wciąż tkwiła kobieca stopa poczerniała od zgnilizny. W świetle lampy zobaczył wijące się w niej robaki.

- Nie mogła zerwać srebra? - zapytał Günter.

Erhard kiwnął głową, znów rozglądając się po celi.

W rogu na przewróconym wiadrze leżała kupka ubrań.

- Zdarła z siebie ubranie i zanieczyściła celę. Oderwała sobie stopę, bo nie mogła się przemienić w kontakcie ze srebrem. Musiała to planować długo. - Erhard się wyprostował. - Manfred był młody, prawda?

- Tak.

- Pewnie romantyk?

- Panie...?

- Uwiodła tego człowieka swoją niedolą. Chryste, ulituj się nad jego duszą.

- Panie, srebro podobno miało ją zabijać. Czemu wciąż żyje?

- Co masz na myśli?

- Jeden z moich ludzi posłał z kuszy bełt o srebrnym grocie w głowę tego potwora.

- Trafił? Jesteś tego pewien?

- Tak, sam widziałem. Na moment przed tym, zanim go zabiła. - Günter zadrżał na wspomnienie tej chwili, ale z jakiegoś powodu ta wiadomość zdawała się bardzo ucieszyć Erharda. Sierżant kompletnie nie rozumiał jego reakcji. - Nie pojmujesz, panie, co powiedziałem? Mówiłeś mi, że jedynie srebro może tego potwora zabić! A nie zabiło!

- Srebro nie jest dla niej trucizną, sierżancie. Srebrna broń zadaje jej normalne rany. Z jedną różnicą. Cięcie stalowym mieczem zagoi się na niej, gdy tylko wyciągniesz ostrze z rany. Ta stopa odrosła jej zapewne w ciągu godziny. Jednak bełt z kuszy musiał ją poważnie zranić.

- Ale jej nie zabił...

- Ludzie potrafią zejść z pola bitwy z podobnymi ranami, a potem większość z nich

wkrótce umiera. - Erhard klepnął go w ramię. - Módl się o to.

Günter usłyszał jeszcze, jak komtur mamrocze cicho po niemiecku: „I módl się, żebym odnalazł jej ciało”.

IX

Hilda musiała teraz w nocy dzielić łóżko z Ulfiem. Kochała brata, mimo że chrapał tak jak ojciec i czasami jęczał przez sen, gdy zdarzały mu się koszmary. Jednak gdy spał cicho, lubiła opierać głowę na jego piersi i słuchać bicia serca. Podobało się jej też, że brat pachnie ziemią, jak pole po mocnym deszczu lub jak koń, gdy nie pracował i tarzał się w trawie na pastwisku.

Prawdopodobnie była już za duża, żeby spać z bratem - w każdym razie on był za duży na jej łóżko i stopy sterczały mu w powietrzu - ale będąca ich gościem kobieta była chora od ran zszytych przez mamę. Mama powiedziała, że po takich ciężkich ranach prawie zawsze przychodzi gorączka, ale stwierdziła też, że ta kobieta zdrowieje nadspodziewanie szybko.

Hilda doskonale rozumiała, co to jest gorączka i jak okropnie człowiek się wtedy czuje. Bardzo chciała w jakiś sposób pomóc ich gościowi.

W jej współczuciu było też trochę samolubnych motywów. Kochała Ulfię, lecz chciałyby mieć starszą siostrę.

Było już bardzo późno. Słońce zaszło wiele godzin temu i Hilda sądziła, że ona jedyna w domu nie śpi. Ulfie i tata chrapali głośno - jak mama mogła spać w takim hałasie? A Hilda wcale nie była senna. Pewnie dlatego, że tak długo spała podczas choroby.

Leżała więc w ciemności, myśląc o gościu. Dziewczyna była tak ładna, że Hilda wyobrażała ją sobie jako zaginioną księżniczkę lub wróżkę z dalekiej krainy, gdzie ludzie wyglądali zupełnie inaczej. Może dlatego nic nie mówiła... A może to księżniczka elfów, która uciekła przed bandą złych ogrów?

Nagle Hildę dobiegł dziwny dźwięk. Wstrzymała oddech. Czy to ogry przyszły do chaty?

Jednak usłyszała coś zupełnie innego. Cichy dziewczęcy głos.

- Nie!

Usiadła. Ulfie się nie poruszył, spał jak kłoda. Bardzo głośna kłoda.

Zobaczyła, że dziewczyna się poruszyła na łóżku w głębi izby. Wstała ostrożnie. W chacie było mroczno, rozjaśniał ją tylko blask księżyca wpadający przez okiennice, ale Hilda widziała dość, by nie potknąć się o nic.

Na twarz kobiety padała smuga księżycowego światła, oświetlając część bandaży, pasmo włosów, brew i jedno nie do końca zamknięte oko.

- Dobrze się czujesz? - Hilda dotknęła jej ramienia.

Kobieta chwyciła Hildę za rękę. Otworzyła oczy.

- Róża? - wyszeptała. - To ty?

- Ty mówisz! - Tata powiedział, że kobieta nie mogła mówić z powodu rany na głowie, ale jeśli mówiła teraz, to znaczyło, że mama miała rację, ich gość zdrowieje. Hilda się uśmiechnęła. - Poczekaj, obudzę mamę.

- Nie! - Kobieta mocniej ścisnęła jej rękę. - Nie ściągaj strażników. On jest też ich panem.

- To boli - wyszeptała Hilda.

Uścisk osłabł.

- Jak przedostałaś się przez kraty, Różo?

- Jakie kraty?

- Nie możesz uciec, Różo. Nie pozwolą ci na to.

- Czemu tak mnie nazywasz?

Kobieta puściła jej rękę, sięgnęła dłonią do jej twarzy.

- Nie opuszczaj mnie znowu. Nie wytrzymam z nim sama.

Zaczęła ciężko oddychać. Hilda przypomniała sobie, jak w gorączce rozmawiała z mamą, myśląc, że mama jest ich koniem. Wciąż pytała, jak udało się mu przejść przez drzwi dla ludzi i czemu zaczął mówić głosem mamy.

Ta kobieta nie miała pojęcia, o czym mówi. Hilda zobaczyła łzy na jej policzkach i uznała, że nie ma nic przeciwko temu, żeby nazywać ją Różą.

- Nie odejdę.

- Dziękuję. - Kobieta opuściła rękę na koc.

- Jeśli ja jestem Róża, to kim ty jesteś?

- Nie pamiętasz mnie? Jestem Lilia, twoja siostra.

* * *

Rano, gdy Ulfie i tata wyszli już do pracy na polu, Lilia zaczęła się budzić. Mama wzięła przeznaczoną dla niej miskę, a Hilda złapała ją za rękaw.

- Mamo, mogę nakarmić Lilię?

- Lilię?

Hilda poczuła się trochę niepewnie. Lilia w nocy tak bardzo się bała... może trzeba komuś o tym powiedzieć? Jednak miała taką gorączkę...

Ale mamie przecież można powiedzieć wszystko.

- Ja, uch, rozmawiałam z nią w nocy. - Hilda zerknęła na Lilię, która popatrzyła na nią

trochę otępieiałym wzrokiem.

- Mówiła coś?

- Tak. Chociaż nie było w tym wiele sensu. Ale powiedziała, że ma na imię Lilia i jest moją starszą siostrą.

Mama odwróciła się, zasłaniając usta. Czyżby się śmiała?

- Oczywiście, że możesz ją nakarmić. Lilia? Bardzo ładne imię. Masz takie śliczne sny. - Mama nachyliła się i pocałowała Hildę w czoło.

Podawała jej miskę rozgotowanej jęczmiennej kaszy i zajęła się innymi sprawami. Hilda zmarszczyła brwi. Ona mi chyba nie wierzy, pomyślała.

* * *

Uldolf pracował na polu przed domem, zaraz przy skraju lasu. Nastął trzeci z rzędu dzień bez mrozu i przyszedł czas, by zacząć orkę. Ojciec wkopał pod warstwę ziemi pajdę chleba upieczzonego z zeszłorocznego ziarna. Byli chrześcijanami i traktowali to jako gest szacunku wobec starego boga Patrimpasa, nie prawdziwą ofiarę.

Ojciec już orał z tyłu gospodarstwa, gdzie była miękka czarna ziemia. Tutaj, przy drodze, gleba była jaśniejsza, gliniasta. Uldolf zawsze miał wrażenie, że na tym małym poletku zima trwa dłużej.

Poprzedniego dnia przewrócił się jeden z potężnych dębów rosnących na granicy ich ziemi, choć nie było żadnej burzy ani wichury. Okazało się, że mały strumyk wezbrał od topniejącego śniegu i wymył zwierzęcą norę pod korzeniami.

Wielkie drzewo powaliło też parę mniejszych. Mur okalający gospodarstwo został zniszczony przez pień, który leżąc, sięgał Uldolfowi powyżej pasa. Nagie gałęzie sterczały w niebo na wysokości dwu- i trzykrotnie większej od wzrostu Uldolfa. Potężne konary grubości uda wbiły się w ziemię.

Nawet gdyby zeszłej zimy nie stracili wołu, drzewo i tak było zbyt ciężkie, by mogły je odciągnąć zwierzęta. A ponieważ ojciec zaczął orkę - i to w pośpiechu, skoro pojawiła się dodatkowa para ust do wykarmienia - na Uldolfa spadł obowiązek porąbania drzewa na kawałki.

Zajmował się tym już drugi dzień i wciąż trudno mu było ocenić, czy robi jakieś postępy. Musiał się wspinać na konary z toporem przewieszonym przez skórzany pas na piersi i odrąbywać gałęzie, utrzymując się na pniu wyłącznie za pomocą ud. Późnym rankiem nogi bolały go już, jakby przez cały dzień pędził galopem, a ręka sprawiała wrażenie odlanej z ołowiu.

Właśnie odrąbał gruby konar. Zatknął topór za pas, wytarł pot z czoła wierzchem dłoni. Mrugnął, by oczyścić oczy, i zobaczył konnych.

Ponieważ był dość wysoko na drzewie, ujrzał ich, gdy znajdowali się na drodze w odległości kilku minut marszu. W promieniach słońca na białym płaszczu narzuconym na zbroję wyraźnie odcinał się czarny krzyż. Rycerz jechał na czele, prowadząc za sobą pół tuzina uzbrojonych konnych.

Nie był to częsty widok. Droga przed ich domem nie prowadziła do innych miast ani wiosek, stanowiła tylko wydeptany szlak przez las, prowadzący z Johannisburga do kilku dalszych gospodarstw rolnych, po czym łukiem wracała do miasta. Wyjeżdżając rano z Johannisburga i jadąc niespiesznie, można ją było w całości pokonać przed wieczorem.

Zbrojni jechali od strony miasta, rozglądając się na boki, jakby czegoś szukali.

Uldolf uświadomił sobie, czego mogą szukać. W jego uszach zabrzmiały znowu słowa ojca: „Jeśli ktoś porzucił tę kobietę, by umarła w cieniu zamku Johannisburga, kto jest najbardziej prawdopodobnym sprawcą?”.

Wyplątał się spomiędzy konarów powalonego dębu i zsunął się na ziemię. Owładnęła nim panika. Co robić? Obca kobieta leżała w jego łóżku, mając z gorączki wywołanej ranami. Nie było mowy, by ją ruszyć, zresztą gdzie ją ukryć? A jeśli tam pobiegnie, ściągnie uwagę na chatę i własny niepokój.

Grupa zbrojnych była już blisko. Przez chwilę Uldolf miał nadzieję, że pojedą dalej.

Wtedy rycerz uniósł rękę i zatrzymał wierzchowca, krzyząc:

- Stać!

Uldolf zobaczył, że jego ojciec też przerwał pracę.

- Chodź tu do mnie, synu! - Rycerz wychylił się z siodła. - Kto uprawia tę ziemię?

- Gedim, mój ojciec, panie. - Uldolf nie podnosił głowy, zarówno by okazać szacunek, jak i ukryć niepokój.

- Dobra ziemia do uprawy. Jesteście wolnymi ludźmi? Chrześcijanami?

- Tak, panie.

- Czy wasze gospodarstwo było ostatnio nękane, chłopcze?

- Nękane?

- Przez dziwne bestie? Czy jacyś ludzie zginęli? Albo zostali ranieni? Straciliście jakieś zwierzę?

Uldolf zmarszczył brwi.

- Nie, nic takiego. Kilka zwierząt padło w zimie.

- To przykre. - Rycerz machnął ręką na jednego ze swoich ludzi, by potrzymał uzdę jego

wierzchowca, i zsiadł. Uldolf usłyszał krótką wymianę zdań po niemiecku, ale rozumiał wyłącznie imię Gregor.

Po zejściu z konia rycerz Gregor zwrócił się do Uldolfa.

- A może w ostatnich dniach widziałeś tu kogoś obcego? Możliwe, że był ranny.

Uldolf poczuł pieczenie w żołądku, a jego serce zabiło jak oszalałe, ponieważ był pewien, że każde kłamstwo będzie widoczne na jego twarzy.

- Kogo szukacie, panie? - zapytał. - Jak on wygląda?

- To znaczy, że kogoś widziałeś?

- Tylko podróżnych na drodze. - Uldolf miał nadzieję, że zaczerwienienie na jego twarzy i wstrzymywany oddech mogą zostać uznane za oznaki zmęczenia, nie kłamstwa.

Jeśli rycerz coś podejrzewał, nie okazał tego.

- Kobiety mniej więcej w twoim wieku, z rudymi włosami i zielonymi oczami, ranionej w głowę i w ramię. To czarownica i morderczyni.

- Rozumiem - odpowiedział Uldolf.

- Zajrzemy do waszego domu i stodoły. Żeby się upewnić, że ona się tu nigdzie nie ukrywa.

Uldolf zdał sobie sprawę, że w tej chwili absolutnie nic nie może zrobić.

- Tak, panie - powiedział najbardziej obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

Poszedł wzdłuż muru, zbrojni szli po drugiej stronie. Ojciec zbliżał się przez pole, ale był jeszcze daleko.

Powinniśmy byli umówić się na jakąś wspólną historię, myślał Uldolf. Coś na wypadek, gdyby ludzie zadawali pytania. Dziewczyna nie będzie w nieskończoność leżała w łóżku. Ludzie ją zobaczą...

Doszli do bramy w murze otaczającym gospodarstwo. Rycerz Gregor przeszedł przez nią, pozostali zatrzymali się na drodze.

Uldolf doprowadził już rycerza w pół drogi do chaty - ojciec wciąż był daleko - gdy przed chatę wyszła matka Uldolfa z włosami związanymi z tyłu głowy.

- Co to ma znaczyć? - spytała ze złością.

- Pani, szukamy... - zaczął rycerz.

Nie pozwoliła mu skończyć. Podbiegła do Uldolfa i dźgnęła go palcem w pierś.

- Mówiłam ci, że twoja siostra potrzebuje odpoczynku. Hilda jest bardzo chora, nie możesz do niej sprowadzać...

- Przepraszam - wtrącił się rycerz. - Szukamy zbiega, morderczyni.

Odwrociła się do niego z takim spojrzeniem, że Gregor zrobił krok w tył, ale

najwyraźniej Krzyżacy przechodzili szkolenie, które umożliwiało im wytrzymanie furii matki. Dobrze świadczyło to o dyscyplinie zakonu, ponieważ Uldolf wolałby stawić czoło całemu pocztowi rycerzy w walce, byle nie przyjąć na siebie gniewu Burthe.

- Ta kobieta jest nikczemna - mówił dalej rycerz. - Stanowi zagrożenie dla twojej rodziny i nieśmiertelnej duszy.

Matka westchnęła i ustąpiła na bok.

- Ale nie waż się budzić mojej Hildy.

Kiedy obróciła się, by wejść za Krzyżakiem do środka, Uldolf zobaczył tył jej głowy. Coś w upiętych włosach było nie tak.

- Muszę tylko zajrzeć do chaty.

- Po cichu - przypomniała Burthe.

Uldolf z mocno bijącym sercem wszedł za Gregorem i Burthe. Nie miał pojęcia, jak jego matka mogła ukryć ich gościa.

Wcale tego nie zrobiła.

Hilda nie spała. Siedziała na brzegu łóżka i wycierała ściereczką twarz chorej. Odwróciła się do rycerza i syknęła, by zachował ciszę.

Na czole kobiety w łóżku leżał wilgotny ręcznik, całkiem zakrywając bandaż na jej głowie. Z początku Uldolf nie zrozumiał, jak to możliwe, ale włosy wystające spod ręcznika były koloru blond, nie rude.

Potem uświadomił sobie, że mają dokładnie taki sam kolor, jak włosy jego matki.

Gregor obejrzał uważnie izbę, po czym rzekł do Burthe cicho:

- Dziękuję. Pomodłę się za zdrowie twojej córki.

X

- Co my mamy z nią zrobić? - zapytał Gedim.

Rycerz i jego ludzie już dawno odjechali, a Burthe przy mosiężnym lustrze z nożem przycinała resztę włosów. Sporo jej długich loków leżało teraz na kupce przy łóżku Uldolfa.

Gedimowi zaimponowało jej szybkie myślenie, ale zastanawiał się, czy ukrywanie gościa nie było błędną decyzją.

Kobieta się obudziła, a Hilda starała się nakarmić ją resztką potrawy.

Kolejny problem - zaczynało im brakować jedzenia.

- O co pytasz? - zdziwił się Uldolf.

- Widziałeś, ilu ludzi wysłali na poszukiwanie? Oni nie pójdą sobie tak po prostu. A dodatkowa gęba do wykarmienia, zwłaszcza przy jej apetycie...

- Mężu - ostro odezwała się Burthe - nie sugerujesz chyba, że powinniśmy rannego gościa wyrzucić za drzwi?

Gedim popatrzył na ranną dziewczynę i na Hildę. Zmieniły karmienie w rodzaj zabawy. Hilda przysuwała łyżkę do warg dziewczyny, a ta przez chwilę udawała, że ją ignoruje, po czym próbowała schwytać łyżkę ustami, zanim Hilda ją cofnie. Zbeształby córkę, bo jedzenie spadało przy tym na koc, ale tak dawno nie widział jej uśmiechniętej...

- Nie, zastanawiam się tylko, co zrobić, gdy już wyzdrowieje - rzekł do Burthe. - Ona wyzdrowieje, prawda?

- Rany, owszem, się zagoją. - Odłożyła lusterko i nóż. Na jej twarzy pojawiło się coś dziwnego.

- O co chodzi? - zapytał Uldolf.

- Nigdy jeszcze nie widziałam, by czyjeś rany tak szybko się goiły.

- To chyba dobrze? - Uldolf urwał. - Prawda?

- Ona nie jest zwykłą kobietą - odpowiedziała Burthe.

- Jak myślisz, kiedy będzie miała dość sił, by ją przenieść? - zapytał Gedim.

- Gorączka ustąpiła. Można by to zrobić teraz, ale...

- Czy Lilia może z nami zostać? - wtrąciła się Hilda. - Bardzo bym chciała.

- Lilia? - równocześnie zapytali Gedim i Uldolf.

- Hilda nadała jej imię - wyjaśniła Burthe.

- Ona mi powiedziała, jak ma na imię - sprostowała Hilda.

Gedim wzruszył ramionami. Jego córka miała bardzo bujną wyobraźnię.

- Kiedy Lilia podała ci swoje imię? - zapytał.

- W nocy. Wtedy mówi, czasami nawet śpiewa. - Hilda czułym gestem wytarła rękawem jedzenie z warg Lili. - Chyba jest samotna.

* * *

O zmierzchu Gedim wziął Burthe na bok, by porozmawiać na osobności. Niebo było czerwone na zachodzie, powietrze wibrowało brzęczeniem budzących się do życia owadów i świergotem ptaków, które wróciły po zimie. Gedim usiadł na kamiennym murze przy domu.

Westchnął.

- Widzę, że nasza córka bardzo ją polubiła, ale ta kobieta - czy dziewczyna - stała się poważnym problemem.

- Wiem.

- Niemcy tu wrócą. A nawet jeśli nie, ktoś w końcu nas odwiedzi i ją zobaczy. Nawet jeśli nie powiedzą o niej zakonowi ani jego sługom... Nowa osoba w gospodarstwie? Nieznana młoda dziewczyna w naszym domu? Wszyscy w okolicy będą plotkować.

Burthe przeczesła palcami swoje znacznie krótsze włosy.

- Myślisz, że nie zastanawiałam się nad tym od chwili, gdy ci ludzie pojawili się na naszej drodze? Widzę też, jak pustą mamy spiżarnię. Nie wiem, co będziemy jeść. - Jej ramiona drżały. - Ale...

- Nie możemy jej wyrzucić.

- Nie.

Oboje bardzo długo siedzieli w milczeniu.

- To mówisz, że dochodzi do siebie szybciej, niż się spodziewałaś?

- Znacznie szybciej. Gorączka trwała krótko, była łagodna. Rany, choć tak ciężkie, nie ropiały. Ciało goi się tak dobrze, że za kilka dni będę mogła wyciągnąć szwy. Nawet włosy tej dziewczynie odrastają szybciej.

- Bóg obdarzył ją swoją łaską.

- I to w dużej ilości.

Gedim westchnął.

- No i je tyle, co bohaterowie z dawnych opowieści.

- Co zrobimy?

Gedim wstał i położył dłoń na ramieniu żony.

- Nie wiem.

* * *

Hilda nie znosiła, gdy rodzice rozmawiali jej nad głową, jakby była krzesłem albo stołem, jakby wcale nie wiedziała, co się dzieje. Jeszcze bardziej nie znosiła, gdy wiedzieli, że słucha, więc wychodzili, by porozmawiać o swoich dorosłych sprawach na osobności. Tak trudno było ich podsłuchać przy tych świerszczach i ptakach.

Siedziała przy Lili i mimo wszystko wyęzżała słuch. Usłyszała, że chora szybko zdrowieje.

Nachyliła się do Lili i odezwała się do niej konspiracyjnym szeptem:

- Mama mówi, że będziesz zdrowa. Może jutro wyjmie ci ten szew z głowy.

Hilda bardzo się z tego cieszyła. Jednak dalsza rozmowa rodziców nie była już tak wesoła. Zaczynało brakować jedzenia, ponieważ Lilia jadła za dużo. Możliwe, że Ulfie będzie musiał pójść w las i upolować coś dużego... a to było bardzo niebezpieczne. Niemcy mogliby wtedy złapać Ulfiego i zabrać go, tak jak próbowali zabrać stąd Lilię. Ta myśl przerażała Hildę.

Lilia miała oczy półprzymknięte. Hilda pamiętała, jak się czuła w chorobie, gdy była przytomna tylko w takim stopniu, że zdawała sobie sprawę, iż nie śpi. To wcale nie było przyjemne.

Usłyszała, jak rodzice mówią o braku jedzenia. Powinna o tym powiedzieć Lili. Sama nie znosiła, gdy rodzice próbowali ukryć przed nią coś ważnego. Choć Lilia pewnie się zmartwi, Hilda uznała, że nie będzie nic przed nią ukrywać.

Po cichu zrelacjonowała Lili wszystko, co podsłuchiwała.

* * *

Hilda w nocy starała się nie zasnąć, bo Lilia mogła się obudzić. Lubiła z nią rozmawiać, chociaż czasami Lilia nazywała ją Różą, a czasami jeszcze inaczej.

Jednak w miarę jak gorączka ustępowała, zdarzało się to coraz rzadziej. W dzień Lilia wcale się nie odzywała, ale wydawało się, że z każdym dniem rozumie coraz więcej. Tej nocy coś mamrotała przez sen. A potem cichutko nuciła.

Kiedy myślała, że jest z Różą, często śpiewała tę piosnkę, a gdy Hilda poznała słowa, śpiewała razem z nią.

Nie bój się drogi przed sobą,

*ostrzych kamieni ni nagich drzew,
matka ochroni swe dzieci,
gdzie droga zawiedzie je.
Nie bój się wilka ni dzika czy trolla,
nie stanie ci się żadne zło,
matka ochroni swe dzieci,
cokolwiek przyniesie mrok.
Nie bój się płaszczka złej nocy,
gdy słońce ukryje się hen,
matka ochroni swe dzieci,
gdy przyśni się straszny sen...*

Hilda usnęła z głową na ramieniu Uldolfa i tej nocy nie naszły jej żadne złe sny.

* * *

W półśnie słabnącej gorączki Lilia śpiewała sobie kołysankę.

Te słowa były jej jedyną obroną przed koszmarami.

Przeciwko wspomnieniom, które musiały być koszmarowymi snami.

Jednak wcale nimi nie były. Odeszła tak dawno temu dlatego, że nimi nie były. Odeszła i zostawiła zamiast siebie tę zimną istotę - tę, która nie przejmowała się bólem, krwią czy cierpieniem. Tę, która mogła wytrzymać te wszystkie straszne zdarzenia, których Lilia starała się nie pamiętać.

Zraniona pamięć wciągała ją w głąb niczym...

...niczym stłumiony ryk, gdy woda wciąga nas w mroźne objęcia, które zmieniają skórę w lód...

Błagała zimny głos, by umilkł. Nie potrzebowała już tej drugiej.

...próbujemy złapać powietrze i wciągamy pełne usta wody. Nasze ciało pragnie powietrza, ale nie mamy pojęcia, gdzie jest powierzchnia...

- Przestań! - jęknęła. - Nie chcę tego pamiętać.

Musimy.

- Nie. Jestem szczęśliwa. Nie potrzebuję cię.

Potrzebujesz mnie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Proszę, nie.

Muszę. Idź spać, dziecko.

A więc Lilia usnęła.

...I się obudziła.

INTERLUDIUM

Anno Domini 1229

Pan często kazał strażnikom je zabierać pojedynczo, by je szkolić lub ukarać. Lilia nigdy nie wiedziała, kogo zabiorą, chyba że w nocy. Jeśli strażnicy przychodzili po kogoś w nocy, zawsze brali Różę.

Nigdy nie trwało to bardzo długo i Lilia przeważnie nie spała jeszcze, gdy przyprowadzali ją z powrotem. Tym razem też tak było. Usłyszała kroki i zgrzyt zawiasów. Zacisnęła oczy, jeszcze zanim światło latarni przemknęło po jej twarzy. Znieruchomiła, prawie nie pozwalając sobie na oddychanie. To najlepszy sposób na uniknięcie kary - udawać, że cię nie ma.

Potem ich wyczuła: kwaśny pot strażników, krew, mocz i strach Róży oraz kwaśny, piżmowy zapach kojarzony przez Lilię z ich panem.

Słyszała, jak zgrzytają otwierane drzwi celi Róży i brzęk jej łańcuchów. Skrzywiła się, słysząc cichy płacz siostry. Za łzy groziła kara. Wszyscy musieli akceptować to, co dawał im pan. Byli zwierzętami, a jeśli nie potrafili odpowiednio służyć ludziom, stawali się bezwartościowi dla ludzi i Boga.

Kiedy zaś ich pan decydował, że jedno z nich jest bezużyteczne, usuwał je. Dalia, siostra Lili, próbowała uciec, a pan pociął ją srebrem. Wiele razy. Rany nie chciały się goić. Trwało bardzo długo, zanim Dalia umarła. Gorszy los spotkał Jesiona, który pewnego dnia przestał się odzywać i ruszać. Pan bił go, ale Jesion milczał i nie reagował. W końcu pan kazał strażnikom go zabrać.

Słuchając rozmów strażników - trochę rozumiała ich język - dowiedziała się, że miała kiedyś jeszcze dwoje rodzeństwa, których nawet nie pamiętała. Była to jedna z bardzo niewielu rzeczy, z których powodu pozwalała sobie czuć smutek. Nie mogła w niczym przeciwstawić się swojemu panu, nawet w duchu, ale mogła czuć smutek i żal po zapomnianych bracie i siostrze.

Próbowała siłą woli przekonać Różę, by przestała płakać, przynajmniej dopóki strażnicy nie odejdą.

Zaryzykowała otwarcie jednego oka i zobaczyła, że jeden ze strażników stoi przed celą

Róży i patrzy, jak jej siostra płacze. Z początku jej serce zamarło, ale strażnik przyklęknął i go rozpoznała. Ten jeden nie czerpał radości z dręczenia ich. Oferował, zwłaszcza Róży, odrobinę pocieszenia.

Gdy został z nimi sam, zaczęła Róży śpiewać.

* * *

Przez pierwszy tydzień pobytu w klasztorze brata Semyona Erhard von Stendal, dowódca prowincji bez prowincji, wciąż był pełen wątpliwości. Nigdy dotąd nie kwestionował swojego powołania, jednak to, co tutaj zobaczył, doprowadziło go na skraj zwątpienia. Nawet gdy otrzymał edykt opisujący jego zadanie, opatrzony pieczęciami papieża i wielkiego mistrza, trudno było mu widzieć w tych stworach dzieło Boga...

Cóż, nie do niego należała decyzja. Obowiązek, powinność lenna i posłuszeństwo wymagały, by podążał wytyczoną dla niego ścieżką. Złożył śluby, jego wątpliwości były nieistotne.

Kościół uznał potworny wilczy miot za istoty pochodzenia ziemskiego. Jak powiedział brat Semyon, nie różnią się od jego konia.

Tyle że koń nie potrafi mówić, nie może się też zmienić w oślinionego potwora, rozrywającego na kawałki grupę uzbrojonych mężów.

Może i były ziemskiego pochodzenia, jednak na wpół wilcze stwory uwięzione tu przez Semyona niewątpliwie zostały zrodzone w jakichś pierwotnych lasach na granicy samego piekła.

Zaledwie kilka godzin temu Erhard po raz trzeci oglądał, jak ośmioletnie dziecko zmienia się w potwornego wilka i zabija uzbrojonych pruskich wojowników.

Ostatnią demonstrację przeprowadzono tylko z dwoma Prusami i Erhard się zastanawiał, czy miało to związek z umiejętnościami ostatniego dziecka w zakresie zabijania, czy też bratu Semyonowi zaczęli się kończyć Prusowie.

Musiał przestać myśleć o nich jak o dzieciach. Nie są ludźmi.

- Jak chcesz wykorzystać te stwory przeciwko poganom? - zapytał. - Przecież muszą być trzymane w klatkach pod strażą i wiązane srebrnymi kajdanami. Szkolisz je do walki, jednak czy możemy być pewni, że nie użyją swych umiejętności przeciwko nam?

Brat Semyon się zatrzymał. Prowadził Erharda ścieżką przez ogrody do domu opata, w którym miał zamieszkać Erhard, skoro nie miał jeszcze właściwego konwentu.

Dom stał na urwisku wychodzącym na Drwęcę blisko rozpadającego się klasztoru, w którym mieszkali strażnicy wraz ze strzeżonymi przez siebie fałszywymi dziećmi. Wyglądało

na to, że uniknął ciężkiego losu, jaki spotkał zabudowania klasztoru. A może po prostu został starannie odbudowany.

Droga do budynku wiła się między rabatami. Kwiaty rozpaczały gęsty aromat, zmuszając żołądek Erharda do powolnych, nieprzyjemnych skurczów.

Brat Semyon obrócił się do Erharda z wyrazem twarzy sugerującym niezwykłą radość czerpaną ze swojej pracy. Postukał się po czole.

- Jak w przypadku każdego dzikiego zwierzęcia, bracie Erhardzie, najważniejsze więzy to te, których nie widać.

- Dzikie zwierzęta z umysłami ludzi? - zapytał Erhard.

- Czy wytresowanie człowieka różni się czymś od wytresowania zwierzęcia? - Brat Semyon podszedł do krzewu rosnącego w niezwykłej spirali. - Albo ukształtowania takich krzewów? - Przejechał odzianą w czarną rękawicę dłonią wzdłuż formowanej łądygi. - Zwłaszcza jeśli zacznie się z młodym osobnikiem. - Sięgnął w górę i dotknął kwiatu, który niesfornie się wyłaniał z uformowanego krzewu. - Wyginasz go wedle swej woli - zmiażdżył kwiat palcami. Pocięła strużka soku, lśniącego czerwienią w promieniach zachodzącego słońca. - I odcinasz wszystko, czego nie potrzebujesz.

- Ale te stwory zabijają.

- Ludzie też. - Brat Semyon urwał zgnieciony pęd. - Podobnie jak dobrze przeszkolone psy.

- Te stwory nie są psami.

Brat Semyon zwrócił się w stronę szkarłatnego zachodu słońca.

- To proste, mój bracie: kara i nagroda, dominacja i poddanie. Jeśli każdy drobny grzech karany jest żelazną pięścią, nie będą nawet myśleć o popełnieniu ciężkich. - Rzucił łądygę w powietrze. Kwiat się rozpadł, a wiatr porwał płatki ku rzece. - Opanowaliśmy każdą ich świadomą myśl. Są nam posłuszne nie tylko, by uniknąć bólu, ale nasza aprobata jest jedyną przyjemnością, jaką znają w tym świecie.

- Bracie...

- Istnieją, by nam służyć - oświadczył Semyon. - To wszystko. I służą albo giną.

* * *

Strażnik, który śpiewał Róży, traktował ich wszystkich życzliwie. Przybył tu przed kilkoma miesiącami i wtedy Lilia przekonała się, że ludzie mogą nie być okrutni. Najbardziej dbał o Różę, zwłaszcza gdy sprowadzał ją z powrotem od ich pana w środku nocy.

Swą troską dodawał sił Róży. Nie płakała już tak często, a gdy strażnik jej śpiewał, Lilia

nie musiała udawać, że śpi. Czasami nawet razem z nim cicho śpiewała.

Jednak po jakimś czasie o wszystkim dowiedział się ich pan.

Przyszedł do podziemi, emanując taką furią, że z kilku cel równocześnie dobiegł ostry zapach świeżego moczu. Strach był dławiący, ale tym razem furia nie była skierowana przeciwko Lilii, Róży, Ostrokrzewowi, Tymotce, Szałwii czy Bluszczowi...

Krzyczał, wyrzucając z siebie słowa w drugim języku, którego ludzie używali między sobą, a nie tym pogańskim, używanym do wydawania im poleceń. Mimo wszystko zgłoski wbijały się w jej uszy tak głęboko, że pamiętała je jeszcze na tyle długo, by zrozumieć ich sens.

- Jak śmiesz wtrącać się w dzieło zakonu!

- Wtrącać się? Sądziłem, że Chrystus wzywał nas do okazywania miłosierdzia.

- Nie waż się mówić do mnie o naszym Panu! To zwierzęta. Twoja służba tutaj dobiegła końca.

- Czy ta decyzja nie należy do nowego komtura krajowego, bracie Semyonie?

- Jestem twoim zwierzchnikiem! Nie próbuj mi się przeciwstawiać!

Strażnik kiwnął głową i ruszył w stronę drzwi. Lilia wstrzymała oddech. Wiedziała, że pan nie odejdzie, póki ktoś nie zostanie ukarany.

Ciężko ukarany.

Z początku myślała, że cierpieć będzie ona lub jej rodzeństwo. Jednak strażnik zatrzymał się i powiedział:

- Czy twój przełożony wie, w jaki sposób karzesz tę blondynkę? Czy też zwierząt nie dotyczą twoje śluby czystości?

Pan Lilii znieruchomiał, a strażnik roześmiał się i odwrócił, by odejść.

Zobaczyła, jak pan chwyta żelazny pręt ze stojaka przy ścianie, pręt wielokrotnie używany do bicia jej i rodzeństwa. Uderzył strażnika w plecy. Usłyszała, jak Róża w klatce obok gwałtownie wciąga powietrze.

Ich pan uderzył strażnika jeszcze cztery razy.

Lilia szybko dochodziła do siebie po takich razach.

Ale ona nie była człowiekiem.

* * *

Tej nocy Róża płakała bez ustanku, choć Lilia wciąż śpiewała.

* * *

Dwa dni później zabrali Różę w nocy i już nie wróciła. Następnego ranka pan miał na twarzy świeżą bliznę i zbił ich wszystkich, najmocniej Lilię i jej siostry.

Róża nigdy nie wróciła, a tydzień później strażnicy zabrali Lilię, by służyła ich panu w środku nocy. W ciemnym pokoju związał ją srebrnymi łańcuchami i zademonstrował, czym doprowadzał Różę do płaczu.

* * *

Lilia nie pozwalała sobie na płacz. Udawała, że jest kimś innym. Łatwiej było śpiewać na pocieszenie komuś innemu, niż pocieszać samą siebie. Choć ta druga osoba, którą dla siebie wymyśliła, była silniejsza i nie potrzebowała pocieszenia.

Którejś nocy po przyprowadzeniu jej od pana, gdy rozmawiała w myślach z drugą sobą, zrozumiała, w jaki sposób mogła opuścić to miejsce.

Jeśli pan twojego pana będzie zadowolony z twojej pracy bardziej niż z pozostałych, może weźmie cię dla siebie.

* * *

Minął prawie rok, zanim Erhard wybrał jedną z wilczego miotu do wykorzystania w bitwie. Postępował zgodnie z wypracowaną przez braci metodą dyscyplinowania stworów, uczył je, że jest ich panem tak jak Semyon. Co prawda, gdy Semyon zabił Różę za atak na niego, Erhard myślał, że jego służba tutaj nie zda się na nic. Że pomimo zapewnień Semyona stworów nie da się wyszkolić.

Jednak z czasem uznał, że jedno z pięciorga pozostałych szczeniąt z wilczego miotu zostało wyszkolone. Lilia była inteligentniejsza i łatwiejsza do uczenia od pozostałych. Już od kilku miesięcy okazywała mu większe oddanie niż Semyonowi.

Strażnicy umyli ją, ubrali w prostą odzież wieśniaczki i po zapięciu srebrnej obręczy na lewej nodze wyprowadzili w ostre światło dnia.

- Pójdiesz teraz ze mną - zwrócił się do niej Erhard.

Spuściła wzrok, by ukryć się pod zasłoną włosów.

- Rozumiesz mnie?

- Tak.

- Spójrz na mnie.

Lilia popatrzyła mu w twarz. Szukał czegoś w jej płonących zielonych oczach, ale nie zobaczył żadnych emocji.

- Będziesz mi posłuszna.

- Tak.

- Rozkażę ci czekać i będziesz czekać. Czekając, nie będziesz robić nic. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Powiem ci, kiedy przestaniesz czekać. Wtedy będziesz zabijać... ale tylko wtedy.

Rozumiesz?

- Rozumiem.

Poszukał zrozumienia w jej twarzy, lecz znowu zobaczył tylko pustkę. Zastanawiał się, czy to stworzenie pojmuje śmierć. Czy przemawiał do dziecka, czy do zwierzęcia?

Czy miało to jakieś znaczenie?

- Panie... - odezwała się.

- Tak?

- Czy będziesz szczęśliwy, jeśli wielu zginie?

- Tak.

- Więc zabiję wszystkich. - Uśmiechnęła się do niego i nawet w palącym słońcu poczuł, jak przebiega go zimny dreszcz.

TERCJA

Anno Domini 1239

Si occideris, Deus, peccatores,
viri sanguinum, declinate a me.

O Boże, obyś zgładził bezbożnego,
niech krwawi mężowie idą precz ode mnie.

Psalm 139:19

XI

Nadszedł świt. Uldolf mruganiem wyrzucił sen z oczu. Jeszcze nie przyzwyczyił się do pobudki w pełnym świetle dnia, bo noce dopiero niedawno stały się dość ciepłe, by zostawiać otwarte okiennice. Łóżko Hildy stało daleko od okien i przeciągów, ale to oznaczało, że na nie padał rumiany blask wschodu.

Hilda spała obok niego, przy ścianie. Zawsze kładł się od zewnątrz, ponieważ jeśli siostra leżała z lewej strony, tam gdzie miał rękę, bardziej prawdopodobne było, że zrzuci ją z łóżka. I łatwiej było wstać, nie budząc małej.

Usiadł, przeciągnął się.

Zerwał się na nogi, uderzając głową o niską krowkę. Nie zważał na ból, choć zatoczył się aż na środek izby.

- Mamo! Tato! - Nachylił się nad swoim pustym łóżkiem. - Obudźcie się, ona zniknęła!

Okrycia zostały odrzucone na bok, a na poduszce leżały strzępy bandaży poplamione krwią i pasmami rudych włosów. Uldolf z szaleńczo bijącym sercem chwycił poduszkę. Była zimna.

- Mamo!

Hilda usiadła na łóżku.

- Ulfie? Co się stało? Co się dzieje?

- Lilia zniknęła.

- Nie! - W oczach Hildy pojawiły się łzy.

Uldolf potrząsnął głową. Lilia - myślał o niej teraz, używając imienia nadanego jej przez Hildę - nie była całkiem przytomna. Gdzie poszła?

- Ojczy! - zawołał.

Zmartwienie zmieniło się w panikę, gdy zdał sobie sprawę, że łóżko ojca również jest puste.

- Mamo! Tato!

Potem usłyszał głos ojca dobiegający z podwórza.

- Tutaj jestem, synu.

Hilda się rozplakała.

- Ulfie, ona nie pogniwała się na mnie, prawda?

Uldolf podszedł i przytulił siostrę.

- Nie, wiewióreczko. Po prostu miesza się jej w głowie.

Hilda pociągnęła nosem.

- Nie powinnam była jej mówić - wymamrotała.

- Czego mówić?

- Synu! - Z podwórza dobiegł głos Burthe. - Chodź tutaj!

* * *

Uldolf zadrżał z zimna. Gdy szedł za dźwiękami rozmowy rodziców na tyły domu, wydmuchiwane przez niego powietrze zbierało się w lekkie chmurki. Okrążył róg chaty i zobaczył, że ojciec i matka wpatrują się w pole. Stał obok nich.

- Co się dzieje? Lilia zniknęła... - umilkł.

- Jest tam - niepotrzebnie poinformował go ojciec.

Jakieś dwadzieścia metrów od nich stała Lilia, po łydki w czarnej, świeżo zaoranej ziemi. Jej pożyczona koszula nocna, poszarpana i brudna, łopotała lekko w porannym wietrze. Długie rude włosy zwisały swobodnie poniżej ramion. W miejscu, gdzie Burthe je wycięła nad raną, odrosły całkiem białe. Dziewczyna trzymała dłonie przed twarzą, jakby się dziwiła, skąd wzięła się na nich krew.

- Bogom dzięki, że nie poszła nigdzie daleko... - Uldolf nie dokończył. Zauważył, że dziesięć metrów za Lilią na ziemi leży wielki młody łoś, z łopatami ledwie przebijającymi się na początek wiosny.

Został brutalnie zarżnięty. Ślady pazurów tworzyły głębokie bruzdy w jego boku, a potężne szczęki wygryzły nierówne płaty ciała na szyi.

- Widzieliście, co go zabiło? - zapytał Uldolf.

- Nie - odpowiedział ojciec. - Ale myślę, że ona widziała.

- Lilia! - zawołał Uldolf.

* * *

Widziała tylko krew.

Mogła próbować się ukryć, zamknąć oczy, zapomnieć.

Co myśmy zrobiły?

Odpowiedział jej głos, zimniejszy i starszy:

Zrobiłyśmy, co trzeba było zrobić.

Nie chcę już tego więcej.

Ty nigdy tego nie chciałaś. Dlatego tu jestem.

Nie chcę cię!

Zacisnęła dłonie, drżąc, przypominając sobie...

Usłyszała głos Ulfiego.

Odwróciła głowę i zobaczyła go. Stał obok swoich rodziców, patrzył na nią.

Miała wrażenie, że jej serce pęknie z ulgi.

* * *

Lilia odwróciła się, a gdy zobaczyła Ulfiego, szerzej otwarła oczy.

- Ulfie! - zawołała.

Zaczęła biec w jego stronę, machając rękami, jakby próbowała ściągnąć jego uwagę.

- Ulfie! Ulfie! Ulfie!

Było oczywiste, co się zaraz stanie.

- Lilia, nie biegnij!

Na próżno ostrzegał. Ugrzęzła w miękkiej bruździe i przewróciła się twarzą w świeżo zaoraną glebę. Podniosła się do góry na ręce i kolana, plując, cała pokryta ziemią.

Uldolf podszedł, nachylił się, by pomóc jej wstać. Zamiast chwycić jego dłoń, rzuciła się na niego, obejmując rękami w uścisku, który na tyle wytracił go z równowagi, że omal nie upadł.

Łkała mu w ramię.

Uldolf poczuł, że jego twarz robi się czerwona. Dźwignął Lilię z ziemi. Trzęsła się tak mocno, że słyszał, jak klekoczą jej zęby.

- Jest przerażona - wyszeptał.

Rodzice również podeszli.

- Daj mi zobaczyć jej głowę - nakazała Burthe.

Uldolf spróbował obrócić Lilię w stronę mamy.

Dziewczyna zeszywniała, wciąż trzymając go kurczowo. Burthe westchnęła, obesza Uldolfa, wsunęła Lili dłoń pod brodę i uniosła jej twarz.

- Jak ona wygląda? - zapytał Ulfie.

- Jest brudna.

- Ale jej rana... krwawiła...

Burthe cmoknęła kilka razy i odsunęła Lili włosy z czoła. Dziewczyna się skrzywiła i ukryła twarz w zagłębieniu szyi Uldolfa.

- Chyba cię lubi - stwierdziła w końcu Burthe.

Uldolf pogłaskał Lilię delikatnie po włosach.

- Ale czy nic się jej nie stało?

- Otworzyło się kilka szwów i poleciało trochę krwi, ale brzegi blizny trzymają się razem. - Burthe znowu obeszła Uldolfa, stanęła przed nim i popatrzyła na Gedima, który oglądał łosia. - Niewątpliwie bogowie mają ją w swojej opiece, jeśli bestia, która zabiła to zwierzę, nie zaatakowała jej.

- Myślisz, że to się stało, kiedy Lilia wyszła z chaty?

- Popatrz na nią. Sam powiedziałaś, że jest przerażona. Ale drapieżnik nie porzuciłby świeżej ofiary. - Burthe przyciszyła głos. - Zabierz ją do chaty. Stworzenie, które zabiło łosia, wciąż może gdzieś tu być.

Uldolf przypomniał sobie wczorajsze słowa rycerza: „Czy wasze gospodarstwo było ostatnio nękane, chłopcze? Przez dziwne bestie? Czy jacyś ludzie zginęli? Albo zostali ranieni? Straciliście jakieś zwierzę?”. Czy to mogło mieć jakiś związek z Lilią?

Uldolf przegnał od siebie tę bezsensowną myśl.

- Chodź, Lilia. Musimy cię umyć.

Prowadząc ją z powrotem do chaty, spróbował poprawić jej nastrój.

- A więc Hilda nauczyła cię mojego imienia, co? Powiedziała ci, że nie lubię tego zdrobnienia?

- Ulfie - wyszeptała.

- Hm, chyba jednak nie.

Chwyliła jego rękę i przytuliła się do niej, zatrzymując go. Dziewczyna mocno zacisnęła oczy i prawie trzęsła się z wysiłku. Próbowwała mówić.

- Ja... ja...

Był zdumiony, a równocześnie przerażał go rysujący się na jej twarzy wysiłek. Wyglądało to prawie tak, jakby próba mówienia sprawiała Lilię fizyczny ból.

- Uspokój się, Lilio. Nie zmuszaj się.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Ja... ja... ja nnnigdy nie skrzyyywdzę Ulfiego.

- Co?

- Nigdy cię nie skrzywdzę, Ulfie.

Uldolf pomyślał, że musiał wyglądać na przestraszonego, biegnąc do niej.

- Po prostu się o ciebie martwiłem.

- Ulfie - wyszeptała, chowając twarz w jego ramieniu.

- Nie uciekaj znowu.

Nie powiedziała nic więcej przez całą drogę z powrotem do chaty. Najwyraźniej wypowiedzenie tego jednego zdania pozbawiło ją sił.

* * *

- Co go zabiło? - zapytała Burthe.

Gedim podniósł wzrok znad martwego łosia i potrząsnął głową.

- Naprawdę nie wiem. Ślady wyglądają jak wilcze, ale są zbyt duże i jest ich za mało. A trzeba by całej watahy, żeby powalić takiego wielkiego byka. Zresztą, wataha wybrałaby zwierzę chore lub ranne. Albo cielaka.

- Może ryś?

- Może. - Gedim wstał i rozejrzał się wokół.

- Myślisz, że wciąż tu jest?

- Nie. Coś byśmy słyszeli. Dziwię się, że w ogóle nie usłyszeliśmy samego polowania.

- Ja wcale nie, bo tak głośno chrapiesz. - Burthe patrzyła na Uldolfa odprowadzającego dziewczynę. - Ale wygląda na to, że usłyszała Lilia.

- Mhm.

- Cóż, mamy więc pełną spiżarnię. Tym razem bogowie obdarzyli swoją łaską nie tylko naszego gościa.

Gedim ruszył w stronę lasu, badając ślady na ziemi.

- Co tam widzisz, mężu?

- Oczywiście jest, co się tu stało. Jakieś zwierzę zaatakowało tego łosia gdzieś w lesie. Byk był na tyle silny, by dotrzeć aż tutaj, a nasz gość wystraszył drapieżnika...

- Wygląda na to, że nasz gość ma na imię Lilia.

- Tak, tak. Lilia przepłoszyła to zwierzę.

- Czyli wszystko jest w porządku?

- Tak. To rzeczywiście wielkie szczęście... o ile oprawimy go, zanim zjawią się tu jacyś Niemcy i uznają, że kłusujemy. Mięso trzeba oporządzić i schować jeszcze dzisiaj. Niech Uldolf przyjdzie tu z taczka i nożami.

* * *

Dzielenie tuszy tak zaabsorbowało Gedima, że całkiem zapomniał o niepokoju. Jak sam powiedział, było oczywiście, co się tu stało. Łoś uciekł na ich pole i padł z powodu odniesionych ran.

Tylko te ślady prowadzące z powrotem do lasu...

Łoś ważył sześćset kilogramów. Gedim nie znalazł żadnego drapieżnika w tych lasach, który mógłby go tu przyciągnąć.

XII

Do popołudnia następnego dnia, pomimo starań Uldolfa, na polu wciąż znajdowało się jeszcze około połowy dębu. Gedim w swej pracy dotarł do punktu, w którym powalone drzewo blokowało orkę. Teraz więc usuwaniem drzewa zajęli się obaj.

- Jesteś bardzo milczący - zauważył Gedim po godzinie.

Uldolf podniósł wzrok, wzruszył ramionami i znowu zabrał się do pracy. Ponieważ wyglądało na to, że Uldolf nie ma nic do powiedzenia, Gedim wrócił do rąbania swojej gałęzi.

Fakt, że jego jednoręki syn rąbał powalone drzewo prawie dwukrotnie szybciej od niego, był zarówno frustrujący, jak i stanowił powód do dumy.

Pracowali w ciszy jeszcze przez kilka minut, zanim Uldolf sam się odezwał.

- Ten łoś... to było naprawdę bardzo szczęśliwe zdarzenie, prawda?

- Najlepsze, co zdarzyło się nam od dłuższego czasu.

Uldolf przytaknął, rąbiąc energicznie. Pracował bez koszuli, a jego tors pokryty był potem.

- Gdybym nie...

- Synu, gdybanie jest bez sensu. - Gedim opuścił topór.

Uldolf rąbał konar dwukrotnie grubszy od swego uda. Każde uderzenie topora wyrzucało w powietrze drzazgi i drewniane wióry, które przyklejały się do spoconej ręki Uldolfa, przez co wyglądała, jakby poniżej łokcia obrosła gęstym jasnym futrem.

- Co byśmy z nią zrobili? - zapytał Uldolf, wyrzucając słowa między poszczególnymi uderzeniami topora. - Prawie już nie mieliśmy jedzenia.

Przerwał pracę.

- Tato, czy rozmawialiście kiedyś o oddaniu mnie?

- Nie bądź śmieszny.

- A jestem? - Uldolf wzruszył prawym ramieniem. Po ręce nie został nawet kikut. - Kalekie dziecko? To musiał być olbrzymi ciężar.

- Od chwili, kiedy cię do siebie wzięliśmy, stałeś się naszym synem. - Gedim westchnął.

Uldolf ponownie zaatakował konar.

- Czekaj. - Gedim podszedł, tak że oddzielał ich tylko pień drzewa. - Stój!

Topór znieruchomiał, lecz Uldolf nie podniósł wzroku.

- Powiniennem cię wyrzucić z domu za samo gadanie takich głupot. - Gedim założył ręce na piersi. - Jeśli choć słowem zasugerujesz, że moja żona nie kocha cię jak rodzona matka, osobiście złoję cię tak, że się nie pozbierasz.

Uldolf kiwnął głową.

- Wzięliśmy cię, bo kochaliśmy twoją pierwszą rodzinę i kochaliśmy ciebie... - mówił dalej Gedim. - Patrz na mnie, ty użalający się nad sobą szczeniaku! - Uldolf podniósł głowę, a Gedim zobaczył jego łzy. Ten widok wzbudził w nim złość, frustrację i przejmujący smutek. - Do diaska, synu, nie wierzysz mi?

- Wierzę, ojcze.

Uldolf znowu zaczął rąbać. Gedim stał bez ruchu. Sądził, że te rany zagoiły się już dawno temu. Sam już bardzo dawno przestał myśleć o Uldolfie jak o przybranym dziecku. Traktował go, jakby zrodził się z jego ciała.

Uldolf trafił do ich domu w dniu pełnym krwi i łez. Gedim nigdy nie zapomni chwili, gdy znalazł zmasakrowane ciało Jagody, pięcioletniej bratanicy, młodszej siostry Uldolfa. Pamiętał krew na ścianach i poszarpane na strzępy gobeliny. Pamiętał ciche mlaskanie butów, które kleiły się do krwi na podłodze.

Pamiętał kobiecą rękę, ozdobioną klejnotami i starannie wypielegnowaną, porzuconą w pustym hełmie woja. I obutą nogę urwaną w kolanie. I głowę naczelnika Mejdānu, Radwena Seigsona, patrzącą na niego spod stołu.

I pamiętał, jak znalazł swojego dziesięcioletniego bratanka, syna Radwena, Uldolfa, wykrwawiającego się z rany na ramieniu.

Nie pamiętał, jak udało mu się wydostać chłopca z tego piekła, ale nie potrafił zapomnieć jego błagań. Wciąż te same dwa słowa, w kółko. „Proszę, przestań!”.

Uldolf nigdy nie zrelacjonował, co stało się w tamtej sali, a Gedim o to nie pytał. Uldolf nieraz mówił, że gorączka wywołana raną pozbawiła go pamięci. Ale Gedim czasem słyszał, jak jego syn płacze we śnie, i zastanawiał się, czy Uldolf po prostu nie chce pamiętać.

* * *

Uldolf usłyszał trzask i odskoczył do tyłu. Odrąbana wielka gałąź wreszcie zwała się na ziemię.

Słowa ojca wciąż bolały, ale zapewne nie tak bardzo jak to, co on powiedział, zabolało ojca. Nie mógł kwestionować szczerości uczuć rodziców. Oboje dowiedli swojej miłości. Wzięli go do domu, okaleczonego, na wpół martwego... A przecież wielu rodziców

porzuciłoby kalekie dziecko.

- Tato - odezwał się w końcu.

- Tak? - Gedim podniósł głowę znad zbieranych przez siebie gałęzi porzrzucanych pod drzewem.

- Masz rację, jestem użalającym się nad sobą szczeniakiem. Przepraszam.

- Zapomnij o tym, synu.

Nie zapomnę, pomyślał Uldolf. Powiniennem sobie wyciąć na wierzchu ręki: „Bądź wdzięczny za to, czym obdarzyli cię bogowie”.

- Ulfie!

Uldolf zobaczył matkę trzymającą za ramię jakąś nieznaną kobietę o długich, kruczoczarnych włosach. Potem zauważył zielone oczy, sposób przechylenia głowy i uśmiech. Na jego twarzy musiało wyraźnie rysować się zmieszanie, ponieważ Lilia powtórzyła wolniej:

- Ulfie...

Uldolf popatrzył na matkę.

- Co z nią zrobiłaś?

- Wzięłam trochę dębowych galasów i przygotowałam barwnik. Rude włosy za bardzo rzucały się w oczy.

Lilia wyciągnęła w stronę Uldolfa wiadro z wodą.

- A dziewczyna czuje się już na tyle dobrze, że przysporzy nam kłopotów, jeśli nie znajdziemy jej jakiegoś zajęcia - ciągnęła matka. - Pewnie jesteście spragnieni.

Gedim obszedł drzewo.

- Dziękuję pani. - Ukłonił się lekko Lili, zanim wyciągnął czerpak z wiadra.

Uldolf zmarszczył brwi.

- Czy ona może już nosić takie ciężary?

- Nie martw się - odpowiedziała Burthe. - Jest silniejsza, niż na to wygląda. A dzisiaj rano zdjęłam jej ostatnie szwy.

Gdy Gedim się napił, Lilia podeszła do Uldolfa, wciąż trzymając w ręku wiadro.

- Postaw je na ziemi - zwrócił się do niej młodzieniec.

- Zostawię ją tu, żeby was pilnowała. - Burthe odwróciła się, by odejść.

Uldolf zrobił krok w stronę matki i wszedł prosto na wiadro, które znalazło się na wysokości jego piersi. Woda ochlapała mu tors.

Gedim się roześmiał.

- Chyba jednak powinienes przyjąć poczęstunek od młodej damy.

Uldolf westchnął, wziął czerpak i napił się wody.

* * *

Lilia do wieczora przyglądała się ich pracy. Usiadła na murku. Za każdym razem, gdy Uldolf zerkał w jej stronę, uśmiechała się do niego, na co reagował mocniejszym rąbaniem.

Nie przeszkadzało mu to wyobrazić jej sobie siedzącej na pniu, machającej nogami.

Właściwie zafarbowanie włosów na tak ciemny kolor powinno uczynić ją mniej atrakcyjną, jednak umożliwiło Uldolfowi uświadomienie sobie, jak ognista grzywa odwracała uwagę od jej urody. Nawet z czerwoną szramą nad prawym okiem miała twarz tak urodziwą, że poeci by układali dla niej wiersze.

Na pewno ta dziewczyna ma gdzieś rodzinę, która martwi się jej utratą. Na pewno była z kimś zaręczona, jeśli nie wydana już za męża. A skórę miała tak delikatną, że Uldolf bardzo wątpił, by jej rodzice lub mąż pracowali na roli.

Wczoraj, gdy udało się jej wydusić z siebie całe zdanie, próbował pytać ją o rodzinę, ale w odpowiedzi tylko potrząsała głową, mówiąc „Nie” lub „Ulfie”. Gdy zapytał ją, gdzie mieszkała, odpowiedziała: „Tutaj”.

Może nie rozumiała jego pytań, może nie potrafiła odpowiedzieć, a może bawiła się jego kosztem.

Mimo wszystko próbowała ponownie zacząć mówić. I w końcu będzie w stanie powiedzieć, gdzie mieszka jej rodzina. Wtedy zaprowadzę ją do domu, obiecał sobie Uldolf.

A jeśli była szlachetnie urodzona, człowiek, który bezpiecznie sprowadzi ją do domu, otrzyma jakąś nagrodę. To mogłoby zapewnić jego rodzinie środki na przetrzymanie kolejnej ciężkiej zimy.

Zresztą zaręczona czy nie, kobieta z tak żywym, radosnym i energicznym temperamentem zasługiwała na coś więcej niż kalekę, pół mężczyzny.

* * *

Gdy słońce dotknęło szczytów drzew, powalony dąb został w końcu pozbawiony konarów.

- Pomogę! - oznajmiła Lilia.

Razem z Uldolfem i ojcem znosiła drewno z pola. Z początku gdy podnosiła wielką gałąź, Uldolf zaraz jej odbierał ciężar, ale dziewczyna tylko się uśmiechała i chwyciła następną, większą. Martwił się, bo pamiętał, jak trzęsła się jej prawa ręka, gdy pierwszy raz zapinała jego pelerynę.

Jednak wszystko wskazywało na to, że rana jej już nie przeszkadza. I niezależnie od tego, z jak szlachetnej mogła się wywodzić rodziny, nie wykazywała niechęci do pracy.

Gdy usunęli wszystkie gałęzie, porąbali pień na cztery kawałki. Gedim przyprowadził konia. Musieli przepchnąć kloce tak, by koń mógł je wyciągnąć z miękkiej ziemi.

Uldolf z Lilią rozhuśtywali kawałki pnia, a ojciec prowadził konia. Lilia ramieniem dotykała boku Uldolfa. Czuł, jak jej mięśnie prężą się i napinają.

Mama miała rację, dziewczyna była silniejsza, niż na to wyglądała.

I nie tylko fizycznie, pomyślał Uldolf.

Drzewo znikło z pola, zanim zaszło słońce.

XIII

Teraz, gdy naprawdę czuła się dobrze, słowa Lili „pomogę” często rozbrzmiewały w obejściu. Z początku rodzice Uldolfa przyjmowali to z niepokojem, bo nie można się było z nią porozumieć, a najwidoczniej nie potrafiła zrobić nic praktycznego. Jednak dziewczyna była nie tylko silna, ale i inteligentna. Dzięki obserwacji Burthe szykującej obiad samodzielnie ugotowała znośny gulasz, a po kilku minutach z Gedimem zdołała poprowadzić pług tak, jakby całe życie pracowała na roli.

Uldolf zaczął lepiej czuć się z tym, że sprowadził ją do domu. Im więcej wykonywała zadań, tym bardziej zapracowywała na swoje jedzenie. Pewnie dlatego Lilia nieustannie chciała pomagać.

Był z niej dumny. Inteligencję i siłę miała wrodzone, ale najbardziej cieszyła go jej bezinteresowność, chęć pomagania wszystkim.

Wyraźnie jednak najchętniej pomagała jemu.

A w tej chwili oznaczało to siew. Pracowali razem, z przodu Lilia, z koszykiem jęczmienia, rozrzucając ziarno w bruzdy, a Uldolf zagrabiał. Mieli bronę, lecz koń wciąż był potrzebny do orki w dalszych kawałkach pola.

Hilda przyglądała im się ze szczytu kamiennych murków przy chacie. Choć w tej chwili bawiła się lalką, ona też miała przydzieloną pracę, która będzie ją zajmować przez większość wiosny - przeganiała ptaki, by nie wydziobały ziarna. Raz na jakiś czas Uldolf słyszał jej wołanie: „Sio, sio!”, któremu towarzyszyło łopotanie skrzydeł.

Dobrze, że Lilia tu była. Nawet zanim padł ich wół, często siali zbyt późno, gdyż mieli za mało rąk do pracy w polu. A sianie było pracą dla przynajmniej dwóch osób. Nie mogli zostawić obsianego pola bez zagrabienia lub bronowania, które przykrywało ziarno ziemią, chroniąc je częściowo przed ptakami. Przy odsłoniętych ziarnach stado gawronów mogło oczyścić pole z ziarna w godzinę.

Uldolf tęsknie wspominał ich wołu. Ciągnięcie ciężkich grabi, rozbijanie brył ziemi i zakrywanie ziarna było wyczerpujące nawet dla człowieka dwuręcznego. Praca szła wolno - z jego powodu. Lilia wciąż musiała czekać, aż on dogoni ją z grabieniem.

Co gorsza, niebo zaczynało ciemnieć od gęstych chmur i poczuł krople spadające mu na kark.

Możliwe, że nawet nie zdołają przepracować całego dnia.

Uldolf schylił się, by przyciągnąć do siebie grabie i przykryć warstwą ziemi kolejny kawałek obsianej bruzdy.

Zaklął, czując skurcz w plecach. Jaki był głupi! Kiedy ostatni raz robił sobie przerwę?

Trzy razy zwyzywał się od durniów, puścił grabie i spróbował się wyprostować. Jęknął, tracąc równowagę. Gorączkowo zamachał ręką, ale nie pomogło. Upadł w świeżo obsianą bruzdę. Wstyd zabolął bardziej od pleców.

- Ulfie!

- O nie! - jęknął, wypluwając z ust ziemię i ziarno.

Lilia padła na kolana, pomogła mu się podnieść. Miał nadzieję, że jego ojciec i siostra nie widzą, jak dźwiga go kobieta dużo mniejsza od niego.

- Nic mi nie jest - zaprotestował.

Lilia przycisnęła go do piersi tak mocno, że ponownie wywołała ostry atak bólu pleców. Wtuliła twarz w jego szyję.

- Nic mi nie jest, Lilia. Naprawdę, to był tylko skurcz.

Wymamrotała coś. Brzmiało to jak „nie krzywdzi”.

- Co?

Puściła go. Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte, a na policzku rysowała się czarna kreska w miejscu, gdzie łyzy wymyły część barwnika z włosów. Chwyliła go za ramiona i powiedziała z bardzo poważnym wyrazem twarzy:

- Nie krzywdzić, Ulfie. Nie krzywdzić!

- Mówiłem ci, nic mi nie jest.

- Nie krzywdzić! - Potrząsnęła nim. Była bardzo wzburzona.

- Lilia, nic mi nie jest. - Spróbował mówić z większym przekonaniem w głosie. - Przestań, zanim zobaczy nas moja rodzina.

Wargi jej drżały. Starł z jej policzka łzę.

- Nie stało się nic złego. Nawet już nie czuję bólu. - Poglaskał ją po twarzy. - Proszę, bardzo proszę, przestań.

Zamknęła oczy i nagle odepchnęła go od siebie z wielką siłą. Poleciał do tyłu, lądując w kolejnej bruzdzie.

- Co ty robisz?!

- Nie! - wrzasnęła Lilia. Zacisnęła dłonie w pięści. - Nie!

Uldolf spróbował wstać, ale ręka pośliznęła mu się w ziemi, upadł znowu.

Lilia gwałtownie potrząsała głową, rozrzucając włosy w chaotyczną chmurę. Uderzyła się

pięściami w uda, wciąż krzycząc, ale jeśli były w tym krzyku jakieś słowa, Uldolf nie potrafił ich zrozumieć.

- Co się stało? - Usłyszał w swoim głosie pierwszy ślad strachu.

* * *

Dwa słowa przemykały przez umysł Lili w kółko. Ulfie skrzywdzony. Ulfie skrzywdzony.

Podbiegła do niego przerażona, z bólem serca i z mdłościami od krwawych wspomnień, o których próbowała zapomnieć. Objęła go ciasno, chciała wyciągnąć go z ziemi, jak on wydobył ją z lodowatej wody.

Nie krzywdzić. Nie krzywdzić. Nie krzywdzić.

W głowie wszystko się jej mieszało. Jej pan, jej siostra Róża, Hilda, Ulfie...

Podźwignęła go z ziemi. On był w tym wszystkim jedynym, co miało sens. W wirze, z którego składał się jej świat, tylko jego była pewna. Potrząsnęła nim, próbując mu to powiedzieć.

Nie krzywdzić.

A potem usłyszała:

- Proszę, przestań.

Jej myśli zamarły. Nie potrafiła myśleć, nie potrafiła mówić. Mogła tylko czuć.

Wewnątrz głowy zobaczyła krew. Poczowała ją.

Usłyszała wrzaski.

I zrozumiała, co pozwoliła zrobić tej drugiej w imię boga jej pana. Przeraziło ją to.

* * *

Gedim odciągał pług, próbując uwolnić go od upartej grudy gliniastej ziemi, gdy usłyszał krzyk Lili. Był przekonany, że coś stało się Uldolfowi. Puls mu przyspieszył, język zrobił się ciężki od miedzianego smaku strachu. Lilia, nachylona, krzyczała i rzucała głową w przód i w tył.

Pod jej stopami zobaczył syna leżącego na zaoranej ziemi.

Nie wiedział, co się stało, ale zaczął biec w ich stronę.

* * *

- Mamo! - krzyknęła Hilda, zeskakując ze swojego miejsca na murku.

Burthe sadziła zioła w ogródku przy chacie i też usłyszała krzyk, przeraźliwy skowyt.

Rzuciła motykę i popatrzyła na pole. Zobaczyła pędzącego Gedima i zawodzącą Lilię. Serce jej zamarło, bo nie widziała syna.

* * *

Uldolf się cofnął, odpychając się nogami wzdłuż bruzdy.

- Lilia, przerażasz mnie.

Policzki miała mokre od łez, ale oczy szeroko otwarte, a wargę wywiniętą, jakby chciała warknąć.

Co się z nią stało?

- To ja, Uldolf. Nie poznajesz mnie już?

Groźne wywinięcie wargi zaczęło zanikać. Lilia wyglądała na zmieszaną.

- Proszę, przestań.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Uldolf? - Zamrugała, jakby nagle jego widok ją zaskoczył. Wyraz jej twarzy też się zmienił, przerażenie i groźba ustąpiły.

Znowu się odezwała, jednak w jej głosie nie było nic z wcześniejszego wahania i niepewności.

- Tak mi przykro.

Zobaczył w jej oczach głęboki smutek. Nie płakała już, jakby to, co czuła, wychodziło poza zwykłe Izy.

- Tak mi przykro - powtórzyła. - Nie mogę...

Głos jej się załamał. Pobiegnęła przez pole.

Uldolfowi udało się wreszcie oprzeć na ręce i podnieść na nogi.

- Lilia, czekaj! - zawołał za nią.

Pędziła, jakby ją ktoś gonił. Gdy dotarła do otaczającego pole muru, przeskoczyła go, nawet nie zwalniając. Pobiegnął za nią, ale już znikła w lesie.

Oparł się o mur, patrząc bezrozumnie na chmury, z których lunął gęsty deszcz.

Dobiegł do niego Gedim, ciężko dysząc.

- Co tu się stało?

Uldolf potrząsnął głową.

- Muszę za nią iść.

- Zaraz będzie burza.

Odwrócił się i chwycił ojca za koszulę.

- Muszę iść za nią!

XIV

Karl Lindberg jechał w rześnym deszczu. Był zmarznięty, przemoczony i bardzo chciał znaleźć się gdzieś indziej. Pić przy ognisku, baraszkować w łóżku z kobietą, podpalać jakąś pogańską wioskę - a musiał prowadzić to bezsensowne polowanie na duchy.

Może powinien był zabić brata. Gdyby ojciec miał tylko jednego potomka, nie oddałby go pod rozkazy Kościoła. Ale numer dwa, czyli Karl - niech służy w Ziemi Świętej. A jeśli to nie dość daleko, wyślijmy go w pogańskie głusze.

Może powinien był zabić i brata, i starego pierdziela.

Zamiast nich zabijał ciemnoskórych niewiernych i jasnoskórych pogan. Owszem, było to przyjemne, ale teraz, pod rozkazami zakonu krzyżackiego, nudził się niemiłosiernie.

Na szczęście ojciec, mimo swych ambicji politycznych i pobożności, nie zmusił syna do złożenia ślubów kościelnych. Karl wolałby poderżnąć sobie gardło, niż żyć w ubóstwie, w zakonie.

Mężczyźni nie byli do tego stworzeni. Kochać Boga tak bardzo, by wyrzec się wszelkich ziemskich przyjemności? Lepiej ruszyć do walki, wymachując mieczem. Można Go było spotkać dostatecznie prędko.

Jednak w tym roku Karlowi odmówiono nawet tego. Został zesłany na chrześcijańskie ziemie, gdzie na wieśniaków nie mógł podnieść głosu, a co dopiero miecza.

Kiedy Karl dowiedział się od komtura krajowego Erharda von Stendala, na co ma polować, poczuł podniecenie. Oto coś egzotycznego, co mogło stanowić wyzwanie. Stworzenie, które pokonało prawie dwudziestu żołnierzy, Prusów czy nie, zasługiwało na pewien szacunek.

Jednak to podniecenie szybko wygasło.

Jeśli stwór miał choć tyle rozumu, co podstarzały muł, dawno temu uciekł w odległe zakątki puszczy, wiele kilometrów stąd. Każdy dzień spędzony na szukaniu jego śladów był kolejnym dniem oddalania się stwora.

Karl kichnął, a jego koń zastrzygł uszami.

Osiem lat za późno, pomyślał rycerz. Gdyby znalazł się tu, zanim te ziemie stały się chrześcijańskie, wszystko byłoby inne. Żadnego uprzejmego traktowania tych barbarzyńców. Robiłby wszystko, co chciał, a Chrystus płakałby nad tymi, którzy weszliby mu w drogę.

Wcześniej tego dnia, zanim zaczął padać deszcz, zajechali do gospodarstwa, które chyba już po raz trzeci przeszukiwali. Była tam blondynka z piątką dzieci. Gdyby te ziemie podlegały władzy zakonu...

Uśmiechnął się na myśl, co mógłby z tą kobietą zrobić.

- Panie! - krzyknął jeden z towarzyszących mu pieszych żołnierzy.

- Stać! - zawołał Karl do swej sześciuosobowej eskorty. Co znowu? - zastanawiał się. Kolejne żalosne gospodarstwo w lesie? Jakiś dzieciak ścina drzewa na ziemiach zakonu? Któryś z jego ludzi wdepnął do zwierzęcej nory i złamał nogę?

Rozejrzał się wokół. Żadnego gospodarstwa nie zauważył z błotnistej przerwy w lesie, która uchodziła tu za drogę. Drzewa rosły gęsto z obu stron. Żołnierz, który do niego zawołał, podszedł, by przytrzymać uzdę wierzchowca.

- Rutger coś znalazł - powiedział.

Rycerz zsiadł. Jego buty chlupnęły w brązowej rzeczce wyrzeźbionej przez deszcz pośrodku szlaku, którym podążali.

- Czekać! - krzyknął, by poinformować pozostałych, że chwilę tu zostaną. - Jeśli ktoś tego ma potrzebę, niech wykorzysta ten czas i się wysika.

Z juków przy siodle wyciągnął srebrną obrożę, którą komtur krajowy dał mu, przykazując: „Użyj tylko, jeśli zostanie całkowicie opanowana. Choć chcę ją przepytac, została skazana na śmierć, więc jeśli będziesz miał jakiegokolwiek wątpliwości dotyczące swojego bezpieczeństwa, zabij ją”.

Może Karl powinien żałować, że zakon nie wręczył mu większej ilości srebrnej broni. Ale przecież nie miał szansy znaleźć zwierzyny. Bestia uciekła na długo przed tym, zanim w ogóle przyjechał do twierdzy. Bez żadnego sensu przedzierał się przez błoto i deszcz.

* * *

Rutger usłyszał dobiegające z tyłu wołanie: „Stać!”.

Chwilę później dobiegło go: „Czekać!”.

Kobieta wciąż go nie zauważyła. Możliwe, że deszcz i wiatr szarpiący gałęziami w górze stłumiły jego wezwanie pomocy, a może po prostu zbyt głośno łkała, by go usłyszeć. Znajdowała się dobre dwadzieścia metrów od niego, skulona pod pniem przewróconego drzewa, którego powykręcane korzenie przewyższały młode drzewka wyrosłe w stworzonej przez upadek przesieci. Ubranie miała całkiem mokre i ubłocone. Przyciskała kolana do piersi i widział, jak jej plecy trzęsą się od płaczu.

Zgubiła się, pomyślał Rutger. Powędrowała do lasu i zgubiła się w tej burzy.

Niebo rozjaśniło się błyskawicą i niemal natychmiast zagrzmiało. Kobieta podniosła twarz. Wpatrywała się w górę, w deszcz, albo prosząc Boga o łaskę, albo Go wyklinając.

Rutger ruszył w jej stronę. Nawet nie spojrzała w jego kierunku.

- Potrzeba pomoc? - zapytał w łamanym języku pruskim.

Popatrzyła na niego uderzająco zielonymi oczami. Rutger gwałtownie wciągnął powietrze, ale kobieta, której szukali, miała rude włosy.

- Nie martwić - powiedział. - My pomoc.

Potrząsnęła głową. Nie wiedział, czy odmawia, czy go nie rozumie. Wstała, opierając się plecami o pień powalonego drzewa. Oczy miała szeroko otwarte, przestraszone.

Rutger nie wyglądał groźnie, nawet w pełnej zbroi. Był niski, szczupły, twarz miał prawie dziecienną - jednak ta kobieta trzęsła się i patrzyła na niego, jakby był dzikim zwierzęciem.

Rutger ściągnął hełm. Miał nadzieję, że kobieta się uspokoi, gdy zobaczy jego odsłoniętą twarz. Wciąż się uśmiechał i zrobił kolejny krok do przodu.

- Twoje imię?

Rzuciła się do ucieczki.

Rutger upuścił hełm i pognął za nią. Nie musiał biec daleko - wpadła prosto w ramiona rycerza, Karla Lindberga.

Karl chwycił ją i odwrócił się do Rutgera.

- Co my tu mamy?

- Zgubiła się i płakała. - Rutger nagle uświadomił sobie, że w przesiece upuścił hełm. Karl nie był pobłażliwy dla swoich ludzi. Drobne uchybienie w dyscyplinie mogło oznaczać kilka dni ciężkich prac.

Duże uchybienie...

Kobieta próbowała wyrwać się z ramion rycerza.

- Dzika jest. - Karl zachichotał, jakby jej zmagania sprawiały mu przyjemność. - Wiesz, do kogo należy?

- Nie, panie. Nie odezwała się do mnie. Od razu uciekła.

- Na zęby Boga, nie potrafisz złapać kobiety?

Rutger poczuł się lepiej. Karl był w dobrym humorze i albo nie zauważył braku hełmu, albo uznał, że go to chwilowo nie obchodzi.

- Panie, zagoniłem ją w stronę drogi.

Karl się roześmiał.

- Jesteś bardzo wielkoduszny. Zagnać taki skarb prosto w ręce towarzyszy.

Kobieta wciąż próbowała się wyrwać, uderzając pięściami w pierś Karla i potrząsając

głową. Rycerz zaczął mówić po prusku, znacznie lepiej niż Rutger.

- Uspokój się i...

W swoich zmaganiach kobieta zdołała trafić pod hełm i uderzyć Karla w wargi. Pocięła krew. Dla Rutgera wyglądało to jak wypadek przy panicznym szarpaniu się, ale wyraz twarzy rycerza uległ gwałtownej zmianie.

- Suka!

Karl pięścią uderzył dziewczynę w twarz. Padła bez ruchu.

Rycerz otarł krew z wargi.

- Ty suko! - wrzasnął po niemiecku. - Gdybyśmy nie byli w chrześcijańskich Prusach, dostałabyś nauczkę! Gdybyś nie była... - Umilkł, patrząc na swoją dłoń.

- Panie...? - odważył się odezwać Rutger.

Karl z okrutnym uśmieszkiem na twarzy splunął flegmą i krwią na dziewczynę, po czym schylił się, chwycił ją za włosy i podniósł jej głowę z błota. Rutger zobaczył na skroni dziewczyny paskudną, ledwie zagojoną czerwoną ranę.

Ręka Karla robiła się czarna.

- Ta suka zafarbowwała sobie włosy. - Karl wyciągnął zza pasa srebrną obręcz i zapiął ją wokół szyi kobiety.

- O-ona to... - wybełkotał Rutger.

- Ha! I to ty jesteś bohaterem, który ją znalazł. - Mocniej zacisnął rękę w jej włosach, a dziewczyna otworzyła oczy. Gwałtownie wciągnęła powietrze, sięgając do srebrnej obręczy na szyi. - Szybko, trzeba ją związać!

Rutger podbiegł z kawałkiem liny, chwytając dziewczynę za ręce. Krzyczała, kopała i wrzeszczała, ale Karl znów ją ogłuszył ciosem na tyle, że Rutger zdołał związać jej nadgarstki.

Popatrzył w jej nieprzytomne oczy. Wymamrotała coś, co zabrzmiało jak: „Nie, Ulfie”.

Teraz, z bliska, Rutger zauważył, że spływający z jej czoła deszcz jest szary. W miejscach, gdzie wymywała się farba, zaczynały przeświecać rude włosy.

- To naprawdę ona. - Rutger się cofnął. - Zabiła tyłu...

- Spokojnie - rzucił Karl. - Ma teraz na szyi obrozę. Jest bezsilna.

- Czemu nas nie zaatakowała?

Karl znowu splunął krwią.

- Widocznie chciała się ukryć. Doskonale wiedziała, że jeśli coś zrobi, wszyscy w tych lasach się na nią rzuca.

Rutger wcale nie był tego taki pewien. Było ich tylko sześciu, a ten potwór podobno zabił

ponad dwa razy tyle żołnierzy. I znalazł ją, gdy łkała pod drzewem...

Cieszył się, że nie do niego należy podejmowanie trudnych decyzji.

- W takim razie szybko wracajmy do komtura. - Rutger odwrócił się, by zebrać ludzi.

- Rutger! - wrzasnął na niego Karl. - Kazałem ci coś robić?

- Nie. - Rutger obrócił się ponownie. - Myślałem...

- Na kilka minut powstrzymaj się od myślenia. - Karl chwycił dziewczynę za nadgarstki i pociągnął ją w stronę pobliskich drzew.

- Droga jest w tamtą stronę - rzekł Rutger.

- Co ja ci mówiłem o myśleniu? Zostań tu i siedź cicho. - Karl dotarł do drzewa, którego gruby konar złamał się na wysokości wyciągniętej ręki. Dźwignął kobietę i zawiesił ją za nadgarstki na gałęzi, tak że zawisała stopami tuż nad ziemią.

- Co robisz, panie?

- Udzielam tej suce lekcji. - Karl wyciągnął sztylet.

Rutger zobaczył odbłask klingi w świetle kolejnej błyskawicy. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić.

* * *

Na szczęście chuderlak Rutger zamknął się wreszcie.

Karl znowu splunął. Wciąż piekły go wargi. Ból jeszcze podsycił złość - złość na deszcz spływający po karku, złość na odciągnięcie od właściwej służby do przegrzebywania stodoł w poszukiwaniu jakiegoś pogańskiego koszmaru, złość na wiszącą przed nim sukę.

- Kosztowałaś mnie wiele wyrzeczeń, potworze - wyszeptał.

Jej powieki drgnęły. Uderzył ją w twarz.

- Masz być przytomna. - Mówił po niemiecku, nie dbając o to, czy dziewczyna go rozumie.

Otworzyła zielone oczy i wbiła w niego spojrzenie.

- Dobrze. - Dotknął jej policzka ostrzem sztyletu. - Czujesz? To srebro. Ostrze nie nadaje się do niczego, poza siekaniem ciebie.

- Nie! - załkała po prusku.

Roześmiał się. Drobna blizna, żeby mnie lepiej zapamiętała? Przejechał ostrzem po jej twarzy. Odsunęła się. Na policzku została cienka krwawa kreska.

- Nie krzywdź.

- Z tym kołnierzem jest trochę inaczej, co? Nie przyjdzie żaden potwór, żeby cię uratować, dziewczynko. - Szarpnął ostrzem w dół, rozcinając bluzę. Zabłocone ubranie zwisło

w strzępach. Jeszcze kilka pociągnięć sztyletem i obnażył dziewczynę od szyi do kolan. - Proszę, proszę, jaki atrakcyjny potwór...

Przystawił ostrze sztyletu pod jej szczękę, tuż nad srebrną obrozą. Drugą ręką rozpiął klamrę pasa. Nachylił się i wyszeptał dziewczynie po niemiecku do jej pruskiego ucha.

- Szkoda. Komtur krajowy i tak cię zabije.

* * *

Lilia próbowała się wyrwać. Szarpała głową, mocno zaciskając oczy, ze łzami mieszającymi się z deszczem, gdy mężczyzna kolanem rozpychał jej nogi.

- Nie - powiedziała.

Ten mężczyzna nie słuchał, tak jak jej pierwszy pan.

- Nie! - krzyknęła.

Brutalnie przygniół jej plecy do drzewa. Krzyknęła znowu - i nagle całe jej ciało zrobiło się bezwładne.

Pomóż mi! - zawołała w mrok wewnątrz siebie.

Odpowiedział jej zimny, gniewny głos.

* * *

Karl opuścił sztylet, czując spływające wzdłuż swoich nagich ud wilgotne ciepło. Sięgnął w dół i umazał dłoń jasnoczerwoną krwią, różowiejącą w padającym deszczu.

- Niech mnie diabli! - Roześmiał się. - Ta bestia to dziewczica.

- Panie! - dobiegł go gdzieś z oddali głos Karla.

- Zamknij się, Rutger!

Potwór przed nim poruszył się, mamrocząc coś.

- Głupiec...

- Co powiedziałaś?

Karl podniósł sztylet do jej szyi, ale poczuł, jak jej gołe nogi owijają się wokół jego talii i przyciągają tak gwałtownie, że broń wyleciała mu z dłoni. Poczuł oddech dziewczyny na policzku. Udami ścisnęła mu żebra. Trudno było oddychać, ale spróbował się od niej odepchnąć.

Nie płakała, nie zobaczył w zielonych oczach strachu. W ich głębi kryła się tylko potworna pustka. Dziewczyna się uśmiechnęła. Przybliżyła usta do jego warg.

A potem poczuł jej zęby.

* * *

Rutger przyglądał się gwałtowi ze wstrętem i fascynacją. Niezdolny się odwrócić, patrzył, jak jego rycerz siłą bierze kobietę, równocześnie powtarzając sobie, że to morderczyni i potwór. Ale była tak przerażona... Jej emocje wyraźnie dawały się odczytać z jej twarzy i natychmiast zauważył, gdy się zmieniły.

Nagle otworzyła oczy. To, co w nich zobaczył, sprawiło, że krzyknął:

- Panie!

- Zamknij się, Rutger!

Kobieta patrzyła na Karla z zimną pogardą, jak na psa.

Gdy objęła rycerza nogami, Rutger wyciągnął miecz i już biegł w jej stronę. Karl padł na plecy, chwytając twarz zakrwawionymi dłońmi.

- Zabij ją! - krzyczał.

W szyję, pomyślał Rutger. Nawet bez srebrnej klingi wystarczy ściąć jej głowę.

Machnął bronią, ale dziewczyna nieprawdopodobnie szybko podciągnęła się do góry. Stęknął, bo ostrze wbiło się w pień.

Spojrzał w górę. Kobieta przykucnęła na gałęzi nad nim, warcząc, z twarzą umazaną krwią. Szarpnęła rękami na boki, rozrywając krępującą je linę. Próbował uwolnić ostrze, ale utkwilo bardzo mocno.

Skoczyła na jego odsłoniętą głowę.

* * *

Rozciągnięty na ziemi Karl macał wokół, szukając sztyletu.

Znalazł go, sterczącego do góry z korzenia drzewa. Chwycił rękojeść...

Bosa stopa nadepnęła na jego nadgarstek, przygniatając go do ziemi. Przeturlał się na plecy i zobaczył nad sobą nagą dziewczynę. Popatrzyła na niego z góry pustymi zielonymi oczami i odezwała się w doskonałym niemieckim.

- Może drobna blizna, żebyś mnie lepiej zapamiętał?

- Suka! - warknął. Zauważył, że na jej policzku wciąż było widać zrobione przez niego cięcie.

Schyliła się po sztylet.

- Oni... - wycharczał Karl, próbując uwolnić rękę. - Oni cię zabiją.

- Lubisz dziewice? Mój pierwszy pan, brat Semyon, bardzo lubił dziewice.

Chwycił ją za kostkę, ale opadła kolanem na jego pierś. Poczł ból złamanych żeber.

- Lubił, ponieważ my się leczymy.

Sięgnęła w dół i chwyciła jego penis, skurczony i wciąż pokryty krwią z jej błony dziewiczej.

- Widzisz, to nie jest zrobione ze srebra.

Cięła sztyletem, a Karl wrzasnął.

XV

Deszcz przemoczył Uldolfa i wychłodził go do bólu. Ciemne chmury nie pozwalały stwierdzić, czy słońce już zaszło, czy jeszcze nie.

- Lilia! - wołał.

W odpowiedzi słyszał jedynie grzmoty.

Wierzchołkami drzew szarpał wiatr, a krople deszczu uderzały, jakby ktoś rzucał żwirem. W hałasie ledwie słyszał własne słowa.

- Lilia! - zawołał ponownie. Ochrypl. Robiło się coraz mroczniej, dalsze poszukiwania były bardzo ryzykowne, ale nie zawracał. Znał ten las świetnie, nawet po ciemku.

Nie mógł wrócić bez niej. Nie rozumiał powodów, dlaczego uciekła, ale na pewno on czymś zawinił.

Czy ją obraził? Może źle go zrozumiała? Przecież chciał tylko, żeby przestała płakać.

Zaczeplił stopą o coś w poszyciu i upadł, zanim zdołał się czegoś chwycić. Jego dłoń wbiła się w wilgotną ziemię, sosnowe igły i butwiejące liście. Brązowa woda przepływająca między palcami.

Musiał się obrócić i usiąść u podstawy sosny obok, by uwolnić stopę. Z początku myślał, że wdepnął w jakieś porzucone wiadro, ale to coś było lżejsze, metaliczne...

Hełm!

Bez wątplenia to niemiecki hełm. I wcale nie jakaś pozostałość z zarośniętego przez las, dawnego pola bitwy. Metal wciąż lśnił, choć oblepiły go sosnowe igły i błoto.

Las rozświetliła błyskawica i Uldolf zobaczył ruch między drzewami. Dwóch żołnierzy. Z bronią w gotowości.

Ostrożnie odłożył hełm, choć szalejąca burza i tak by zagłuszyła brzęk metalu. Obszedł drzewo i wyjrzał z drugiej strony pnia.

Chyba go nie widzieli.

- I co teraz? - wyszeptał do siebie, nawet nie słysząc własnych słów w szumie deszczu.

Zobaczył kolejnych trzech żołnierzy biegnących co sił przez las. Skrzywił się. Kto wie, ilu ich tam jeszcze jest. Będzie musiał się cofnąć po własnych śladach, by uniknąć spotkania z nimi.

Znowu błysnęło i ujrzał, że jeden z żołnierzy trzyma w ręku rozciętą bluzę.

Zmroziło go do głębi duszy. Tę bluzę miała na sobie Lilia.

Nie daruję! - przemknęło mu przez myśl. - Pozabijam ich wszystkich!

Zacisnął w dłoni myśliwski nóż, przykucnął i zaczął podkradać się do żołnierzy. Kolejna błyskawica rozświetliła las i ujrzał, że wokół Niemców panuje chaos.

Ziemia pod jego nogami zatrzęsała się od potężnego grzmotu. Dłoń tak mocno zaciskał na rękojeści noża, że zbieleły mu kostki palców. W oczach piekły go łzy furii.

Nie mógł ich zaatakować. To byłoby samobójstwo. A przecież jest potrzebny rodzicom i Hildzie.

Powoli schował nóż do pochwy.

Znow błysnęło. Zobaczył dwóch ludzi leżących na ziemi. Ten dalej wyglądał jak rozszarpany przez dzikie zwierzę. Miał zalaną krwią twarz, podbrzusze i całe nogi.

Uldolf się wycofał.

Poza ubraniami nie zobaczył żadnych śladów Lilii. Może oni ją znaleźli, a potem zaatakowało ich jakieś dzikie zwierzę?

Czołgał się z powrotem przez poszycie, z dala od żołnierzy, którzy wchodzili głębiej w las, trzymając się w zwartej formacji.

Szukali dzikiego zwierza czy Lilii?

A może jej ciała?

Dotarł do niewielkiego wzgórka, za którym się skrył. Powinien teraz wstać i uciekać do domu, ale oparł się o pień drzewa i wbił wzrok w gęstwinę lasu. W ulewnym deszczu mógł udawać, że wcale nie płacze.

Uświadomił sobie, jak szybko Lilia stała się członkiem jego rodziny. Choć wiedział, że nie zostanie z nimi na zawsze, wróci do swoich, gdy odzyska pamięć - lecz nie mógł bez bólu myśleć o jej utracie.

Mógłby to wytrzymać, gdyby wracała do swej rodziny. Ale utracić ją w ten sposób?

Uświadomił sobie, że żołnierze zmierzali powoli w jednym kierunku. Czyli wiedzieli, w którą stronę uciekł ten drapieżnik.

Uldolf był świetnym myśliwym. Znowu wyciągnął nóż z pochwy. Przeleje krew mordercy Lilii, czy będzie to człowiek, czy zwierz. A jeśli wróg okaże się za duży dla niego, sprowadzi tych zbrojnych i dopilnuje, by go wykończyli.

Ruszył szybko po łuku, by wyjść przed żołnierzy.

* * *

Idąc zygzakami, szybko znalazł trop. Na błotnistym brzegu strumienia przepelnionego

deszczową wodą zobaczył świeże ślady ludzkich stóp. Bosych, dużo mniejszych od jego stóp.

Ona żyje!

Pobiegł, brnąc przez błoto. Gałęzie uderzały go w twarz, mokra peleryna ciążyła na ramionach. Oddech palił go w gardle, a puste miejsce po ręce piekło prawie żywym ogniem. Gdy ślady skrzyły, przecinając strumień, poszedł za nimi przez sięgającą kolan lodowatą wodę.

Na drugim brzegu wszedł w las, gdzie tropy znikły w ciemności, krzewach i mchu.

Zapadła noc. Księżyc nie mógł przebić się przez gęste chmury. Las rozświetlały tylko błyskawice. Uldolf już nie wiedział, gdzie się znajduje. Pobiegł za Lilią, nie zwracając uwagi na kierunki. Strumień płynął przez las, wijąc się niczym wąż, miał też wiele odnóg i dopływów.

- Gdzie jesteś? - wyszeptał Uldolf w burzę. Zrobiło mu się bardzo zimno.

Oparł się o drzewo i wytarł twarz wierzchem dłoni. Nie mógł teraz wrócić do domu. Musiał przeczekać w lesie do rana.

Po niebie przemknęła błyskawica, grom wstrząsnął jego kośćmi. W jaskrawym świetle zobaczył między drzewami białą postać.

Może to złudzenie, może błyskawica go oślepiła? Grzmot wciąż odbijał się echem, gdy las znowu się rozświetlił.

- Lilia! - zawołał Uldolf.

Obróciła się w jego stronę. Była naga, przemoczone włosy zasłaniały twarz. Dyszała ciężko, a po jej piersiach spływały strużki krwi zmieszanej z deszczem.

Podniosła drżącą rękę. Uldolf zobaczył błysk sztyletu.

- Co ci się stało?

Zrobiła krok w jego stronę, zamierzając się ostrzem. Uldolf cofnął się o krok. Kolejny błysk pokazał mu jej szyję poznaczoną cięciami...

- Jesteś ranna!

Opuściła sztylet, wpatrując się w niego przez mokre strąki włosów.

- Uldolf?

Przy grozie całej tej sytuacji nawet nie zauważył, że użyła jego pełnego imienia.

Schował nóż i odgarnął włosy z jej twarzy.

- Co ci się stało? - powtórzył.

- P-przyszedłeś? Przyszedłeś za mną? - Mówiła cicho, chrapliwie, obcym głosem.

Pewnie ochrypla od płaczu, pomyślał. Uniósł jej podbródek, by obejrzeć rany. Na szyi miała umazaną krwią metalową obrożę z pierścieniami do mocowania łańcucha. Nigdy

wcześniej nie widział nic podobnego.

Zrozumiał, że sama pocięła sobie szyję. Zobaczył zadrapania na metalu. Spuścił wzrok na sztylet w jej dłoni. Nie był odpowiedni do tego rodzaju pracy. Miał długie, wąskie i obosieczne ostrze - nadawał się tylko do dźgania.

- Daj mi to. Prędzej odetniesz sobie głowę, niż ściągniesz tę obręcz.

- Ja...

Wziął z jej dłoni zakrwawioną broń.

Zrobiła krok do tyłu, potrząsnęła głową.

- To nie jest w porządku.

- Lilia? - Wyczuł coś dziwnego w jej zachowaniu i wyrazie twarzy. Mówiła dobrze, ale sprawiała wrażenie kogoś zupełnie innego. - Co nie jest w porządku?

Odwróciła się.

- Nie mogę.

Położył dłoń na jej ramieniu. Miała zimną i mokrą skórę, cała się trzęsła.

- Nie martw się, ściągnę z ciebie tę obręcz.

- Ja... ja... - Przez deszcz nie potrafił zrozumieć jej słów. Po chwili dziewczyna wtuliła twarz w jego pierś. Okrył ją peleryną.

- Nieważne, co się tam stało - powiedział - znalazłem cię. Tylko to się liczy.

Znowu na niego popatrzyła zagubionym spojrzeniem szeroko otwartych zielonych oczu.

- Przepraszam, Ulfie.

Za co przepraszala? Jej głos przestał już być obcy.

Pogłaskał ją po głowie.

- Wybaczam ci.

- Ulfie! - Objęła go ciasno.

* * *

Uldolf ruszył z nią wzdłuż strumienia do wąwozu. Zatrzymał się przy długiej półce skalnej wystającej na tyle, że mogła oboje osłonić przed deszczem. Z góry do wąwozu spadło kilka drzew, utworzyły stertę przy skale i zapewniały jako taką osłonę przed burzą.

Wczołgał się pod skalną półkę, by się upewnić, że to bezpieczne schronienie. Skala wydawała się stabilna. Podłoże stanowił suchy, czysty łupek podniesiony na tyle wysoko, że nie groziło zalanie. W środku dało się wyczuć zwietrzałą woń zwierzęcego legowiska, ale Uldolf nie usłyszał, by cokolwiek się tam ruszało. Wcześniejsi mieszkańcy wyprowadzili się dawno temu.

Wycofał się, wezwał Lilię gestem.

- Chodź, możemy tu przeczekać burzę.

Wczołgała się do jamy za nim, a on cofnął się jak najgłębiej, by zapewnić jej suche miejsce, w którym mogłaby usiąść. Nie sięgały tu błyski piorunów.

Na ślepo wymacała dłonią jego nogę. Przysunęła się i przytuliła do niego.

Dygotała, więc ją objął.

- Musimy tylko jakoś przetrzymać noc.

Przytuliła się mocniej i oparła policzek na jego piersi.

- Czemu przestałaś do mnie mówić? - zapytał.

- Ulfie?

- Przed chwilą mówiłaś prawie pełnymi zdaniami. Czemu teraz nie chcesz ze mną rozmawiać?

Poczuł, jak dziewczyna się cofa.

- Ty... ty mnie nie lubisz?

- Oczywiście, że cię lubię. Tylko czemu teraz masz problemy z mówieniem?

- T-trudno pamiętać.

Uldolf zbeształ się w duchu. Czemu jest tak surowy wobec niej? Wciąż dochodziła do siebie po ranie w głowę. Uderzenie musiało ją czegoś pozbawić, chociaż nie było to tak widoczne jak brak ręki. Nawet teraz wciąż musiał radzić sobie z frustracją powodowaną przez swe kalectwo, a przecież nie było już porównania z czasem, gdy wciąż świeża była jego pamięć o posiadaniu dwóch rąk. Ból utraty ręki był większy niż ból rany...

- Ulfie?

Troska w jej głosie uświadomiła mu, jak bardzo się spiął. Ciężko dyszał, jego serce waliło.

- Przepraszam. To nie twoja wina, że masz problemy z mówieniem.

- Ja... ja próbuję... - wyszeptała.

- Wiem, ale nie zmuszaj się z mojego powodu. - Potrząsnął głową. Oboje byli zbyt zmęczeni, zmarznięci i mokrzy, by w tej chwili zajmować się jej problemami językowymi. Otworzył swoją torbę z nadzieją, że hubka wciąż jest sucha.

Poczuł dłoń na swoim nadgarstku. Popatrzył na Lilię, ledwie ciemniejszy obrys w mroku.

- Ja... ja...

- Lilia, naprawdę wszystko w porządku...

- Ja też cię lubię.

* * *

W głębi jamy znalazł trochę suchego drewna. Wystarczy na małe ognisko. Martwił się trochę żołnierzami, ale byli daleko, szli przez nieznane sobie lasy, w czasie burzy. Może mieli więcej rozsądku od niego i zrezygnowali z poszukiwań w mroku.

Zanim zdołał rozniecić ogień, dziewczyna usnęła. Podsunęła pod siebie pelerynę i zwinęła się w kulkę na owczym runie. Nie chciał jej budzić, więc ściągnął koszulę, która zdążyła już podeschnąć, i przykrył nią dziewczynę.

- Zaczyna mi to wchodzić w nawyk - mruknął, drżąc z zimna.

Czuwał, wyglądając żołnierzy z obawą, że w każdej chwili mogą znaleźć ich kryjówkę. Gdy nie martwił się o Niemców, jego myśli zajmowała troska o rodzinę. Miał nadzieję, że ufali mu dostatecznie, by się nie martwić.

Burza jeszcze przybrała na sile, błyskało bez przerwy, grzmoty przetaczały się nieustannie. Deszcz padał tak intensywnie, że ktoś musiałby stanąć wprost przed ich kryjówką, by zobaczyć ognisko.

- Co ci się stało? - wyszeptał Uldolf cicho do Lilii.

Wyciągnął zza pasa odebrany dziewczynie sztylet. Niemiecki, miał wygrawerowane na klindze napisy. Rozpoznał litery, bo nie potrafił ich odczytać. Klinga lśniła inaczej niż stal. Zmarszczył brwi.

Srebro? To przecież nie broń, tylko ozdoba.

Zauważył kilka zadrapań i szczerb na klindze.

Tam w lesie leżało dwóch martwych żołnierzy...

Popatrzył na śpiącą Lilię. Spróbował sobie wyobrazić, jak kogoś krzywdzi, nawet w samoobronie. Nie potrafił.

Przyjrzał się poplamionej krwią metalowej obejmie, którą wciąż miała na szyi. Mimo wszystko nie było wątpliwości, że Niemcy ją schwytali. Pozbawili ją ubrania, zamierzali zgwałcić... albo zgwałcili. Może chcieli zabić?

W takim razie jak doszło do tego, że dwóch żołnierzy zginęło, a Lilia znalazła się w głębi lasu, próbując rozciąć obrożę ozdobnym sztyletem?

- Ten człowiek został rozszarpany przez jakieś dzikie zwierzę - mruknął Uldolf w stronę ognia. - Wilka, rysia lub niedźwiedzia. - Kiwnął głową i wsunął srebrną broń z powrotem za pas. - Pewnie kiedy zwierz zaatakował, chwyciłaś sztylet i uciekłaś.

Odsunął włosy z jej policzka i zauważył jeszcze jedną ranę, wąską kreskę rozcinającą cały jej policzek.

- Tata miał rację - wyszeptał. - To oni cię wcześniej skrzywdzili. Przepraszam, że tak późno cię znalazłem.

Wymamrotała coś przez sen, westchnęła i ciaśniej owinęła się jego koszulą.

- Śpij. - Cofnął rękę. - Kiedy zrobi się jaśniej, postaram się ściągnąć to z twojej szyi.

* * *

Uldolf śnił strzępami, pojedynczymi obrazami, oderwanymi od bardziej bolesnej całości. Każdy obraz - śmiejący się Radwen Seigson, uśmiechnięta matka, siostra Jagoda biegnąca przez sale twierdzy - każdy obrysowany był krwią i zanikał w ciemnej otchłani.

Nie potrafił przebić wzrokiem ciemności, ale czuł zapach krwi i ból rozrywanego ciała.

* * *

Obudził się z szaleńczo walącym sercem. Czarne macki snu gasły w głębi pamięci. Pod skalną półkę wciskało się światło poranka i Uldolf musiał kilka razy zamrugać, zanim uświadomił sobie, że spał.

Był zlany potem, jakby całą noc pracował na polu. Poczował, że Lilia się do niego przytula. Piersiami naciskała na jego brzuch, gołe udo przerzuciła przez jego nogę.

Całkiem się obudził.

- Proszę - wyszeptała - n-nie bój się.

Bolesne było słyszeć to z ust dziewczyny - kobiety - która została tak wykorzystana, tak poraniona, znalazła się tak blisko śmierci. Martwiła się o niego, choć to ona miała powody do strachu. Ludzie pragnący jej krzywdy byli jak najbardziej realni, znajdowali się w pobliżu.

Czego on miał się bać? Duchów? Wspomnień?

Pogłaskał ją po włosach i powiedział:

- To tylko złe sny. Nic więcej.

- Ty mieć... - Objęła go mocno, szukając właściwych słów. - Ty mieć dobre sny. Proszę.

- Postaram się.

Przytulała się do jego nagiego torsu i potrafił sobie wyobrazić przyjemniejsze sny. Zawstydział się, gdy jego ciało zaczęło się z tym zgadzać.

Czy ona wie, co robi?

Delikatnie pocałowała go w pierś i uznał, że jeśli nie wie, to całkiem dobrze się domyśla.

Co ona sobie myślała?

Co on powinien myśleć?

Przybył ją uratować, a nie zniewolić niczym żołdak zbierający wojenne łupy. Nawet jeśli

była chętna... gdyby przyjął to jako coś należnego, stałby się niewiele lepszy od Niemców, który ją skrzywdzili.

- Lilia, wstań.

Oderwała twarz od jego piersi i popatrzyła na niego. Uśmiechała się, lecz jej uśmiech powoli zgasł, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy.

- Ulfie?

Położył rękę na jej nagim ramieniu i usiadł, zmuszając ją, by zrobiła to samo. Podniósł swą koszulę leżącą przy wypalonym ognisku. Wyciągnął ją do niej.

Przez chwilę patrzyła na niego, całkiem naga w świetle dnia, tym razem nieukryta pod nieczystościami, krwią lub w mroku. Była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział. Od samego patrzenia mogło rozboleć serce.

Odetchnął z ulgą, gdy włożyła jego koszulę.

Przechyliła głowę, jednak ten ruch sprawił, że się skrzywiła i sięgnęła do obręczy na szyi.

- Możesz mi teraz powiedzieć, co ci się stało?

- Ulfie?

- Spróbuj. Chcę ci pomóc.

- Nie. - Potrząsnęła głową.

- Nie?

Popatrzyła na niego bardzo poważnie i powiedziała wyraźnie:

- Lepiej nie pamiętać.

Odniosł wrażenie, że nie chodziło jej tylko o zeszłą noc. Wiedział coś o złych wspomnieniach. Nawet po ośmiu latach wciąż nie potrafił...

Z głębi jego umysłu przedarło się wspomnienie. Zadrzał.

- Ulfie? - Wyciągnęła rękę do jego twarzy. - Nie płacz.

Uldolf zamrugał i groza zapadła z powrotem w mroczne miejsce, z którego tylko co wypłynęła, niewidoczna i zapomniana.

- Nie płaczę.

- Ulfie?

- Nic mi nie jest. - Z wysiłkiem opanował nierówny oddech. - Obejrzę tę obręcz.

Zdjął jej dłonie z obroży. Na szczęście wszystkie cięcia wyglądały na bardzo powierzchowne. Matka z pewnością wydałaby bardziej fachową opinię, ale widział, że żadne nie krwawi ani nie ropieje, i uznał, że to dobry znak.

Uważnie zbadał obręcz palcami i znalazł zamknięcie. Do otwarcia potrzebny był klucz. Choć nie wiadomo, czy klucz by coś poradził - Lilia zdołała uszkodzić zamek. Ta część

obroży była najbardziej porysowana sztyletem.

Z tyłu pod włosami Lili znalazł zawias. Obie części obroży obracały się wokół grubego bolca zatkniętego w dwie małe zapinki - jedna u góry, druga u dołu - które zgięto i rozklepano.

Gdyby obręcz była żelazna, nie miałby szans na ściągnięcie jej, jednak teraz, w świetle dziennym zobaczył, że podobnie jak sztylet wykonano ją ze srebra.

Czemu?

Nagle zrewidował swoje wyobrażenia dotyczące tego, skąd pochodziła dziewczyna. Taka urodziwa... mogła być czyjaś niewolnicą. Nie wszystkie niewolnice ciężko pracowały, a jeśli właściciel trzymał ją dla przyjemności, chciał, by jej więzy były piękne i kosztowne.

Lilia wcale nie musiała się zgubić. Mogła uciec z domu - domu, do którego Uldolf zamierzał z powrotem ją zaprowadzić.

Czy dlatego nie chciała rozmawiać o przeszłości?

- Przysięgam, że nigdy nie oddam cię nikomu, kto mógłby cię skrzywdzić. - Sięgnął po swój myśliwski nóż. - A teraz się nie ruszaj. Nie chcę cię bardziej skaleczyć.

Zaczął pracować nad zawiasem.

INTERLUDIUM

Anno Domini 1231

Komtur krajowy Erhard von Stendal miał doświadczenie w subtelnych technikach prowadzenia wojny. Semyon potrafił zaszczyć w potwornych dzieciach szacunek dla chrześcijańskich panów, ale to Erhard nauczył Lilię, jak walczyć.

Miała mózg ośmiolatki, lecz nawet ośmioletnie dziecko może pojąć podstawy strategii. Wilczy miot nie był niezniszczalny, jednak Erhard szkoleniem wbił w głowy swoich podwładnych proste zasady, które miały zwiększyć ich przewagę nad pogańskimi przeciwnikami.

Podstawę stanowiły trzy. Pierwszą było zaskoczenie: uderzać szybko i bez ostrzeżenia w miejscu i czasie, kiedy wróg niczego się nie spodziewa. Drugą był wybór odpowiedniego miejsca - powinna wybierać do walki ciasne pomieszczenia i atakować w ciemności. Trzecią była liczebność. Miała walczyć z najwyżej trzema przeciwnikami równocześnie.

Lilia była pierwszą uczennicą i Erhard nie był nią rozczarowany.

Dobrze się uczyła, a komtur dobrze ją wykorzystywał. Pierwszego roku wprowadzał ją do obozu wroga, a ona mordowała wszystkich, których tam zastała. Choć traktował ją nieufnie, nigdy nie zrobiła nic sprzecznego z jego poleceniami. Bardzo uważał, by ściągać jej kajdany, tylko gdy był jedynym chrześcijaninem narażonym na bezpośrednie niebezpieczeństwo, lecz nigdy nie próbowała uciekać ani go atakować. Okazywała niesamowite oddanie.

W ostatnim miesiącu tamtego lata kazał jej dostać się do wioski tuż przed nadejściem armii zakonu. Weszła za palisadę razem z uciekającymi przed wojskiem wieśniakami. To był bardzo ważny test. Miała pozostawać bez kontaktu przez kilka dni, czekając na sygnał rogu, który rozbrzmiał prawie tydzień po rozpoczęciu oblężenia.

Test był bardzo udany. Jednej nocy większość zbrojnych obrońców zginęła lub próbowała uciec, a zakonnicy nie stracili ani jednego żołnierza. Gdy zdobyli wioskę, Lilia czekała w stajni przy centralnej fortecy, siedząc przy na wpół zjedzonej tuszy wołu.

- Czy sprawiłam ci przyjemność? - zapytała go.

Nie były to słowa, których użyłby Erhard.

Następnego lata Erhard użył jej przeciwko wiosce Mejdân mającej hardego naczelnika

Radwena Seigsona.

* * *

W środku lata roku 1231 Erhard wyruszył na granicę przy Mejdanie, dwa tygodnie przed wojskami zakonu. Nie był ubrany jak rycerz, a jego koń i wóz były stosowne dla kupca, nie wojownika. Towarzyszyli mu dwaj mężczyźni, ale żaden kupiec nie próbowałby samotnie przewozić towarów przez pruską granicę. Mająca około dziesięciu lat dziewczynka wyglądała na pruską niewolnicę w prostych kajdanach pomalowanych na czarno, by ukryć cenny metal, z których je zrobiono. Przejechali przez lasy bez żadnych przygód. Raz pomniejszy pruski wódz zażądał daniny w bursztynie, na co Erhard zareagował jak każdy kupiec, płacąc mu za bezpieczeństwo. Dzięki temu grupa podróżnych została w pamięci Prusów nie dłużej niż ich ostatni posiłek.

Kilka kilometrów przed Mejdaniem Erhard kazał Lili z zejść z wozu. Poleciał swoim ludziom czekać, po czym zaprowadził ją w las. Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości od swoich ludzi, zdjął Lili kajdany. Dziewczynka potarła nadgarstki, ale poza tym się nie ruszyła, obserwowała go tylko.

- Rozumiesz, co masz zrobić? - zapytał.

- Mam czekać w ukryciu, aż usłyszę twoje wezwanie.

- A gdy zabrmi mój róg?

- Gdy usłyszę trzy długie i dwa krótkie sygnały z rogu, wejdę do wioski. Przez bramę, jeśli zdołam wmieszać się w tłum, albo wspinając się w nocy na palisadę.

- A potem?

- Kiedy znowu usłyszę sygnał, pójdę do dużego domu na wzgórzu. - Popatrzyła na niego z uśmiechem. - Wszyscy zgina, panie.

* * *

Uldolf stanął w drzwiach sypialni.

- Mamo, tato!

Drżał z chłodu, stojąc bosymi stopami na drewnianej podłodze. Tata wymamrotał jakieś przekleństwo. Mama usiadła na łóżku i wyciągnęła ręce. Podbiegł, objął ją ciasno rękami.

- Co się stało, synu?

- Potrzeba mu więcej odwagi - burknął tata z drugiej strony łóżka - i trochę rozsądku.

- Cicho bądź - rzuciła mama.

- Znowu słyszałem, jak śpiewa - powiedział mamie Uldolf.

Tata prychnął.

- Radwen! - skarciła go mama. Wstała, biorąc Uldolfa za rękę. - Wybacz tacie. Ma dużo zmartwień.

- I nie należą do nich wymyślone małe dziewczynki - warknął spod przykrycia tata.

Mama trzymała Uldolfa za rękę przez całą drogę z powrotem do jego pokoju.

- Co śpiewała?

- Nigdy tego jeszcze nie słyszałem. To było ładne i smutne.

Mama otworzyła okiennice. Pokój Uldolfa znajdował się od wschodu twierdzy, pod jego oknem nie było żadnych dróg ani domów, jedynie niewielka łąka, za którą wznosiła się wewnętrzna palisada z potężnych belek pomalowanych w węzowy wzór widoczny nawet w świetle księżyca. Za palisadą ziemia opadała przez kilkaset metrów aż do zewnętrznych obwałowań Mejdânu - znacznie solidniejszych, z belek wielkości drzew.

- Nikogo tu nie widzę, Uldolfie.

- Ale ja ją słyszałem. - Chłopiec usiadł na łóżku.

- Nie wątpię, synu. - Położyła go i okryła. - Ale w pogodne noce dźwięk biegnie bardzo daleko. Nie musiała być blisko ciebie.

- Miała taki smutny głos. Pewnie jest samotna.

- Musisz spać, Uldolfie. - Mama pocałowała go w czoło, wstała i obróciła się do okna.

- Mamo, zostaw otwarte okiennice.

Zmarszczyła brwi, po czym wyjrzała na zewnątrz.

- Chyba jest na to dość ciepło. - Zmierzwiła mu włosy. - A teraz śpij. Nie przeszkadzaj już więcej tacie.

Zostawiła go samego, zamykając drzwi i odcinając światło z korytarza. Przez okno zaglądał księżyc, wpadał zapach koni, ognisk i wychodków.

Wkrótce pośród szczekania psów i stuku butów wartowników wędrujących wzdłuż palisady, Uldolf znowu usłyszał jej głos. Cichy i smutny. Wiedział, że jest gdzieś blisko, choć mama w to nie wierzyła.

Nie bój się płaszcza złej nocy,

gdy słońce ukryje się hen,

matka ochroni swe dzieci,

- Gdy przyśni się straszny ci sen... - Uldolf wyszeptał w mrok.

SEKSTA

Anno Domini 1239

Quia os peccatoris et os dolosi super me apertum est:
locuti sunt adversum me lingua dolosa.

Bo rozwarli na mnie usta niecne i podstępne.
Mówili ze mną językiem kłamliwym.

Psalm 109:2

XVI

Komtur krajowy Erhard von Stendal został sam przy ciałach, które żołnierze przynieśli z lasu. Złożono je w kaplicy zamku Johannsburg, na dwóch długich stołach blisko ołtarza. Zabici nie byli braćmi zakonnymi, lecz Erhard polecił kapłanowi odprawić dla obu pełną mszę za zmarłych i rozkazał swoim towarzyszom rycerzom odmówić tradycyjną setkę Pater Noster, zazwyczaj zarezerwowaną dla poległych braci.

Nie znał długo Karła Lindberga i jego giermka. Lindberg był typowym przykładem drobnego szlachcica, który postanowił przez kilka miesięcy służyć Bogu w zamian za odpust i łaskę Kościoła.

Erhard odmówił modlitwy przy ciałach. Stał w cieniu prostego krzyża, próbując dojść do ładu z ogarniającym go równocześnie poczuciem winy i cynizmem.

Nie miał prawa kwestionować czyjejs służby Bogu, niezależnie od tego, jak ktoś do niej trafił. Takie sądy zarezerwowane były dla Pana. Mimo wszystko, biorąc pod uwagę to, co wiedział o Karlu Lindbergu, nie określiłby jego służby jako radosnej albo bez zastrzeżeń.

A sposób, w jaki zginął, nie świadczył dobrze o jego charakterze.

Ciała okryto całunami, ale Erhard widział rany. Nie wyglądały mu na dzieło Lili. Wilczy miot zabijał kłami i szponami, odrywając ciało ofiar od kości. Giermek Karła miał tylko ciemny siniak wokół szyi, a na zmasakrowanej twarzy Lindberga zostały ślady ludzkich zębów. Męskość odcięto mu ostrym narzędziem - prawdopodobnie jego własnym sztyletem.

Atak był bardzo brutalny, ale wykonany przez człowieka. A to oznaczało, że Karl prawdopodobnie nie zginął z ręki Lili.

Tylko dlaczego brakuje srebrnej obroży?

A jeśli jednak to Lilia?

Zabiła ludzi Güntera, ale to było bezprecedensowe. Nigdy wcześniej żadne z wilczego miotu - ani Lilia, ani trójka jej rodzeństwa - nie tknęło żadnego chrześcijanina. Tamte trzy potwory od lat nie żyły, ale wszystkie zginęły w służbie Bogu. Nic, absolutnie nic nie mogło sprawić, by Erhard podejrzewał, że Lilia zwróci się przeciwko swoim panom.

Mógł więc się zwolnić z winy za śmierć ludzi Güntera w twierdzy.

Śmierć tych dwóch obciążała jego sumienie. Dostał wyraźne rozkazy: Lilię należało zabić. Czy to jego moralna słabość sprawiła, że kazał sprowadzić tu Lilię na przesłuchanie?

Musiał z nią porozmawiać, ale czy jego pytania były dość ważne, by zapłacić za nie życiem tych ludzi?

Odmówił już pacierze, wstał i podniósł z ławy poszarpaną wieśniaczą bluzę. Przęd został rozcięty, a krew, która go spryskała, niedwuznacznie świadczyła o niecznych zamiarach Karla Lindberga.

Lilia nie mogła uciec. Nie знаła innego szczęścia, jak tylko zadowolić swego pana.

- Czy ona może wciąż być tutaj? Czy mogła oszaleć? - wyszeptał Erhard von Stendal.

Odrzucił tę myśl. Nie tylko dlatego, że umysł miała równie odporny jak ciało, ale i jej działania nie pasowały do czynów szaleńca. Nie zaczęła krwawej krucjaty przeciw wszystkim. Wiele czasu planowała swoją ucieczkę. Wyprowadziła w pole strażników i gdzieś się ukryła.

Pamiętał, jak mówił jej, że pomimo nadludzkiej sprawności jej najpotężniejszą bronią wciąż pozostaje zaskoczenie.

Dobrze opanowała tę lekcję.

Widział, co potrafi osiągnąć, gdy mogła pofolgować żądzy krwi. Sierżant Günter sądził, że widział masakrę, ale się mylił. Osiem lat temu, w osadzie rządzonej przez pomniejszego pruskiego wodza, która nazywała się Mejdân - to była prawdziwa masakra. Na wioskę i warownię zstąpił gniew samego Boga. Gdy ogień wygasł i zakon przejął władzę nad tą ziemią, naliczyli ponad pięćdziesiąt ofiar, jednak ponieważ twierdza spłonęła, na pewno nie znaleźli wszystkich.

Masakra przyniosła oczekiwane skutki i ocalali z niej prawie co do jednego przyjęli chrzest. Teraz pozostali przy życiu mieszkańcy Johannisburga rzadko rozmawiali o upadku twierdzy, a wtedy ścisiali głos pełni przesądnego strachu. Jakby nazwanie diabła po imieniu mogło go przywołać.

Nie mieli pojęcia, że przywiózł im go z powrotem.

Może dlatego? Może ktoś tutaj wymówił jej imię?

Roześmiałby się w głos, gdyby nie był tak przygnębiony. Lilia nie mogła zapomnieć siedemnastu lat szkolenia, odrzucić woli swojego pana.

Jednak skoro tak starannie przygotowała ucieczkę, czemu została w pobliżu Johannisburga? Do tej pory jej rany się zagoiły. Powinna być gdzieś daleko...

Jednak czemu Karl użył obroży?

To sugerowało, że rzeczywiście zrobiła to Lilia. A z tego wynikało, że coś ją tu trzyma.

* * *

Gdy Erhard opuścił kaplicę, przed drzwiami zobaczył rycerza. Słońce już zaszło i dziedziniec pogrążony był w głębokim cieniu.

- Czekaleś na mnie, bracie?

- Niezbyt długo. Gdy się modliłeś, przybył goniec z listem.

Komtur wziął rulon i cofnął się do drzwi, gdzie sięgało światło z latarni płonących w kaplicy. Usłyszał dzwon wzywający na kompletę.

Złamał pieczęć z mitrą biskupa.

Przeczytał wiadomość kilka razy, opuścił pergamin i długo wpatrywał się w krzyż.

- Musimy się przygotować na przybycie gościa, bracie.

- Kto nas odwiedzi?

- Osobisty przedstawiciel papieża, biskup Cecilio.

XVII

- Czy to dobry pomysł, synu? - Ojciec Uldolfa stał przy drzwiach.

Lilia siekała warzywa, nucąc pod nosem. Jej włosy lśniły czernią po ponownym farbowaniu. Cięcia na twarzy i szyi się zagoiły.

- Musimy się dowiedzieć, czemu szukają Lili. - Uldolf mówił cicho, bo nie było już wątpliwości, że Lilia rozumie. - Dzięki jej pomocy przyspieszyliśmy prace. Jedno pole jest już całkiem obsiane. Oranie już skończyłeś, więc możesz konia zaprząć do brony. Puść mnie na kilka dni.

- Przyspieszyliśmy? Straciliśmy dwa dni przez to, że za nią pobiegłeś.

- Wiem.

- Nie twierdzę, że to twoja wina, synu - zastrzegł Gedim. - Ani nawet jej. Po prostu to nie jest dobry moment.

- Niemcy tu wrócą.

- Jesteś pewien, że oni... - Gedim zerknął na Lilię. Jeśli dziewczyna słyszała ich rozmowę, w żaden sposób tego nie okazywała.

Uldolf potrząsnął głową. Nie powinni o tym rozmawiać w jej obecności. Zwrócił uwagę na coś innego.

- Muszą krążyć jakieś plotki. Choćby ślad informacji o tym, skąd się wzięła, czemu tak gorliwie jej szukają.

- Masz rację. Po prostu wolałbym, żeby sama nam powiedziała, skąd pochodzi.

Uldolf pomyślał, że Gedim zaczyna podejrzewać to samo co on. Że Lilia uciekła przed czymś zbyt bolesnym, by wracać do tego pamięcią.

- Dowiem się.

- Może ja powinienem iść - rzekł Gedim.

- Nie! - szepnął Uldolf tak głośno, że Lilia przestała siekać warzywa.

Gedim zmrużył oczy.

- Nie - powtórzył Uldolf, ścisząc głos. - Lepiej będzie, jeśli to ja pójdę. W ten sposób gospodarstwo traci tylko jedną rękę, nie dwie. Zresztą gospodarz powinien być na miejscu, gdy wrócą tu żołnierze.

Jego ojciec zmarszczył czoło.

- Chyba...

Uldolf zrozumiał, że ojciec podejrzewa go o ukryte motywy, i miał nadzieję, że nie zacznie wypytywać. Powiedział rodzicom o żołnierzach, o ataku zwierzęcia, dzięki któremu Lilia mogła uciec. Jednak nie zdradził wszystkiego, przemilczał informacje o sztylcie i srebrnej obroży.

Zrobił tak, ponieważ wiedział, że rodzice uznaliby próbę ich sprzedaży za zbyt niebezpieczną. Owszem, chciał się dowiedzieć, skąd pochodzi Lilia, ale jeśli torba zrobiona ze starych juków zapewniała im utrzymanie przez tydzień, srebro z tych dwóch przedmiotów mogło wyżywić ich przez całą zimę. Istniały targi odwiedzane tylko przez Prusów i Uldolf był pewien, że zdoła tam sprzedać sztylet i obrożę. Niemcy nic nie będą wiedzieć.

Jeśli przyniesie do domu pieniądze, rodzina przez jakiś czas poradzi sobie bez niego. A to będzie ważne, gdy Lilię będzie musiał zaprowadzić gdzieś daleko - albo do jej domu, albo, jeśli potwierdzą się jego podejrzenia, jak najdalej od niego.

Nie mogli jej zatrzymać w gospodarstwie, skoro nieustannie szukali jej żołnierze. Gdziekolwiek będzie trzeba ją zaprowadzić, Uldolf będzie musiał to zrobić, i to wkrótce.

* * *

Następnego ranka wyruszył w drogę do Johannsburga. Żwawym krokiem powinien dotrzeć tam wkrótce po południu. Oprócz srebrnej obroży i sztyletu niósł w worku zajęcze i królicze skóry, które powinny wystarczyć na opłacenie wejścia i utrzymania. Chętnie wzięłyby ze sobą skórę łosia, ale na pewno strażnicy przy bramie by pytali, skąd ją ma.

Ledwie wyszedł z domu na drogę, gdy usłyszał wołanie:

- Ulfie!

Westchnął i się odwrócił.

Podbiegła i objęła go, prawie wywracając na ziemię. Poklepał ją delikatnie po plecach.

- Niedługo wrócę. Idę do miasta.

- Zostań - powiedziała w jego pierś.

- Muszę iść. - Poglaskał ją po włosach.

- Ja... ja... - Zmarszczyła brwi, jej wargi drżały. - Zostań!

- Wrócę za kilka dni. - Dotknął jej policzka. - Nie chcesz, żebyśmy dowiedzieli się, kim jesteś, gdzie jest twoja rodzina?

- Nie. - Potrząsnęła głową.

Uldolf zrobił krok w tył, uwalniając się z jej objęć.

- Wrócę. Obiecuję.

Chciał ruszyć w drogę, ale Lilia chwyciła go za ramię i zatrzymała.

Popatrzył jej w oczy. Jej spojrzenie było smutne, pytające. Odsunął z jej policzka pasmo zafarbowanych na czarno włosów. Nie porzucam cię, pomyślał. Nieważne, jakie demony nawiedzają twoją przeszłość, kim naprawdę jesteś, ja cię nie porzucę.

- Lilia? - wyszeptał. - Ja...

Nie dokończył. Dziewczyna go pocałowała. Zwarli się wargami i językami. Oderwała się od niego natychmiast, jednak zostawiła po sobie gorąco, które wypaliło sobie drogę do głębi jego ciała.

Zerknął w stronę domu i zobaczył, że rodzice na nich patrzą.

- Wróć! - Lilia chwyciła go za koszulę i pięścią uderzyła w tors. - Wróć - powtórzyła. - Chcę, żebyś wrócił.

Łagodnie uwolnił swoją koszulę.

- Powiedziałem, że wrócę. Czemu miałbym nie wracać?

Zrobiła krok do tyłu i potrząsnęła głową.

- Lepiej nie pamiętać.

Westchnął i postanowił zignorować obserwujących go rodziców. Nachylił się i pocałował dziewczynę. Cofając się, zobaczył, jak Lilia szerzej otwiera oczy w zaskoczeniu, i poczuł satysfakcję, że udało mu się ją zaskoczyć, tak jak ona zaskoczyła jego.

- Nie obchodzi mnie twoja przeszłość - wyszeptał. - Obchodzisz mnie tylko ty.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie chcę znowu cię stracić - wyszeptała w jego pierś.

Dlaczego powiedziała „znowu”? A może źle usłyszał?

Potrzebował chwili, by się uwolnić.

- Muszę iść. Nie sprawiaj moim rodzicom żadnych kłopotów - poprosił. - I bądź miła dla Hildy.

Wyglądała na tak przygnębioną, że Uldolfa ścisnęło serce.

- Lilia, proszę, nie uciekaj ponownie.

Popatrzyła na niego.

- Proszę. Obiecasz?

Kiwnęła głową.

- Ja... obiecuję.

* * *

Dzień był ciepły - piąty słoneczny od dnia burzy - ale na środku drogi wciąż znajdowała

się półpłynna masa błota i nawozu. Jak na szlak prowadzący tylko do miejscowych gospodarstw i kilku dobrych miejsc na polowania, zdecydowanie więcej niż zwykle było śladów końskich kopyt.

Czy to mogło mieć związek z Lilią? Niemożliwe. Żołnierze mówili o czarach i zabójstwach. W lasach nieobjętych ochroną zamku Johannisburg kryło się mnóstwo zabójców i czarownic. Chrześcijanie tak nazywali ludzi praktykujących starą religię.

Nikt z nich dotąd nie wywołał takiego zamieszania.

W pobliżu Johannisburga droga robiła się bardziej wydeptana i błotnista. Musiał iść pośród drzew, by zachować buty na nogach.

„Czy wasze gospodarstwo było ostatnio nękanie przez dziwne bestie, chłopcze? - zapytał rycerz Gregor. Czy jacyś ludzie zginęli? Albo zostali ranieni? Straciliście jakieś zwierzę?”.

Dziwne bestie? Jak ta, która zabiła łosia?

Uldolf szedł, czujnie rozglądając się po lesie. Jeden z żołnierzy, którzy skrzywdzili Lilię, został przez jakieś straszne zwierzę brutalnie zaatakowany.

Myślał o takim potworze z pazurami, zębami, gorącym i cuchnącym oddechem...

Potknął się na drodze, czując walenie serca. Pamiętał...

* * *

- Z drogi, durniu!

Uldolf odwrócił się i zobaczył zbliżających się jeźdźców.

- Miejsce dla przedstawiciela Jego Świątobliwości!

Konie zajmowały całą szerokość drogi i pędziły galopem. Aby uniknąć stratowania, Uldolf musiał uskoczyć między drzewa, mimo to został spryskany błotem głównej drogi do Johannisburga.

Głównej drogi?!

Rzeczywiście, był na głównej drodze, choć nie pamiętał, jak się tu dostał. Popatrzył na słońce. Zbliżało się południe.

W jego uszach zabrzmiały znowu słowa Lili: „Lepiej nie pamiętać”.

- Nie pamiętam! - krzyknął za oddalającymi się jeźdźcami. - Nie pamiętam i wcale nie chcę pamiętać!

Potał okaleczone ramię. Czemu właśnie teraz wspomnienia znów zaczęły go dręczyć? Nie był już dzieckiem cierpiącym na gorączkowe koszmary. Minęło osiem lat.

Sądził, że odgrodził się od przeszłości. A teraz nagle wszystko wróciło. Chwile, gdy musiał przerwać pracę i złapać oddech, zdarzały mu się co dzień.

A dzisiaj kilka godzin mu gdzieś uciekło. Nic takiego nie zdarzyło mu się od czasu...

Proszę, nie chcę tego pamiętać, zwrócił się do demona strzegącego bramy do jego przeszłości.

Musiał pomyśleć o czymś innym, o czymkolwiek.

I pomyślał o Lili.

Pomyślał o jej ramionach, o pocałunku. Dobre wspomnienie pomogło odepchnąć to złe. Pozwolił sobie na chwilę marzeń, że dziewczyna wyzdrowieje, a on ją gdzieś zabierze daleko. Gdzieś, gdzie obojgu przeszłość nie będzie zagrażać.

Stał końskie łajno z twarzy i ruszył w dalszą drogę.

* * *

Doszedł do podgrodzia. Za murem był gwarny Johannsburg, drewniane domy stały ciasno przy wąskich, błotnistych uliczkach. Nad nimi wznosiło się wzgórze, na którym twierdza Johannsburg przysiadła niczym wielka szara ropucha. Powietrze było gęste od zapachów wielkiej liczby ludzi i zwierząt żyjących na zbyt małej przestrzeni.

Ze stanowiska przy bramie podszedł do niego znudzony wartownik.

- Witaj, dobry człowieku. Wchodzisz do chrześcijańskiego miasta Johannsburg. W imieniu Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie muszę zapytać o twoje imię, skąd przybywasz i o cel twojego przybycia.

Uldolf rozpoznał wartownika.

- Lankut?

Strażnik obejrzał Uldolfa od stóp do głów i wybuchnął śmiechem.

- Nie rozpoznałem cię w tym zabłoconym ubraniu.

- Mogę za to podziękować osobistemu przedstawicielowi Jego Świątobliwości, który chwilę temu przegalopował drogą.

- Biskup? - prychnął Lankut. - Niech mi Bóg wybaczy, ale uważałem rycerzy zakonu za aroganckich buców... a potem poznałem biskupa. Jego zdaniem wszyscy Prusowie w tajemnicy wyznają szatana, gwałcą zwierzęta albo szczają mu do piwa...

- Co on tu robi?

- Kto wie? A co tu robi setka zbrojnych, których ściągnęli do zamku? Nie nasza sprawa. Co w domu?

Uldolf opowiedział Lankutowi o życiu w gospodarstwie - pomijając wszystko, co dotyczyło Lili - a od Lankuta usłyszał, że liczna grupa Niemców przybyła do Johannsburga. Niemców, do których właśnie dołączył włoski biskup i jego świta. Rycerze szukali

rudowłosej siedemnastoletniej dziewczyny o zielonych oczach, wiedźmy i morderczyni. A przed trzema tygodniami na zamku zginęło czternastu ludzi.

Co do tego, jak zginęli, krążyły tylko plotki. Mówiło się o demonach, dzikich bestiach. Choć zakon oświadczył, że wiedźma, na którą polują, przywołała bestię, Lankut był Prusem w dostatecznym stopniu, by sceptycznie traktować każdą wzmiankę o czarach. Kapłani i kapłanki starych religii na tych ziemiach nie przywoływali na swoje usługi pomiotu szatana. Gdyby tak było, miasto pewnie wciąż nazywałoby się Mejdân.

- To którą teorię uważasz za prawdopodobną? - Uldolf miał nadzieję, że będzie to któraś z mniej niepokojących od tej z wiedźmami i potworami. Jego nadzieja okazała się płonna.

- Tylko jedna ma sens. Boją się wybuchu powstania - odpowiedział Lankut. - Połowa Prus na wschód od Bałgi wciąż jest rządzona przez plemiona, które z chęcią odepchnęłyby chrześcijan z powrotem do Kulmerlandu. Po ośmiu latach kontratak jest nieunikniony.

- Mówisz to prawie tak, jakbyś cieszył się na taką możliwość, Lankut. Nie jesteś chrześcijaninem? - zapytał Uldolf ściszonego głosem.

- Służę memu panu Jezusowi Chrystusowi, nie Niemcom. Chrześcijańskie Prusy nie potrzebują zagranicznej sekty uzbrojonych mnichów.

Uldolf potrząsnął głową.

- A co z tą kobietą?

- Co najbardziej zagraża władzy zakonników? Że plemiona zamieszkujące Prusy przestaną walczyć między sobą i zjednoczą się przeciw nim. Jak byś do tego doprowadził?

- Ja nie...

- Przez małżeństwo, durniu. - Lankut klepnął Uldolfa w ramię. - Łączysz odpowiednie rodziny i zamiast stawać naprzeciw dwudziestu klanów, Niemcy mają przed sobą cztery, trzy lub dwa...

- Myślisz, że jest czyjąś narzeczoną?

- A czemu inaczej mieliby tak gorliwie na nią polować, gdyby nie stanowiła politycznego zagrożenia?

Uldolf kiwnął głową. Argumentom Lankuta trudno było odmówić racji.

- To ma sens, choć nigdy wcześniej o niczym takim nie słyszałem.

- Oczywiście. - Lankut się uśmiechnął. - Jestem pewien, że nie słyszałeś.

Uldolf zmarszczył czoło.

- Co chcesz powiedzieć?

- Nic ważnego. Wciąż nie podałeś, w jakim celu przybyłeś do Johannisburga.

- Przyszedłem sprzedać trochę skór, może też zostać noc lub dwie.

- Oczywiście. - Lankut wciąż się uśmiechał.

Przez chwilę milczeli.

- Nie zamierzasz pobrać ode mnie daniny dla zakonu? - zapytał w końcu Uldolf.

- Między nami mówiąc - odpowiedział Lankut przyciszonym głosem - w tej chwili zakonowi wcale nie trzeba twoich danin. Wejź, synu Radwena. - Gestem zaprosił go do środka.

- Co próbujesz powiedzieć?

- Już mówiłem, nic ważnego.

- Nie możesz myśleć... Bardzo się mylisz!

- Oczywiście, Uldolfie. Wszystko, co ci powiedziałem, to wyłącznie domysły. Zakon nie uważa przecież za stosowne informować nas, biednych niewiernych Prusów, co się dzieje. - Lankut nachylił się do niego. - Na końcu trzeciej ulicy po prawej jest gospoda prowadzona przez staruszkę, który nie ma powodu kochać Niemców.

- Dziękuję.

- Proszę tylko, byś pamiętał tych, którzy traktowali cię sprawiedliwie.

Uldolf wszedł do Johannisburga, ciasniej owijając się obryzganą błotem peleryną, by ukryć brak ręki. Modlił się, by nikomu więcej niż Lankutowi nie przyszło do głowy, że okaleczony syn ostatniego wodza Mejdânu stanie na czele pruskiego buntu.

XVIII

Erhard omawiał z braćmi rycerzami trwające poszukiwania, gdy sala rozbrzmiała echem ciężkich kroków.

- Bracie Erhardzie!

Co za arogancja! Komtur cicho odesłał braci i zwrócił się w stronę przybysza. Uległ małostkowemu impulsowi - wstał i czekał, aż korpulentny kapłan przejdzie całą drogę do niego. Dopiero wtedy pokłonił się w stosowny sposób.

- Witamy w Johannisburgu, Wasza Eminencjo.

- Jakie dzieła szatana się tu odbywają?

- Lilia uciekła.

Biskup otwierał i zamykał usta - wyglądał niczym wyciągnięta z wody ryba.

- Lilia? - zapytał wreszcie.

- Tak ma na imię.

- Nadałeś temu imię? - Biskup potrząsnął głową. - I to chrześcijańskie?

Imion nie nadał im Erhard, ale nie miało teraz sensu tłumaczyć zamiłowania brata Semyona do roślinnych nazw.

- Nie jestem pewien - mówił dalej biskup - czy świadomie sprzeciwiasz się w tej sprawie woli Boga, ignorujesz polecenia, czy po prostu jesteś niekompetentny

- Chciałbym przypomnieć, Wasza Eminencjo, że jest to dom zakonu, a nie biskupstwo.

Biskup wyciągnął z obszernych szat złożony pergamin i wałnął nim w pierś komtura.

- Uważaj na swoje słowa, bracie Erhardzie! Nie tylko mnie poruszyła panująca tu sytuacja.

Erhard wziął pergamin i zobaczył, że został zamknięty pieczęcią wielkiego mistrza. Domyślał się, co zaraz przeczyta, ale nie chciał w to uwierzyć. Złamał pieczęć i przeczytał krótki list.

Johannisburg, przynajmniej tymczasowo, został oddany we władanie biskupa Cecilio.

Przecież ten człowiek nawet nie mówi po prusku, pomyślał Erhard. Nawet z niemieckim radzi sobie bardzo słabo...

Wiedział, pod jaką presją był wielki mistrz Konrad, ale gdy patroni zakonu krzyżackiego - papież i cesarz - znowu rzucili się sobie do gardeł, chyba mógł negocjować. Dlaczego

spełniał życzenia papieża w sprawie, która mogła tak bardzo zaszkodzić zakonowi?

- Rozumiemy się? - zapytał biskup.

Czy wysłannik papieża musi być taki wstrętny?

- Tak, Wasza Eminencjo.

- Dobrze. W takim razie oświeć mnie co do niegodziwości, jakie odziedziczyłem po tobie.

* * *

Biskup Cecilio słuchał raportu Erharda, nieustannie poruszając tłustymi, lśniąco od klejnotów palcami, gładząc nimi futro, którym obszyto jego szaty. Gdy komtur zakończył relację z wydarzeń w Johannisburgu, biskup kiwnął głową.

- Bracie Erhardzie, widzę, że zadajesz właściwe pytania. Jednakże wciąż jesteś zbyt blisko tych zdarzeń, by jasno je oceniać. Nie możesz zrozumieć wydarzeń, bo widzisz w tym potworze wytresowane zwierzę.

- Gdzie znajdujesz błąd w moim rozumowaniu?

- Wciąż zastanawiasz się, czemu chciała uciec z Johannisburga. A potem rozważasz, czemu została w okolicach miasta. Wydaje się prawdopodobne, by oba powody były ze sobą związane, jeśli nie tożsame.

- A ty, panie, rozwiązałeś tę sprzeczność?

- Nie, bracie Erhardzie, ty to zrobiłeś, tylko sam tego nie dostrzegasz. Ten zabity rycerz... jak on się nazywał?

- Karl Lindberg.

- Co widzisz niezwykłego w tym ataku?

- Poza tym, że został obrzydliwie okaleczony...

- Widzę, że szatan świetnie się spisał, odwracając twoją uwagę. Co z twoją bestią? Tym atakiem powiedziała ci wszystko, co musisz wiedzieć o jej motywach.

- Wyjaśnij mi je, panie - rzekł po chwili Erhard.

- Twoja bestia uciekła stąd naga. A jednak w miejscu gwałtu znaleźliście ubranie. Gdy połączysz to z faktem, że nie słyszałeś żadnych wieści o okaleczonych ludziach ani zwierzętach, żadnych wilkach terroryzujących okolicę, brak też plotek o nagiej kobiecie wędrującej po okolicznych lasach, pozostaje tylko jeden możliwy wniosek.

- Jaki, mianowicie?

- Stwór ma tu swojego obrońcę. Może nawet cały sabat.

- To chrześcijańskie miasto.

- W takim razie kto ją ubrał? Kto nakarmił? Zdobyłeś ten gród osiem lat temu. Czemu sądzisz, że nikt tu już nie pamięta tej istoty, ucieleśnienia ich bogów? Myślisz, że żaden z tych Prusów nie wrócił prosto po chrzcie do leśnych gajów i bożków, próbując zmyć z siebie wodę święconą prawdziwego Boga? - Biskup potrząsnął głową. - W Rzymie mówi się, że zbyt łatwo zakon przyjmuje wyznania wiary.

- Nie ma prawdy w...

- Spędziłem tu kilka godzin, a zdołałem zauważyć niepokojąco łagodne traktowanie pruskich neofitów. Wciąż noszą pogańskie imiona. Boję się wielce tego, co bym usłyszał, gdybym przepytał twojego kapłana o to, kto przyjmuje sakramenty albo kto wyznawał swe grzechy, a kto nie.

- Ci ludzie przyjęli Chrystusa, Wasza Eminencjo.

- To się dopiero okaże, bracie Erhardzie. Jednakże nie mam wątpliwości, podobnie jak ty nie powinienes ich mieć, że na tej ziemi wyznawcy fałszywych pruskich bogów udzielili schronienia twojej bestii, a ich obecność tutaj doprowadziła do jej ucieczki.

Komtur nie chciał w to wierzyć, ale wywód biskupa miał w sobie żelazną logikę. W końcu jak inaczej można to wszystko wytłumaczyć? Ktoś naprawdę musiał udzielać jej schronienia, a czemu miałby to zrobić, jeśli nie w służbie ich bogom?

- Porozmawiam ze świadkami jej ucieczki - mówił dalej biskup Cecilio. - Przesłucham każdego z osobna.

- Myślisz, panie, że możemy tu mieć zdrajcę?

- Bracie Erhardzie, przesłucham też okolicznych mieszkańców. Zamierzam odkryć, kto udzielił schronienia potworowi.

- Wyślę moich rycerzy, by przepytali...

- Nie słuchałeś - przerwał mu biskup. - Powiedziałem, że to ja muszę ich przesłuchać. Zaczniemy od sprowadzenia tu każdego Prusa, który przeżył upadek twierdzy Mejdân.

- Wasza Eminencjo, w gospodarstwach trwają teraz siewy...

- Czy muszę przypominać o twoich ślubach, bracie?

- Nie, Wasza Eminencjo.

- Im szybciej Prusowie poddadzą się mojemu śledztwu, tym szybciej będą mogli wrócić do swoich obowiązków.

* * *

Sierżant Günter Sejod znalazł Erharda w wielkiej sali. Komtur krajowy był sam, siedział przy prostym drewnianym stole, przy którym bracia modlili się i w milczeniu spożywali

posiłki. Wpatrywał się w drewno, nie odwracając głowy, i przez kilka długich chwil Günter nie był pewien, czy komtur zdaje sobie sprawę z jego przybycia.

W końcu odchrząknął.

- Wzywałeś mnie, panie?

Komtur kiwnął głową.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Zostałem przydzielony...

- Pytałem, od kiedy tu mieszkasz. Pochodzisz z tej wioski, prawda?

- Tak, pewnie dlatego zostałem tu przysłany. Lepiej dla ludzi, kiedy widzą, gdy kieruje wszystkim ktoś tutejszy.

- Byłeś tu w trakcie zdobycia Mejdânu?

- Miałem wtedy dwanaście lat...

- Ale byłeś tu wtedy.

Günter zmarszczył czoło, zastanawiając się, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa. Czy Erhard zaczyna kwestionować jego lojalność?

- O co mnie pytasz, panie?

- To bardzo proste pytanie. Byłeś na miejscu, gdy zakon pokonał palisadę i zdobył Mejdân. Mam rację?

Günter zamknął oczy. Wróciły wspomnienia dymu, krzyków, trzasku pękających belek...

- Tak, panie, byłem tutaj.

- W takim razie wiesz, którzy inni Prusowie byli na miejscu?

- Niewielu przeżyło tę rzeź - wyszeptał Günter.

- W takim razie - cicho odezwał się Erhard, nie odwracając się od stołu - nie będzie trudno zebrać tych nielicznych na przesłuchanie.

- Co?

Erhard się wyprostował i odwrócił do Güntera. Miał twardą, zimną i bladą twarz, mówił powoli, starannie dobranymi słowami.

- Weźmiesz swoich ludzi i sprowadzisz każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, które przeżyło oblężenie.

- Panie, dopiero co zaczęło się obsiewanie pól. Wiele gospodarstw w okolicy potrzebuje...

- Nie dyskutuj ze mną, sierzancie!

To, co Günter zobaczył w oczach Erharda, sprawiło, że zrobił krok do tyłu.

- Tak, panie.

- Masz trzy dni.

XIX

W ciągu dwóch dni po odejściu Uldolfa nastrój Gedima oscylował między rozbawieniem a troską. Lilia chodziła z nim w pole, pomagała przy sianiu i za każdym razem, gdy na nią popatrzył, przypominał sobie chwilę, gdy objęła jego syna przy pożegnaniu.

Uldolf zawsze był niezwykłym dzieckiem, potrafił znaleźć sposób na pokonanie każdej przeszkody. Nigdy nie był do końca zadowolony z tego, jak sobie radzi, zawsze chciał osiągnąć coś więcej.

Burthe rozpaczała czasem nad możliwościami ożenku syna, ale Gedima to nigdy nie martwiło. Wiedział, że Uldolf sobie poradzi. Choć trudno było przewidzieć, że znajdzie sobie dziewczynę w lesie. Z drugiej strony, gdy się nad tym zastanowił, bardzo pasowało to do jego syna.

Oczywiście uczucie Lilii było odwzajemnione.

Gedim zatrzymał konia przy końcu kolejnej bruzdy i zawrócił go, by ruszyć za Lilią rozrzucającą ziarno.

Powinna rozrzucać ziarno... a stała, patrząc w stronę drogi. W pierwszej chwili pomyślał, że wypatruje Uldolfa, jednak coś w sposobie, w jaki zmrużyła oczy i szerzej otworzyła nozdrza, sprawiło, że też się obejrzał. Pomiedzy drzewami dostrzegł błysk światła odbitego od hełmu lub tarczy. Teraz, gdy się wsłuchał, usłyszał tętent kopyt. Stali na drugim końcu pola, przybysze zaraz ich zobaczą.

Podbiegł do Lilii i chwycił kosz z jęczmieniem.

- Schowaj się!

- A... ale... - Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie ma czasu! - Rzucił koszyk w bruzdę, rozsypując ziarno na ziemię, po czym pchnął ją w stronę kamiennego murku dzielącego pola. - Schowaj się, już!

Pobiegła, przeskoczyła murek i ukryła się za nim w ostatniej chwili.

Gedim wytarł dłonie o spodnie, próbując odzyskać spokój, i ruszył do chaty. Modlił się, by żaden z żołnierzy nie zauważył Lilii. Wciąż wracał myślami do opowiadania syna, co Niemcy zrobili z dziewczyną w lesie. Pomyślał o śladach na jej szyi i twarzy, o ledwie zagojonych ranach na skroni i ramieniu.

Poprosił bogów, by dali mu siłę, pomogli się opanować. Trudno będzie mu nie podnieść

ręki na ludzi nachodzących jego gospodarstwo.

* * *

Sierżant Günter Sejed nie miał dobrego humoru.

Pierwszego dnia, gdy przechodził przez Johannisburg, „prosząc” o współpracę Prusów, którzy przeżyli upadek Mejdânu osiem lat temu, było dużo łatwiej. Rzemieślnicy nie byli tak uwiązani do swoich warsztatów jak rolnicy do ziemi. Większość miała czeladników lub rodzinę, która mogła dopilnować spraw pod ich nieobecność. Ci, którzy musieli zamknąć swoje warsztaty lub kramy mogli to zrobić bez większych konsekwencji.

Jeśli rolnik nie obsieje pól na czas, nie zbierze plonów. Tutaj, na ziemiach, które karmiły Johannisburg, żądanie od ludzi, by porzucili swoje gospodarstwa na kilka dni, było niczym prośbie ich o dobrowolne oddanie dzieci. Günter spotykał się z łzami i przekleństwami, a dwukrotnie musiał zakuwać ludzi w łańcuchy.

W drodze powrotnej do Johannisburga zatrzymali się przy dziesiątym gospodarstwie. Prowadzili dwukonny długi wóz, zwykle służący do przewożenia snopów słomy i siana. Tym razem w połowie zajmowali go mężczyźni, kobiety i jedno czy dwoje dzieci. Zanim wrócą wieczorem do Johannisburga, wóz będzie pełny.

- Stać! - podniósł rękę i krzyknął, gdy dotarli do bramy w kamiennym murku otaczającym domostwo. Popatrzył na zaorane pola otoczone wijącym się kamiennym murkiem. Na środku jednego stał koń zaprzęgnięty do starej brony.

W ich stronę z pola szedł mężczyzna. Kobieta otworzyła drzwi chaty, a zza jej spódnicy wyglądała dziewczynka w wieku pięciu czy sześciu lat.

Nie będzie łatwo, pomyślał sierżant. Zdecydowanie nie.

Znał tych dwoje. Nie osobiście, ale słyszał o nich. Gedim i Burthe byli jedynym małżeństwem z domostwa wodza Radwena Seigsona, które przeżyło upadek Mejdânu. Wzięli nawet do siebie jedyne ocalałe dziecko Radwena...

Czyli trzeba zabrać ich wszystkich.

Zsiadł z konia i zaczekał, aż gospodarz dotrze do chaty, zanim sam podszedł do bramy. Gedim zbliżył się i kiwnął mu głową, nie otwierając wejścia.

- O co chodzi?

Patrzył uważnie na konnych i wóz. Ci ludzie nie szukali bestii. Rozpoznał wielu pasażerów starego wozu.

- Jestem sierżant Günter Sejed...

- Syn Hognara. Wiem, poznałem cię.

- Rozkazano mi sprowadzić na przesłuchanie wszystkich ludzi, którzy przeżyli zdobycie Mejdânu.

Brwi Gedima powędrowały do góry.

- Nie skończyłem zasiewów.

- Oni też siali. - Günter obejrzał się na wóz.

- Czy mieszkańcy Johannisburga nie chcą mieć co jeść?

- Wyjedziesz tylko na kilka dni. Żąda tego Kościół.

Gedim przeciągnął wzrokiem po szóstce zbrojnych jeźdźców, którzy eskortowali wóz.

- Wygląda na to, że nie mam innego wyboru, jak być dobrym chrześcijaninem. -

Otworzył bramę. - Pojadę z wami.

- Co ty sobie myślisz?! - Burthe wybiegła z chaty.

- Przykro mi. - Günter położył rękę na ramieniu Gedima. - Nie tylko ty.

- Ty draniu! - Burthe splunęła na niego. - Co daje ci prawo...

- Prawo daje mi władza zakonu nad tą ziemią, a nad nim władza papieża - wpadł jej w słowo. Dwóch jego ludzi zsiadło z koni. - Muszę przywieźć ciebie, Gedim, twoją żonę i Uldolfa.

- Uldolfa tu nie ma, ty parszywy...

- Burthe! - warknął na nią Gedim. - Pomyśl o dziewczynie. Uspokój się.

Wyglądała, jakby chciała obrzucić sierżanta kolejnymi inwektywami, jednak z tego zrezygnowała. W progu cicho łkała jej córka.

Günter potrząsnął głową. To była prawdziwa Katastrofa...

- Sierżancie, mój syn poszedł do miasta - rzekł Gedim. - Jesteśmy tu tylko we troje.

- Syn? - Günter zrozumiał dopiero po chwili. Ach tak, dziecko Radwena. - Kiedy Uldolf wróci?

- Niedawno poszedł.

- Rozumiem... - Günter spojrzał na pole, mrużąc oczy. Koń wciąż stał bez ruchu, a w brudzie przed nim leżał przewrócony koszyk na ziarno. To była praca dla dwóch osób. Czemu Gedim pozwolił przybranemu synowi iść do miasta właśnie teraz? I dlaczego jest teraz taki zgodny?

- A Hilda? - powiedziała nagle Burthe. - Nie możemy zostawić jej tu samej. I nasz koń wciąż stoi na polu.

Günter się uśmiechnął. Oboje wiemy, że nie zostałaby tu sama, prawda?

- Możecie zabrać Hildę ze sobą.

Gedim i Burthe porozumieli się wzrokiem.

- Możemy odpręgnąć konia, a potem zamknąć dom? - zapytał Gedim.

Günter kiwnął głową.

W końcu uznał, że nie warto robić jeszcze większej awantury z powodu kogoś, kto w chwili brutalnego ataku zakonu krzyżackiego na Mejdân był małym dzieckiem. Uldolf nie wie nic, co mogłoby zainteresować komtura albo biskupa.

* * *

Lilia przywarła do kamiennego murku. Dygotała z lęku. Próbowwała nie słyszeć tych ludzi, nie czuć zapachu koni. Próbowwała myśleć o Ulfiem, o jego powrocie.

Obiecał, że wróci. Czemu odszedł?

- Czemu? - wyszeptwała w kamienie. Ze łzami w oczach zmagą się z tym jednym pytaniem. - Czemu?

W głowie usłyszała znacznie zimniejszy głos: Wiesz czemu.

- Nie.

Nie możesz o mnie zapomnieć...

- Nie! - Wypowiedziała to słowo zbyt głośno. Ci ludzie na drodze mogą ją skrzywdzić, jeśli ją tu znajdą. Gorzej, mogą skrzywdzić rodziców Ulfięgo.

Albo Hildę.

Wbiła palce w ziemię u podstawy murku, czując narastającą złość. Jeśli komuś stanie się krzywda...

Nie chciała się złościć. Każdym nerwem, każdą kością, każdym naprężonym do granic mięśniem nie chciała się złościć.

Słuchaj ojca Ulfięgo, tłumaczyła sobie. Powiedział, żebyś się schowała. A teraz tak spokojnie rozmawia z ludźmi na drodze.

Pachnie strachem, powiedziała ta druga.

- On nie chce... żeby oni mnie skrzywdzili - wyszeptwała do ziemi.

Możemy ich skrzywdzić najpierw, podsunęła ta druga.

- Nie. Nie rób tego. Proszę.

Możemy skrzywdzić ich tak, że nigdy już nikogo nie skrzywdzą.

- Przestań! - krzyknęła Lilia, przyciskając twarz do ziemi. Jej głos został stłumiony, ale zakrztusiła się, zakaszła.

Zamarła przerażona, że żołnierze ją usłyszą. Pociągając nosem, oparła się o zimne kamienie.

Jej serce ścisnęła panika, gdy usłyszała zbliżające się kroki. Parsknął koń. Gwałtownie

wciągała powietrze, próbując zachować spokój, pozostać w ukryciu.

Szli po nią.

- Wszystko w porządku - usłyszała nagle szept ojca Ulfięgo. - Nie ma się czym martwić.

Szeptał do konia, ale wiedziała, że te słowa skierowane są do niej. Nasłuchiwała, jak odprowadza konia. Może ci ludzie sobie pójda?

Rzeczywiście odeszli, ale zabrali ze sobą rodziców Ulfięgo i Hildę. Minęło dużo czasu od chwili, gdy usłyszała, jak odchodzą, zanim się odważyła wyrzeć nad krawędzią murku.

Nikogo, tylko koń na pastwisku, wyciągający szyję, by sięgnąć trawy rosnącej za bramą. Otrząsnęła ziemię z ubrania i twarzy.

Była sama.

Ulfię wróci. On będzie wiedział, co robić.

Ale słyszała rozmowę. Ci ludzie chcieli zabrać również Ulfięgo. Chcieli jej zabrać wszystkich. Potrzęsęła głową. Nie mogli jej zabrać Ulfięgo. Nie mogli.

Potrzebujesz mnie.

- Nie - wyszeptwała. - Ja... ja... ja... - Jej głos wciąż zaczynał się na tym słowie. Wreszcie dokończyła tę myśl w głowie: Ja mogę to zrobić sama.

Zawsze, gdy zdarzało się coś strasznego, pozwalała przejąć kontrolę tej drugiej, błagała ją nawet o przejęcie kontroli. Mogła być wystraszona, ale przecież była równie silna i bystra jak ta druga. Mogła zrobić to sama.

Mogła sprowadzić pomoc. Mogła znaleźć Ulfięgo.

Obiecała mu, że tu zostanie.

Nie, obiecała mu, że nie ucieknie.

Przecież nie będzie uciekać, będzie szła do niego. Ale pójście za Ulfięm oznaczało konieczność podążenia w tym samym kierunku, w którym ci ludzie zabrali jej rodzinę. Ludzie, którzy chcieli ją skrzywdzić.

Poczuła ból w bliźnie na głowie i mimowolnie potarła to miejsce.

Gdy ich dogoni, po prostu wyprzedzi ich lasem, tak żeby jej nie zobaczyli.

Przeszła przez bramę. Schyliła się, podniosła dół spódnicy i zawiązała go sobie wokół talii. Pobiegnęła. Potrafiła biec szybko.

* * *

Wyczuła ludzi, zanim znaleźli się w zasięgu wzroku. Koński pot, kwaśny zapach zmęczonych ludzi, strach więźniów - wszystko to unosiło się nad drogą w gęstej chmurze. Zwolniła, oddychając tylko trochę szybciej niż normalnie, i zeszła z drogi w las. Poszycie

czepiało się jej nóg, gałęzie uderzały w twarz, szarpały za włosy.

Dotarła do ścieżki wydeptanej przez zwierzynę równoległe do drogi. Pobiegnęła nią schylona, starając się poruszać jak najciszej. Kiedy jednak znalazła się na wysokości małej karawany, uświadomiła sobie, że żołnierze i tak by jej nie usłyszeli w stukocie końskich kopyt, trzeszczeniu kół wozu oraz rozmowach przewożonych nim ludzi.

Wyteńczyła słuch i usłyszała głos Hildy:

- A co z Lilią?

Ojciec Ulfiego odpowiedział jej szeptem:

- Ciii. Nie mów o tym teraz.

Pobiegnęła szybciej ścieżką, wyprzedzając karawanę. Wreszcie przestała słyszeć odgłosy ich wędrówki, a ich zapach stał się tylko słabym wspomnieniem. Wróciła na drogę, choć było to niebezpieczne. Mógł ją ktoś zobaczyć.

Jednak musiała iść za Ulfiem i podążanie tą drogą stanowiło jedyny pewny sposób na odzyskanie go. Po drodze mogła się poruszać znacznie szybciej niż w lesie. Zresztą ludzie silnie pachnieli i byli głośni, więc jeśli będzie ostrożna, nie zauważą jej.

XX

Z każdą mijającą godziną Uldolf coraz bardziej sobie uświadamiał, jak złym pomysłem było przyjscie do Johannisburga. W wiosce roilo się od zagranicznych żołnierzy, braci zakonnych, rycerzy świeckich, giermków i lennych żołnierzy - a wszyscy szukali Prusów, którzy przeżyli upadek Mejdânu. Lankut był bliski prawdy. Uldolf pozostawał na wolności, bo posłuchał jego rady co do noclegu.

Pierwszego wieczoru sprzedał futra, z uzyskanych pieniędzy zapłacił za mały pokoik. Nie spał dobrze, budził się kilka razy z koszmarów, które pozostawiały po sobie wrażenie grożącego niebezpieczeństwa.

Przy śniadaniu siwowłosy właściciel gospody szeptem powiedział mu o Niemcach zabierających do twierdzy wszystkich Prusów z dawnego Mejdânu. Ocalały z rzezi syn wodza Radwena z pewnością musiał być szczególnie poszukiwany.

Tego dnia żołnierze nieustannie maszerowali po wszystkich ulicach Johannisburga. Uldolf nie opuścił gospody. A w nocy koszmary miał dużo gorsze, choć rano nie potrafił ich sobie przypomnieć.

Żołnierze chyba zakończyli przydzielone im zadanie. Nie było ich tak wielu na ulicach. Mimo wszystko odczekał do wczesnego wieczora, zanim wymknął się z gospody. Trzymał się najwęższych uliczek, starając się trzymać w cieniu i równocześnie wcale nie sprawiać wrażenia, że się ukrywa.

Jego trasa skończyła się przy starym budynku z belek. Mógł stąd obserwować główną drogę prowadzącą do bramy. Czekał długo, aż wreszcie wartę objął Lankut.

Uldolf zdawał sobie sprawę, jak wiele ryzykuje. Jednorękiego mężczyznę znał każdy Prus w mieście. Nawet żołnierze nieznający ich języka mogli się domyślić jego tożsamości. Z większej odległości mógł ukryć brak ręki pod peleryną, jednak z bliska zaraz zostanie rozpoznany.

Co gorsza, Niemcy nie kręcili się już po ulicach. Najprawdopodobniej wyszli z miasta, prowadząc poszukiwania w okolicy, a to oznaczało, że już nie tylko Uldolf był zagrożony.

Teraz chodziło o jego rodzinę.

Żołnierze przyjdą do jego domu i znajdą Lilię.

Choć sytuacja wydawała się beznadziejna, miał plan. Wymknie się z miasta o zmierzchu,

tuż przed zamknięciem bram, i dotrze do domu pod osłoną nocy. Jeśli wyprzedzi Niemców w drodze do gospodarstwa, zabierze Lilię i ukryją się w lasach. Miał dość doświadczenia, by przeżyć w dziczy kilka dni. Dość, by wymknąć się szukającym.

Jednak teraz, gdy słońce zaczynało chować się za bramą, rozciągając w jego stronę cienie drzew i budynków, pojawił się nowy problem. Między nim a bramą na głównej drodze stało dwóch niemieckich rycerzy.

Gdyby byli to rycerze zakonu, wkrótce skierowaliby się do stołpu na modły i umartwienie lub ascetyczny posiłek, na jaki pozwalali sobie mnisi. Niestety, ci dwaj nie nosili białych płaszczy z czarnymi krzyżami, ubrani byli w jaskrawą czerwień i zieleń, więc ich nie obejmowały zakonne obowiązki. Nie wykazywali też ochoty, by przenieść się z rozmową gdzieś indziej.

Uldolf schował się głębiej w cieniu, rozważając, czy powinien się ruszyć, czy poczekać, aż Niemcy sobie pójda. Nie wyglądali, jakby planowali kogokolwiek szukać, po prostu stali przy drodze i rozmawiali. Jednak trwało to już pół godziny, a o zmierzchu wartownicy zamkną bramy i nie będzie łatwo się wymknąć.

Obserwował niemieckich rycerzy, więc nie zauważył Lilii do chwili, gdy przechodziła już przez główną bramę. Oderwał tylko na chwilę spojrzenie od Niemców i zobaczył jej zafarbowane na czarno włosy oraz ubranie umazane ziemią i obwieszane liśćmi. Nawet z tej odległości widział brzydką czerwoną bliznę na jej czole.

Wślizgnęła się do wioski za grupą holenderskich kupców, najwyraźniej próbując nie zwracać na siebie uwagi. Pomysł mógł być słuszny, gdyby nie to, że jej odzież wieśniaczki zupełnie nie pasowała do futer kupców, i gdyby nie starała się w tak oczywisty sposób trzymać za wozem.

Co ty tu robisz? - pomyślał.

Gdy tylko ktoś się do niej odezwie lub spyta, po co tu przyszła... Musiał dostać się do niej czym prędzej.

Niemcy jeszcze nie zwrócili na nią uwagi. Kupcy rozprawiali o czymś między sobą. Lilia oddaliła się od nich na kilka kroków i rozejrzała, jakby zastanawiała się, gdzie teraz pójść.

Stojący przy bramie Lankut spojrział w jej stronę, jakby uświadomił sobie, że ta dziewczyna nie należy do grupy kupców.

Uldolf nie mógł dłużej czekać. Ciasno owinął się peleryną, ukrywając brak ręki. Twarz pozostawił odsłoniętą. Gdyby za dnia naciągnął kaptur, wyglądałby bardzo podejrzanie.

Próbując uspokoić oddech i szaleńczo bijące serce, poszedł niespiesznym krokiem główną ulicą Johannisburga do bramy.

Lankut postanowił zbadać sprawę. Ruszył w stronę Lili. Kupcy podzielili się na dwie mniejsze grupy i rozeszli w uliczki, rozdzielając się niczym zasłony rozsuwane między niemieckimi rycerzami a Lilią.

Lankut był znacznie bliżej dziewczyny i Uldolf poczuł w ustach miedziany smak strachu. Miał nadzieję, że dotrze do Lili, zanim strażnik się do niej odezwie, ale nie było mowy, by pokonał tę odległość na czas, nie zrywając się do biegu. Minał dwóch Niemców. Musiał użyć całej siły woli, by nie popatrzeć w ich stronę.

Lankut był już za plecami Lili.

- Przepraszam, panienko...

W tej samej chwili Lilia zobaczyła Uldolfa.

- Ulfie! - krzyknęła z takim entuzjazmem, że Uldolf aż się przestraszył. Podbiegła, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła całować.

Zrobił krok wstecz, a Lilia poszła za nim, tuląc policzek do jego ramienia. Zerknął na Niemców, spodziewając się szybkiej i brutalnej interwencji. Jego próba pozostania niezauważonym odniosła spektakularne fiasko. Jednak ku jego wielkiej uldze Niemcy patrzyli na nich z rozbawieniem, nie wykazując żadnej wrogości. Śmiali się z publicznie okazywanego przez dziewczynę uczucia i zakłopotania młodzieńca.

- Przepraszam...

Uldolf obrócił się i zobaczył Lankuta, który przyszedł za Lilią od bramy wioski. On też się lekko uśmiechał.

- Tak?

- Zamierzałem ją zapytać o cel przybycia do Johannisburga, ale teraz to oczywiste.

Uldolf wysunął rękę spod peleryny, by przytulić Lilię i obrócić ją lekko, by zasłoniła jego prawy bok.

- Przyszła, żeby się ze mną spotkać - przyznał niepotrzebnie.

- Mam nadzieję, że nie pozwalasz jej wędrować samotnie po drogach.

Uldolf zaklął w myśli. Nie umiał kłamać.

- Nie wiem... Powinna być ze swoją rodziną.

- Ach, czyli szła z kimś jeszcze?

Uldolf patrzył na Lilię, żeby Lankut nie mógł mu spojrzeć w oczy.

- Może gdy zobaczyła przed sobą miasto, pobiegła pierwsza.

- Bardzo się ucieszyła na twój widok.

Uldolf przytaknął i podniósł wzrok.

- Ja także się ucieszyłem.

Lankut popatrzył w stronę Niemców, którzy znudzili się widowiskiem i wrócili do swojej rozmowy.

- Pobierzecie się?

Uldolf przeżył chwilę paniki.

- Być może... jeśli jej ojciec wyrazi zgodę.

Lankut zachichotał.

- Twojego ojca rozbawiłaby ta wyjątkowa uprzejmość.

Uldolf uświadomił sobie, że Lankut wcale nie miał na myśli Gedima.

- Gdyby Radwen Seigson za młodu zobaczył taką piękność, bez pytania wzięłby ją dla siebie - ciągnął Lankut. - I biada ojcu, bratu lub wujowi, który by się sprzeciwił.

- Teraz wszystko wygląda inaczej.

- Wiesz o tym, że ci Niemcy chcieliby z tobą porozmawiać?

- Tak słyszałem.

- Dobrze. - Lankut się uśmiechnął. - Ponieważ ty jesteś tu, a oni są tam, ja wypełniłem swoje obowiązki.

Wrócił do swojego stanowiska przy bramie, a rozmawiający ze sobą Niemcy w końcu sobie poszli.

* * *

Uldolf wciąż chciał się wydostać z wioski, ale w tej chwili najważniejsze dla niego było zapewnienie bezpieczeństwa Lili. Nie rozumiał, po co Niemcy sprowadzali tak wielu Prusów z Mejdânu do twierdzy, ale było jasne, że gdyby znaleźli Lilię u jego rodziny, wiązałyby się to z bardzo poważnymi konsekwencjami.

Skoro znalazła się tutaj, musiał ponownie przemyśleć swoje plany. Zamiast wracać do domu, wzięł ją do swojego pokoju w gospodzie. Choć właściciel nie miał powodu kochać Niemców, Uldolf i tak zachował dużą ostrożność. Zaprowadził Lilię na tyły budynku, gdzie wychodziło okno jego pokoiku.

Na szczęście nie zablokował okiennic i zdołał je otworzyć od zewnątrz. Podsadził dziewczynę, a gdy już była w środku, niezdarnie spróbował wejść za nią. Chwyliła go za rękę i wciągnęła bez wysiłku.

Było to upokarzające, ale odetchnął z ulgą, że zdołali się ukryć.

Cofnęła się, by zrobić mu trochę miejsca w wąskim pokoiku. Powietrze było gęste od docierającego przez otwarte okno zapachu błota i koni. Zachodzące słońce nadawało wszystkiemu czerwone zabarwienie.

Uldolf podszedł do drzwi i zamknął skobel. Wreszcie poczuł się w miarę bezpiecznie.

Lilia położyła dłoń na jego piersi.

- Ulfie?

- Usiądź, a ja spróbuję pomyśleć, co teraz zrobić. - Zdjął pelerynę i położył ją na łóżku.

Dziewczyna usiadła obok.

Gdy odkładał swoją torbę, chwyciła go za ramię.

- Ulfie. - Zmarszczyła czoło. - Ja... ja...

Położył dłoń na jej ramieniu.

- Uspokój się.

- Ja... ja... ja...

Położył palec na jej wargach.

- Jeśli będziesz się do wszystkiego zmuszać, jeśli dasz się opanować złości, to wszystko zrobi się jeszcze trudniejsze. Mów powoli, jedno słowo naraz. Odetchnij spokojnie.

Opuścił dłoń.

- Przyszłam d... d... - Potrząsnęła głową i odetchnęła. - Do ciebie s... s... - Znowu przerwała, nabrała powietrza i powiedziała: - Sama.

Widział, że chciała powiedzieć coś więcej.

- Czemu? Wiesz przecież, jak bardzo było to niebezpieczne.

Zacisnęła dłonie w pięści.

- Ja... ja... - Po jej policzku spłynęła łza.

- Ciii. Musisz się uspokoić.

Wtulila twarz w jego pierś.

- P... p... pozwól mi to zrobić.

- Na co mam ci pozwolić? - Uldolf pogłaskał ją po głowie.

* * *

Ta druga rwała się do działania.

Potrzebujesz mnie. Mogę to zrobić.

Lilia próbowała z nią walczyć.

Poradzę sobie!

Nie umiesz wydusić z siebie trzech słów!

Nie.

On musi wiedzieć.

Nie!

Jednak dlatego właśnie tu przyszła, a tylko jej mroczna połowa знаła słowa, którymi mogła przekazać Uldolfowi to, co musiał wiedzieć.

* * *

- Jesteś teraz bezpieczna - wyszeptał Uldolf. - Tylko to się liczy.

- Nie. - Odepchnęła się pięściami od jego piersi. - Nie.

- Nie? Dlaczego? Nie rozumiem.

Odwróciła się od niego i wyglądała, jakby już go nie słyszała. Potrząsnęła głową, a potem odezwała się niskim głosem:

- Uldolf?

Położył dłoń na jej plecach.

- Dobrze się czujesz?

Zrzuciła jego dłoń. Wstała z pryczy.

- Muszę odejść.

Uldolf wstał i chwycił ją.

- O czym ty mówisz? Niemcy na ciebie polują, zabiją cię...

- Nie martw się o mnie.

- Jak możesz tak mówić po tym, co zrobiła dla ciebie moja rodzina? Hilda uważa cię za siostrę...

Jej ramiona opadły.

- Przyszłam, żeby ci powiedzieć. Niemcy przyszli do domu. Zabrali twoją rodzinę.

- Nie mogą... - Uldolf potrząsnął głową i cofnął się pod ścianę.

- Twój ojciec ukrył mnie na polu. Żołnierze kazali im wsiąść do wozu razem z innymi.

Byli na drodze, godzinę za mną.

Usiadł na pryczy. Co mógł teraz zrobić? Jak mógł teraz cokolwiek zrobić, skoro Niemcy już zabrali jego rodzinę? Czemu to zrobili?

Podeszła do drzwi, ale złapał ją za rękę.

- Nie idź!

- Nie mogę tu zostać.

- Czemu?

- I tak już za dużo ci złego zrobiłam.

- To nie twoja wina. Przecież to wszystko wina Niemców.

Obróciła się do niego, a wyraz cierpienia na jej twarzy sprawił, że Uldolf skurczył się w sobie.

- Nie mów nic o winie. Po tym, co zrobiłam... - Gwałtownie nabrała powietrza.

- Lilia? - Uldolf dotknął jej policzka.

Patrzyła na niego z wyraźnym zamętem na twarzy.

- Nie pamiętasz?

Spojrzał w jej bezdenne zielone oczy i poczuł...

* * *

W jakiś sposób znalazł się na pryczy, bez tchu, zlany potem. Jego serce próbowało się wyrwać z klatki piersiowej. Pusty bark bolał tak mocno, jakby rana była świeża, krwawiąca. Jakby właśnie wyrwano mu rękę.

Lilia trzymała go w miażdżącym uścisku, potrząsała nim.

- Ulfie! Ulfie! Ulfie!

Nie rozumiał tego napadu paniki, która powoli zanikała w jego piersi.

- Nic mi nie jest. Uspokój się.

Przestała nim potrząsać.

- Czy oona cię skrzywdziła?

- Kto?

- Czy ja cię skrzywdziłam?

- Nie. - Uldolf potrząsnął głową. - To ja sam. Proszę, puść mnie.

Zwolniła uścisk i nagle łatwiej było mu oddychać.

- To nie było nic, co ty zrobiłaś, Lilia. Nie obwiniaj się. Straciłem rękę bardzo dawno temu. Byłem dzieckiem, gdy zakonnicy przyszli, zniszczyli mój dom, zabili rodziców. - Pierwszy raz z kimkolwiek o tym rozmawiał. Nie pojmował, dlaczego czuje, że Lilia jest jedyną osobą, która może go zrozumieć.

- Ulfie...

- I niczego nie mogę sobie przypomnieć. Nie, nie do końca tak. Mogę sobie przypomnieć, ale za każdym razem, gdy zbyt mocno myślę o tym, co się stało... - Spróbował uspokoić oddech, który znowu przyspieszał razem z pulsem. - To prawie jakby wszystko działo się na nowo: strach i ból. Nie mogę o tym myśleć, bo tracę przytomność. Nawet jeśli za dużo myślę o rodzicach... chyba jestem tchórzem, skoro nie mogę jasno spojrzeć we własną przeszłość.

- Nie!

Lilia znowu zamknęła go w objęciach.

- Nie! Nie jesteś tchórzem. Jesteś bardzo dzielny!

Kołysała nim do przodu i do tyłu, jakby pocieszała dziecko.

- Ulfie dzielny - powtarzała. - Uldolf dzielny.

INTERLUDIUM

Anno Domini 1231

Był jasny, letni dzień. Dziewięcioletnia Lilia siedziała w lesie opodal pogańskiej wioski Mejdân.

Czekała, bo tak polecił jej pan.

Czekała na sygnał, kiedy będzie mogła wejść do miasta i ukarać złych ludzi, którzy tak bardzo martwili jej pana oraz jego Boga. Sprawi się dobrze i zadowoli jego i jego Boga.

Teraz jednak musiała czekać.

Siedziała na omszałym powalonym pniu. Od czasu do czasu machała nogami, kopiąc piętami w pień, robiąc wgłębienia w zbutwiałym drewnie i strasząc małe pełzające stworzenia, które kręciły się wokół jej nóg. Czasami śpiewała sobie kołysankę, którą tak lubiła Róża.

Czasami żałowała, że jej nowy pan dla niej nie śpiewa.

Choć tego nie robił, wiedziała, że on ją lubi, bo nie sprawiało mu przyjemności karanie jej.

Pierwszy pan czerpał przyjemność z karania każdego błędu tak mocno, aż wizja kary rzucała się cieniem na każdy wykonany krok. A nowy bił ją tylko wtedy, gdy zrobiła coś naprawdę niewłaściwego. Co ważniejsze, za karę tylko bił. Nie używał niczego, by ją ciąć, nie wsadzał niczego w jej ciało. W porównaniu z gwałtem i okaleczaniem, bicie ciężkim prętem po plecach to było prawie nic.

I z powodu tej łaski mogła zrobić dla niego wszystko. Odbierze życie każdemu, kogo znajdzie w tej wiosce, byle sprawić mu przyjemność.

Teraz czekała.

Przez gałęzie przeświecały plamki słonecznego światła, a łagodny wiatr poruszał liśćmi, szarpiąc lekko za prostą tunikę, w którą odział ją jej pan. Nie była przyzwyczajona do noszenia prawdziwej ludzkiej odzieży. Jeśli dobrze się spiesz, może pan pozwoli jej zatrzymać ubranie.

Wokół śpiewały ptaki, świergotały owady, czuła woń błota, koni i ludzi z wioski. Lubiała zapach sosen. Nawet butwiejący pień, na którym siedziała, roztaczał bogactwo zapachów. A

dawniej wahała tylko odchody i krew.

- Cześć!

Obróciła się w miejscu z szeroko otwartymi oczami.

Miała czekać w ukryciu! Nikt nie powinien jej widzieć. Jeśli ktoś ją odkryje, jej zadanie się nie powiedzie. Pan ją pobije albo jeszcze gorzej - odda z powrotem do klasztoru.

Spodziewała się zobaczyć olbrzymiego kudłatego mężczyznę w zbroi, jak poganie, na których kazali jej ćwiczyć walkę. Mężczyzna wyciągnąłby miecz, a Lilia musiałaby go zabić, łamiąc rozkaz pana, by nie zabijać nikogo aż do nadejścia właściwej chwili...

Jednak to nie był kudłaty poganin z mieczem.

Zobaczyła chłopca, najwyżej o rok starszego od niej. Z jego ramienia zwisał tobolek.

- Cześć! - powtórzył.

Zerwała się na nogi i zaczęła się cofać. Nie powinien jej zobaczyć nikt z wioski, ale też nie wolno było jej nikogo zabijać. Co robić? Uciec?

- Jestem Uldolf. A ty?

- Lilia - odpowiedziała odruchowo. Na pytanie zadane wprost trzeba było udzielić odpowiedzi albo dostawała baty...

Nie powinna rozmawiać z tym chłopcem.

- Czy to twój śpiew słyszałem zeszłej nocy?

To była jej wina. Pan z pewnością ją porzuci.

- Ja... nie wiem, o czym mówisz.

Tylko że kłamstwo było jeszcze gorsze. W chwili, gdy wypowiedziała te słowa, poczuła, jak jej stary pan wykręca jej rękę, aż wyskakuje ze stawu, i wciska się między jej nogi...

- Daj spokój - powiedział ten chłopiec, Uldolf. - Przyznaj się.

- Nie mogę z tobą rozmawiać.

- Czemu nie?

- Czekam... - Umilkła. Nie mogła mu powiedzieć prawdy. To byłoby gorsze od wszystkich dotychczasowych błędów razem wziętych.

Uldolf tylko wzruszył ramionami i zapytał:

- Jesteś głodna?

- Co? - Lilia całkiem się pogubiła.

- Pytałem, czy jesteś głodna - powtórzył Uldolf. Podszedł do pnia i położył na nim swój tobolek. - Mam trochę sera i chleb.

Nie wiedziała, co zrobić. Złożyła ręce na piersi, skuliła się i potrząsnęła głową.

- Nie powinnam z tobą rozmawiać.

- Nic nie szkodzi, ja też nie powinienem rozmawiać z tobą. - Uldolf się roześmiał. - Powinienem z innymi dziećmi pilnować krów na łące.

- Krów?

- Głupie bydłeta, ciągle podchodzą do urwiska i mogłyby spaść, gdyby ktoś ich nie odganiał. - Uldolf wyjął z tobołka dwie rzeczy, których Lilia nigdy jeszcze nie widziała. Bryłę żółtawego czegoś o brzegach kruszących się jak sucha ziemia. I coś okrągłego, nierównego i brązowego. Nie wyglądały interesująco, ale zapach...

Głęboko wciągała powietrze. Zapach był ostry i ciepły, niepodobny do niczego, co wahała do tej pory. Oblizwała wargi.

- To jak, chcesz trochę?

Lilia przypomniała sobie, że nie powinna była z nikim rozmawiać.

Chłopiec był sam, może należało go zabić? Sam powiedział, że oddalił się od większej grupy. Nikt nie wiedział, że tu jest. Mogła ukryć jego ciało gdzieś, gdzie go nie znajdą przed sprowadzeniem do tego miasta armii Chrystusa.

Mogła go zabić już teraz...

Wyciągnął w jej stronę oderwany kawałek żółtawego czegoś i uświadomiła sobie, że część tego wspaniałego zapachu roztaczana była właśnie przez to.

- Proszę, weź - nalegał. - Wyglądasz na głodną.

To coś w dotyku przypominało starą glinę - lepka, może trochę tłusta. Nie mogła uwierzyć, że ktoś jej tak po prostu dał coś, co tak cudownie pachnie.

Rozkoszowała się zapachem. Wtem sobie uświadomiła, że chłopiec przygląda się jej ze zmarszczonym czołem. Rozejrzała się. Czy jest tu ktoś jeszcze?

- Głupia jesteś? - zapytał chłopiec.

Nie zrozumiała. Dał jej coś tak cudownego, a teraz mówi, że jest głupia?

Jej druga część wyszeptała: Zabij go. Zabijmy go teraz.

- Cz... czemu tak mówisz?

Zmarszczył brwi.

- Chcesz mi zrobić kawał, prawda?

- N... nie. Wcale nie. Proszę, powiedz mi, czemu tak mówisz.

Była zmieszana, niepewna. Tak nie czuła się od bardzo dawna. Od czasu, kiedy zrozumiała, czego chcieli od niej jej panowie. Od lat była pewna tylko jednego - że zna zasady. Wiedziała, które działania przynoszą ból.

Nie będziesz się czuć taka słaba, jeśli on zginie...

- Przestań! - warknęła do samej siebie.

- Co mam przestać? - zapytał Uldolf.

Łzy zapiekły ją w kącikach oczu, a przez to poczuła się jeszcze gorzej. Jej pan nie lubił, gdy płakała. To była oznaka słabości. Za to należało się bicie.

- Czemu mi to dałeś?! - krzyknęła i ze złości rzuciła serem w Uldolfa. Trafiła go w środek piersi. Ser się rozsypał na okruchy.

Chłopiec szeroko otworzył oczy, a wyraz jego twarzy zdradzał zmieszanie równe temu, jakie czuła Lilia. Odwróciła się, żeby nie widział, jak płacze.

- Przepraszam - powiedział.

Niepewna, czy dobrze usłyszała, wytarła oczy.

- Co powiedziałaś?

- Przepraszam, że nazwałem cię głupią.

Kto to jest?! Zawsze ona przepraszała. Zawsze ona prosiła o przebaczenie. Nikt nigdy za nic jej nie przeprosił.

- Jestem głupia. - Gdyby nie była głupia, wiedziałaby, co teraz zrobić.

- Nie, to ja byłem złośliwy.

Poczuła jego dłoń na ramieniu i zadrżała.

Przemień się teraz, zatop kły w jego karku. Oderwij temu durniowi głowę.

Odwróciła się, a Uldolf podał jej kolejny kawałek cudownie pachnącego sera.

- Proszę, możesz wziąć moją połowę.

Nic tu nie miało żadnego sensu. Przecież właśnie rzuciła w niego prezentem. Powinien zbić ją metalowym prętem.

- To tak cudownie pachnie - wyszeptała.

- Nie śmierdzi, prawda?

Zamrugnęła, żeby skupić wzrok.

- Co to jest?

- Teraz już wiem, że się ze mnie nabijasz!

- Nie. Proszę, powiedz mi.

- Nie wiesz, że to ser?

Potrząsnęła głową.

- W takim razie co ty jadasz? - Uldolf zmarszczył brwi.

Lilia nie wiedziała, jaki to ma związek z sytuacją, ale nie przypuszczała, żeby odpowiedź mogła w czymś zaszkodzić.

- Jem mięso.

Pomyślała o młodym łosiu, którego zabiła dwie noce temu. Zawiesiła korpus na drzewie,

wciąż pozostał spory kawał udźca. Pomyślała o czerwonym mięsie i silnym zapachu wnętrzości, ślina jej napłynęła do ust. Rzeczywiście, była głodna. Pozbędzie się Uldolfa, żeby spokojnie wrócić do swojej zdobyczy.

- Tylko mięso? Mogę się założyć, że twoim ojcem jest książę Mazowsza.

- Nie wiem, kim jest mój ojciec.

- Och...

- A co jeszcze mogłabym jeść?

- No jak to, oczywiście ser.

Popatrzyła na swoją dłoń.

- Naprawdę nigdy jeszcze nie jadłaś sera? - zdziwił się.

- Nie. - Ugryzła kawałek. Rozpłynął się w jej ustach ze smakiem niepodobnym do niczego, co dotąd jadła. Ten wspaniały zapach zmienił się w aksamit, który owinał się wokół jej języka.

Jak ktokolwiek mógł tak po prostu dać jej coś takiego?

- Lepiej już pójde - powiedział Uldolf.

Lilia gwałtownie otworzyła oczy.

- Co? Dopiero tu przyszedłeś.

- No wiesz, trochę czasu zajmie mi droga do domu. Jest już późno. Ale wrócę, jeśli chcesz. Będziesz tutaj?

- Tak. - Czemu to powiedziała? Powinna się ukrywać. - Proszę, nie mów nikomu, że tu jestem.

- Nie, ja też nie chcę mieć żadnych kłopotów. Proszę, weź i chleb. - Rzucił do niej bochenek. Odruchowo go złapała. - Ale chleb znasz, prawda?

- T... tak - skłamała.

Podniósł swój tobołek i pomachał jej ręką.

- Do widzenia!

Gdy odszedł, wgryzła się w chleb. Dopiero po chwili zrozumiała, że to jak gruba kość, którą należy złamać, żeby dostać się do pysznego szpiku. Wnętrze chleba było prawie równie dobre jak ser.

* * *

Wiedziała, że źle postępuje, ale przez całą noc myślała więcej o Uldolfie niż o życzeniach jej pana.

Zdołała sobie stworzyć bardzo rozbudowane usprawiedliwienia. Pan jej zabronił zabijać

przed nadejściem właściwego czasu, więc naprawdę nie powinna go zabić. Pan przykazał też, by nie zobaczył jej nikt w wiosce, ale przecież ten chłopiec nie był w wiosce, gdy do niej przyszedł.

Uldolf miał rację, naprawdę jest głupia. Powinna go zabić. Wszystko, co przykazał pan, miało na celu niedopuszczenie do tego, by wioska dowiedziała się o niej.

Przykucnęła przy swojej zdobyczy, odrywając duże płaty mięsa, z paszczą lepką od starej krwi. Pożerała surowe mięso. Skąpany w świetle księżyca las był cichy. Nawet pomimo silnego zapachu krwi łosia wiedziała, że większość zwierząt trzyma się z daleka od niej i jej posiłku.

Gdyby Uldolf przyszedł do niej teraz, nie miałaby wyboru, prawda? Pokazała swoją prawdziwą twarz dostatecznie dużej liczbie ludzi, pogan i chrześcijan, by wyczuwać wzbudzany przez nią strach. Nawet w jej panu.

Czy teraz Uldolf dałby mi ser?

Przerwała jedzenie, bo nie podobał się jej kierunek, w którym podążały jej myśli. Ten drugi głos, zimny i zły, ostatnio stawał się coraz silniejszy. Nie rozumiała dlaczego, skoro pozostawiła za sobą koszmar pierwszego pana.

Resztki łosia wciągnęła na drzewo. Zeskoczyła na ziemię i zaczęła wylizywać krew z futra. Musiała się oczyścić, zanim z powrotem włoży swoje starannie poskładane ubranie.

- On nie wie, prawda? - wyszeptwała, przyglądając się swej owłosionej pazurzastej łapie.

Dlatego musi być wierna prawdziwemu panu. Uldolf nie wiedział, że ona nie jest człowiekiem. Nie widział jej futra, kłów ani pazurów. Co mógł powiedzieć wieśniakom w Mejdânie? Tylko że spotkał w lesie dziewczynkę, która nigdy nie jadła sera.

Doszła do wniosku, że wręcz nie powinna zabijać Uldolfa. Martwy chłopiec z pewnością wzbudziłby w mieszkańcach większy niepokój niż cokolwiek, co mógłby powiedzieć Uldolf. Lilia popatrzyła przez liście na niebo i uśmiechnęła się na tyle szeroko, na ile pozwalała wilcza paszcza.

* * *

On nie przyjdzie.

Próbowała odsunąć od siebie tę myśl, gdy siedziała na porośniętym mchem pniu w lesie za Mejdânem. Przyszła tu bardzo wcześnie rano, zaraz po obudzeniu się. Właściwie to przybiegła, bojąc się, że chłopiec przyjdzie przed nią.

I teraz siedziała sama, a słońce wspinało się na niebo coraz wyżej.

Przypomniała sobie człowieka, który śpiewał Róży w klasztorze. Jej pan go ciężko

ukarał, naprawiając jego winy.

Czy stary pan mógł znaleźć Uldolfa?

Jeśli cię to obchodzi, powiedział ten drugi głos, ranisz siebie.

- Wcale mnie to nie obchodzi - wyszeptwała, wycierając oczy.

Zacząła myśleć o poganach z Mejdânu i o tym, co z nimi zrobi. Jak sprowadzi na nich gniew Boga i jak bardzo zadowolony będzie jej pan.

- Cześć, Lilia!

- Uldolf?!

Proszę, jednak przyszedł, ubrany tak samo jak wczoraj, niosąc na ramieniu taki sam tobołek.

- Czekalaś na mnie?

- N... nie. Niezbyt długo.

- Cieszę się, że cię znalazłem.

Lilia wstała, otrzepując liście z ubrania. Potem zauważyła, że ma krew pod paznokciami, więc schowała dłonie za plecami.

- Czemu?

- Nie mam wielu przyjaciół. Mój tata jest naczelnikiem, więc dzieci nie lubią się ze mną bawić.

Lilia nie rozumiała, o czym chłopiec mówi. Znała słowa „przyjaciół”, „naczelnik” i „zabawa”, ale nie potrafiła zinterpretować zdania Uldolfa w żaden sposób, który miałby dla niej sens. Nie chciała, żeby znowu nazwał ją głupią, więc po prostu powtórzyła:

- Nie lubią się z tobą bawić?

- No wiesz, mój tata rządzi ich ojcami, więc myślą, że ja też będę chciał nimi rządzić. Jeśli mówię im, że chcę coś zrobić, wszyscy chcą robić coś innego. I efekt jest taki, że często bawię się sam.

To Lilia zrozumiała.

- Ja też często jestem sama.

- Hej, chcesz, żebym ci pokazał coś fajnego?

- Tak, pokaż - zgodziła się po krótkim wahaniu.

* * *

Stali na środku koryta płytkiego strumienia, chłodna woda bulgotała wokół ich kostek. Strumień płynął dnem wąwozu, rozdzielał się u podstawy starego dębu, którego gałęzie rozpościerały się w szmaragdowy parasol nad ukrytą sadzawką. W jej powierzchni odbijały

się błękit i zieleń tak intensywne, że aż bolały od nich oczy. Woda szemrała na kamieniach, rechotały żaby i śpiewały ptaki. Lilia czuła zapach kwiatów, mchu i chłodnej wody.

- Podoba ci się? - zapytał Uldolf.

- Tu jest pięknie.

Uldolf podszedł do dębu i oparł się o wielki głąz tuż obok, wysoki jak on.

- Uwielbiam to miejsce.

Ku jej zaskoczeniu położył swój tobołek na szczycie głązu, ledwie w zasięgu rąk, a potem wspiął się na górę. Stał na głązie i obiema rękami chwycił gałąź dębu. Potem odbił się nogami i podciągnął do góry.

- Co robisz?

- To drzewo jest świetne do wspinaczki! - Wspiął się z gałęzi na gałąź.

Lilia pomyślała o drzewie, na którym zawiesiła łośia.

On wie. Naśmiewa się z ciebie.

- Zejdź!

- To ty chodź na górę!

- Co?

- No chodź!

Lilia zacisnęła dłonie w pięści.

- A jeśli nie chcę?

- Mówiłem, że pokażę ci coś fajnego. - Uldolf popatrzył w dół z oszałamiającej wysokości. - Chyba się nie boisz, co?

Jeśli podskoczysz i wbijesz w pień pazury...

Lilia potrząsnęła głową. Uldolf nie miał pojęcia, czym ona jest, i jak długo tak pozostawało, nie będzie musiała go zabić.

- Wcale się nie boję - oświadczyła, patrząc w górę. Drzenie jej głosu zdradziło, że nie mówi prawdy. - Ale jak mam wejść?

Prawie dodała: „nie używając pazurów?”.

- Najpierw wejdź na skałę. W połowie wysokości jest dobre miejsce na podparcie.

Podchodząc do głązu, Lilia przypomniała sobie, jak wspinał się na niego Uldolf. Byłoby łatwo, gdyby przybrała swą prawdziwą postać. Ale w tym małym, słabym ciele? Jak różowymi, pozbawionymi pazurów palcami mogła podciągnąć się na drzewo?

Jej stopy kilkakrotnie ześliznęły się ze skały. Była cała spięta. Uldolf znowu nazwie ją głupią.

- Poradzisz sobie! - zawołał do niej chłopiec. Brzmiało to tak, jakby naprawdę w to

wierzył.

- No dalej - powiedziała do siebie. - Czemu tylko kudłata ma mieć zabawę?

- Co?! - krzyknął z góry Uldolf.

Wymacała palcami dobry uchwyt na nierównej powierzchni głązu i zaskakująco łatwo zdołała się podciągnąć.

Już na szczycie popatrzyła na swoje słabe, różowe dłonie. Jednak nie były całkiem bezużyteczne.

- Świetnie! - zawołał do niej Uldolf. - A teraz podciągnij się na gałąź.

Lilia skoczyła na gałąź, jakby była wilkiem. Jednak zamiast próbować wbić w nią pazury, owinęła ręce wokół gałęzi i zamachem zarzuciła na nią nogi. Po chwili siedziała już okrakiem na konarze.

Odetchnęła z ulgą i wybuchnęła śmiechem.

- Widzisz? Nie potrzebuję pazurów.

- To było ekstra! - zawołał z góry Uldolf.

Zaczerwieniona, oddychając ciężko, nagle się przestraszyła, że on zada jej pytanie o pazury. Jednak najwyraźniej nic nie usłyszał.

- No, chodź tu na górę! - Gestem zaprosił ją na gałąź, na której siedział, nad wodą. Nagle nie miała już wrażenia, że to daleko. Skoczyła, chwyciła gałąź nad głową i zamachnęła się ciałem. Potem zrobiła to jeszcze raz. Przy każdym skoku śmiała się coraz głośniej.

Wszyscy jej panowie, wszyscy nadzorcy zawsze mówili o tym, co potrafiła zrobić kudłata. To właśnie czyniło ją wyjątkową, stanowiło o jej wartości. Tę swoją część musiała ukrywać, część, która potrafiła dokonać czynów wspaniałych, krwawych i brutalnych. Nikt nigdy nie powiedział jej, że to ciało, forma, którą dzieliła z chrześcijanami i poganami, była cokolwiek warta.

Zawisła na gałęzi, machając nogami w powietrzu. Jej serce biło szybko, korony drzew chwiały się wokół. Gdyby teraz się puściła, spadałaby całą wieczność.

- Hej, Lilia! Dokąd?!

Zobaczyła Uldolfa patrzącego na nią z dołu. Tak radośnie się wspinała, że weszła dużo wyżej niż on. Uśmiechał się do niej szeroko.

Przestała się huścić. Może wcale jej nie oszukiwał. Może był przyjacielem. Zwolniła uchwyt i spadła na niższą gałąź, po czym zeskoczyła jeszcze dwukrotnie, by dostać się na konar Uldolfa.

- Rety, jeszcze nie widziałem, żeby ktoś się tak dobrze wspinał!

- Naprawdę? - wydyszała Lilia, próbując opanować oddech.

- Nigdy nie miałem odwagi wspiąć się tak wysoko.
- Widzisz? Nie boję się. - Tym razem już nie kłamała.
- Świetnie. To teraz pokażę ci najlepsze.

Wstał, chwytając się wyższej gałęzi. Kiedy już złapał równowagę, puścił gałąź i ściągnął koszulę przez głowę, po czym zwinął ją w kłębek i rzucił na dół. To samo zrobił z butami. A potem zaczął ściągać spodnie.

- Czekaj... co ty robisz? - Lilia pomyślała o tym, jak starannie ściągała ubranie, zanim się przemieniła. Czy on mógł być taki jak ona?

- Nie chcę zamoczyć ubrania - powiedział już całkiem goły.

Ostrożnie przeszedł po gałęzi. A potem skoczył.

- Juhuuu! - krzyknął, lecąc, po czym uderzył w taflę wody z olbrzymim rozpryskiem. Lilia patrzyła na pofalowaną powierzchnię, aż wyłoniła się z niej głowa Uldolfa. - Chodź! - zawołał.

Poczuła, jak znowu przyspiesza jej serce, ale nie zamierzała przed Uldolfem okazać strachu. Wciąż miała świeżo w pamięci to uczucie, które ogarnęło ją, gdy pochwalił jej wspinaczkę.

Jeśli potrafiła zrobić tamto, mogła zrobić i to.

Zdjęła ubranie i rzuciła je na dół, obok rzeczy Uldolfa. Kiedy to robiła, pomyślała nagle, jak ważne to ubranie wydawało się jej jeszcze wczoraj - prawdziwe ubranie, oznaka aprobaty pana. Jak to się stało, że aprobata tego chłopca stała się dla niej ważniejsza?

Wiatr owiał jej bladą skórę i poczuła gęsią skórkę. Chciała się przemienić, futro by ochroniło przed chłodem... ale było to rozkoszne w sposób, jakiego nigdy nie czuła jako wilk.

Przesunęła się do miejsca, z którego skoczył Uldolf, i popatrzyła na wodę. Fale migotały, odbijając błękit i zielen.

Skoczyła.

Powietrze przemknęło obok niej szybko, przesuając się po skórze i porywając włosy na boki. Wpadła do sadzawki stopami.

Woda wciągnęła ją w mroźne objęcia, zmieniając jej skórę w lód. Lilia jęknęła i nabrała pełne usta wody. Jej ciało nagle zapragnęło powietrza, a nie miała pojęcia, gdzie znajduje się powierzchnia. Uległa panice i czuła, jak ciało zaczyna reagować. Kości z trzaskiem się wydłużały, mięśnie nabrzmiwały na plecach i w rękach, powiększały się szczeka i zęby.

Oszukał nas. Musi zginąć!

Nawet zdezorientowana, z ciałem krzyczącym o powietrze w zimnym mroku sadzawki znalazła w sobie siłę, by zaprotestować:

- Nie! Nie!

W tym płynnym piekle słowa nie były niczym poza kolejnymi bąbelkami. Jednak jej ciało posłuchało polecenia, mięśnie się rozluźniły, kości cofnęły do ludzkiego kształtu. Wysiłek oparcia się przemianie był wyczerpujący. Zaczęła tonąć w głębinie.

Ktoś chwycił ją pod pachami. Po sekundzie głową przebiła powierzchnię. Kaszłała, charczała i wciągała pełne płuca powietrza. Uldolf ją podtrzymał i nawet w wodzie czuła jego strach.

- Nic ci nie jest?

Zamrugła, uświadamiając sobie, że żyje.

- To miało być fajne?! - Oderwała się od niego i znowu zaczęła tonąć.

Chwyciła się jedyne go obiektu w zasięgu ręki, obejmując Uldolfa. Oboje na chwilę zanurzyli się pod powierzchnię, ale on w jakiś sposób zdołał wydobyć ich na górę.

- Boję się - wyszeptała Lilia.

- Przepraszam. Czemu nie powiedziałaś, że nie potrafisz pływać?

- Pływać?

* * *

Uldolf cierpliwie ją uczył. Po południu zebrała się na odwagę, wspięła się i skoczyła jeszcze raz. Tym razem nie spanikowała, zdołała się opanować, machaniem nogami wydobywając się z głębin. Przebiła powierzchnię sadzawki i roześmiała się, wytrząsając wodę z włosów.

- Szybko się uczysz! - rzucił Uldolf, a ona zaczerwieniła się z dumy i ledwie zdołała wyszeptać podziękowanie.

W końcu Uldolf popatrzył na niebo i powiedział, że za chwilę musi wracać do domu. Wyszedł na brzeg i ruszył do głązu.

Lilia pobiegła za nim.

- Naprawdę musisz iść?

Obejrzał się przez ramię.

- Tak. - Odwrócił wzrok. - Dostanę za swoje, jeśli nie wrócę z innymi dziećmi. Mam kawał drogi do tych głupich krów. I muszę wysuszyć włosy.

Usiadł przy podstawie głązu, podciągając kolana do brody. Lilia usiadła obok niego dokładnie w ten sam sposób. Choć było ciepło, zadrzała.

- Chciałabym, żebyś mógł zostać.

- Nie masz pojęcia, jak tata by mnie zbił, gdyby myślał, że próbuję uciec z domu.

Kiwnęła głową.

- Owszem, wiem. Mój pan...

- Hej, mogłabyś pójść ze mną.

- Miałabym kłopoty.

Uldolf namyślał się przez chwilę.

- Nie będziesz miała kłopotów przeze mnie, co?

Patrzył na nią z takim niepokojem i troską, że prawie się roześmiała.

- Nie - zapewniła. - Jeśli mój pan się dowie, chyba jakoś mu wszystko wytłumaczę i zrozumie.

- To dobrze. Nie potrafiłbym tak rozmawiać z moim tatą.

Lilia kiwnęła głową, choć w głębi duszy wiedziała, że to niemożliwe, nic by swojemu panu nie wyjaśniła.

- Uldolf? - wyszeptała.

- Tak?

- Było fajnie.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem. Wcale nie chciałem.

- Wiem.

- No cóż, wyschnąłem już - oświadczył po kilku minutach. Wstał, zebrał swoje rzeczy, otrzepał je i zaczął się ubierać.

Lilia starała się zapamiętać każdą chwilę tego dnia.

Odwrócił się i zobaczył, że wciąż siedzi goła przy kamieniu.

- Może będę mógł przyjść też jutro.

- Chciałabym.

- Mieszkaś gdzieś tutaj?

- Nie. Tylko czekam.

- Na co?

- Na wezwanie mojego pana.

- A wtedy będziesz musiała odejść, prawda?

- Tak.

- Chciałbym, żebyś mogła zostać.

Lilia zamknęła oczy.

- Ja też.

- Do zobaczenia jutro.

Słuchała, jak Uldolf rozchlapuje wodę, idąc wzdłuż strumienia. Gdy jego kroki ucichły w

lesie, siedziała naga, zmarznięta i samotna, próbując nie płakać.

NONA

Anno Domini 1239

Usquequo, Deus, improperebit inimicus?

Irritat adversarius nomen tuum in finem?

Jak długo, Boże, będzie urągał nieprzyjaciel?

Czy wróg na zawsze będzie bluźnił Twemu imieniu?

Psalm 74:10

XIX

Sierżant Günter Sejod doprowadził wieśniaków do Johannisburga krótko po zachodzie słońca. W zamku zgromadzono już kilkuset pruskich mieszkańców Johannisburga i okolicznych gospodarstw. Poza dużym płóciennym daszkiem, pod którym zmieściła się niespełna połowa „gości”, oraz rzędem pośpiesznie wzniesionych wygódek nie zapewniono żadnych innych udogodnień. Tłumu strzegli uzbrojeni ludzie w pancerzach, z których żaden nie nosił charakterystycznego czarnego krzyża zakonu.

Poważnie traktowali swoje obowiązki. Gedim był świadkiem, jak jeden z miejscowych oderwał się od tłumu Prusów. Ubrany był jak kowal i wciąż miał na sobie fartuch, jakby został sprowadzony prosto z kuźni. Działo się to w sporej odległości od wozu, więc Gedim nie słyszał, co ten kowal powiedział do strażnika, widział natomiast, że zaraz otrzymał cios drzewcem włóczni w głowę i padł na ziemię. Potem się już nie poruszył. Kiedy Gedim schodził z wozu, trzech strażników podeszło zabrać powalonego kowala.

- Mamo - wyszeptała za jego plecami Hilda. - Oni skrzywdzili tamtego pana.

- Ciii - syknęła Burthe.

To dzieje się znowu, pomyślał Gedim. Zamierzają podzielić nas na „dobrych” Prusów i „złych” Prusów.

I odniósł wrażenie, że linia podziału będzie obejmować coś więcej niż tylko pokropienie wodą i głośne wyrażenie akceptacji obcego boga.

Pamiętał, jak przed ośmioma laty zakon zgromadził wszystkich, którzy przeżyli masakrę w Mejdanie. Ci, którzy przyjęli chrzest, odzyskali swoje domy - jeśli wciąż stały - oraz ziemię - jeśli jakąś mieli. Ci, którzy odmówili...

Stary kapłan został spalony w świętym ogniu Perkuna, po czym wieczny płomień zgaszono i ścięto święte dęby, by zrobić z nich krzyże do kościoła nowego boga. Wojownicy zostali zabici. Kobiety i dzieci zabrano w niewolę.

Osiem lat temu znał konsekwencje, jakie odmowa miała dla niego i rodziny, więc przyjęcie chrztu nie było dla Gedima trudną decyzją. Nigdy nie był szczególnie uduchowiony i nie miało dla niego znaczenia, do kogo powinien się modlić. Chrześcijanie zrobili Prusom krwawą łaźnię i wygrali, a Gedim zaakceptował fakt, że jego rodzina będzie oddawać cześć bogu zwycięzców. Teraz się zastanawiał, jakiej ceny chrześcijanie zażądają od niego tym

razem.

* * *

Krótko po dzwonie na nieszpory w tłum weszło trzech mężczyzn mających na sobie białe lniane płaszcze z czarnym krzyżem zakonu. Nieśli kosze i metodycznie rozdawali chleb. Gedim poczuł się dotknięty postawieniem go w pozycji żebraka przyjmującego jałmużnę od Niemców, ale nie na tyle, by odmówić jej przyjęcia, gdy rycerz wyciągnął w jego stronę połowę bochenka. Miał córkę, a to było ważniejsze od dumy.

Podał chleb Hildzie. Ten Krzyżak wydawał mu się znajomy.

- Podziękuj panu - zwróciła się do córki Burthe.

- Dziękuję, panie - powiedziała Hilda ze wzrokiem spuszczonego na ziemię.

- Proszę bardzo, dziecko - odpowiedział rycerz. Popatrzył na Gedima i Burthe. Na jego twarzy pojawił się wyraz namysłu.

Gedim nagle go rozpoznał. Ten rycerz wcześniej przybył do ich gospodarstwa, szukał Lili.

- Jak się ma twoja chora córka? - zwrócił się rycerz do Burthe. - Nie widzę jej tutaj.

- Zmarła - odpowiedział Gedim i pomyślał: Na Chrystusa, naszego Boga, przyjmij tę odpowiedź i idź sobie.

- Przyjmij najszczerze wyrazy współczucia i mam nadzieję, że nie cierpiała, odchodząc do Pana w pokoju.

- Dziękuję, panie.

- Pamiętam was, ale wybaczcie, nie pamiętam waszych imion.

- Jestem Gedim, a to moja żona Burthe.

Rycerz kiwnął głową, lecz nie odchodził. Gedim zerknął w bok i zauważył, że pozostali rycerze zwrócili uwagę na zatrzymanie się towarzysza.

- Miło znów was widzieć. - Rycerz przyklęknął przed córką Gedima. - A jak ty masz na imię, dziecko?

- Hilda. - Dziewczynka przytuliła się do mamy.

- To bardzo ładne imię. - Uśmiechnął się. - Możesz mi powiedzieć, jak miała na imię twoja starsza siostra?

- Panie - odezwała się Burthe - ona wciąż jest wstrząśnięta naszą stratą.

- Rozumiem, jednak to bardzo proste pytanie. - Rycerz ujął Hildę za podbródek. - Możesz mi podać jej imię, prawda?

- Lilia. Miała na imię Lilia.

Puścił Hildę i wstał.

- Myślę, że Bóg najbardziej ze wszystkich kocha dzieci, bo nie znają przebiegłości. -
Pozostali Krzyżacy zaczęli przeciskać się do nich przez tłum. Rycerz popatrzył kolejno na
wszystkich członków rodziny. - Lilia to dość niezwykle imię, nieprawdaż?

Gedim przesunął się między niego a Hildę.

- Proszę - wyszeptał - nie krzywdźcie mojej córki.

- Z was wszystkich tylko ona mówiła prawdę. Nie martw się o nią, lecz o siebie.

Po chwili otoczyło ich czterech rycerzy zakonu.

* * *

Hilda nigdy jeszcze nie widziała wystraszonego taty. Nie rozumiała, co się stało, gdy tata
stanął między nią a dużym mężczyzną z brodą, ale kiedy mężczyzna chwycił tatę za ramię,
krzyknęła:

- Zostaw go!

Pobiegła w stronę rycerza. Usłyszała, jak mama woła jej imię, ale potrafiła myśleć tylko o
tym, że tata się boi, bo ona powiedziała coś niewłaściwego.

- Zostaw go! - Uderzyła mężczyznę w nogę z całej siły, aż rozbolą ją pięść.

Rycerz upuścił koszyk, kawałki chleba rozsypały się wokół. Biła go, zagryzając wargę,
ze łzami spływającymi strumieniami po policzkach.

- Hilda, nie! - krzyknął tata.

Duża dłoń chwyciła jej rękę i odciągnęła szarpnięciem.

- Tatusiu! - krzyknęła Hilda. Mężczyzna, który ją złapał, podniósł ją z ziemi, obejmując
odzianą w kolczugę ręką tak ciasno, że zabolą.

- Będiesz szanować starszych, dziecko. - Jego słowa trudno było zrozumieć. Uznałaby to
za śmieszne, gdyby nie była tak bardzo wystraszona.

Odwrócił się i zaczął ją gdzieś nieść. Usłyszała, jak drugi mężczyzna krzyczy coś do jej
rodziców. Tata odkrzyknął coś w odpowiedzi, ale przerwało mu głośnie uderzenie.

- Przepraszam - wyszeptała Hilda przez łzy. - Proszę, nie zabieraj mnie.

Niosący ją mężczyzna nie słuchał.

* * *

Burthe próbowała złapać córkę, ale Hilda była za szybka. Na szczęście atak Hildy
wywołał jedynie rozbawienie na twarzy rycerza. Burthe chciała zakończyć to, zanim Hildzie
stanie się krzywda, jednak inny rycerz złapał dziewczynkę, zanim matka do niej dobiegła.

- Nie! - krzyknęła Burthe, a mężczyzna wymamrotał coś z niezrozumiałym, niemieckim akcentem.

Rycerz wziął Hildę na ręce i odszedł.

- Oddaj moją córkę! - Burthe próbowała biec za nim, ale drogę zablokował jej kolejny rycerz.

- Oddajcie ją, cholerne niemieckie dranie! - wrzasnął Gedim i uderzył trzymającego go rycerza.

Burthe jęknęła głośno.

Uderzenie Gedima wyprowadzone zostało z dużą siłą i umiejętnością. Burthe zobaczyła na policzku rycerza strużkę krwi.

Gdy rycerz wyciągnął sztylet, nagle odzyskała głos.

- Nie! Nie krzywdź go! - Skoczyła w ich stronę, ale zatrzymały ją w miejscu ręce osłonięte kolczugą.

Rycerz walnął rękojęścią sztyletu Gedima w skroń. Powalił jej męża na kolana. Kopnął w twarz.

- Ty przekłety...!

- Opanuj się, kobieto! - Rycerz podniósł ostrze sztyletu w jej stronę, czubkiem skierowanym w jej gardło. - Nie pogłębiaj swoich grzechów. Twojej córce nic się nie stało, a twój mąż przeżyje. Bądź rozsądna.

Gedim twarz miał zalaną krwią, a jedno oko już mu spuchło. Burthe miała problem ze złapaniem oddechu.

Rycerz sztyletem wskazał w stronę twierdzy.

- Zabierz ją do celi. - Następnie zwrócił się do jednego z żołnierzy pilnujących zebranych na dziedzińcu Prusów. - A ty pomóż mi z jej mężem.

* * *

Gedim ocknął się i pomyślał: To nie była najmądrzejsza rzecz, jaką zdarzyło mi się zrobić.

- Burthe? Hilda?

Mówienie bolało. Usta miał spuchnięte, popękane. Ruchy szczęki powodowały ból w prawej stronie twarzy, a właściwie całej głowy.

Najbardziej bolesny był fakt, że nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Spróbował otworzyć oczy, ale zareagowało tylko prawe. Kamienny łuk w górze odbijał migotliwe światło latarni.

Mimo bólu spróbował dźwignąć się z ziemi. Usłyszał metaliczny grzechot. Jego nogi zostały w kostkach przykute do ciężkiego łańcucha. Dotknął swojej twarzy. Lewa strona była nabrzmiąta i zalana krwią.

Był w małej kamiennej celi. Latarnia przeświecała przez kwadratowe okienko w drzwiach.

Doszedł do wniosku, że tym razem będą chcieli od niego czegoś więcej niż chrzest.

* * *

Günter otworzył celę. Choć znał człowieka, którego chciał odwiedzić, wciąż czuł się niepewnie tu, na dole. Bestia uciekła stąd siedemnaście dni temu.

Gedim wyglądał paskudnie. Koszulę miał zalaną krwią, a lewa strona jego głowy była zniekształcona i spuchnięta.

Günter westchnął.

- Czemu zrobiłeś coś tak głupiego?

- Dranie zabrały moją córkę. - Gedim splunął krwią. Z jego spuchniętych ust spłynęła mała strużka, ściekając mu po policzku. Podniósł rękę, by ją zetrzeć, ale tylko rozmazał ją po całej twarzy.

- Wcale nie o tym mówię.

Gedim popatrzył na niego jednym okiem, drugie było bardzo zapuchnięte. Milczał.

- Musisz nam powiedzieć, gdzie ona jest.

- Kto?

Günter potarł czoło.

- Daj spokój, Gedim. Twoja córka podała im jej imię. Co ty w ogóle wiesz o Lilii?

- Kto to jest Lilia?

- Dość tego! - Günter schylił się, chwycił Gedima za bluzę, dźwignął na nogi i uderzył nim ciężko o ścianę celi. - Myślisz, że chodzi tylko o ciebie i twoją rodzinę? To coś, co chronisz, zamordowało szesnastu moich ludzi! Chcesz, żebym ci to opisał? Jak wyrwała Manfredowi rękę z barku, jak rozerwała Jacoba na części albo wyszarpnęła Uliemu szczękę?

Gedim patrzył na niego z szeroko otwartym prawym okiem.

- Czy ty rozumiesz, że każdej nocy to coś mogło urządzić sobie ucztę z wnętrzości twojej córki lub żony? Ale co najgorsze... wiesz, czemu spędzili tu wszystkich Prusów pozostałych po upadku Mejdânu?

Gedim potrząsnął głową.

Günter puścił go i zrobił krok do tyłu. Gedim opadł na kolana.

- Tutaj nie rządzi już zakon. Mamy tu teraz biskupa z Rzymu. Biskupa, który wierzy, że zakon nie dość starannie chrystianizował pogan. Biskupa, który przybył tu z przekonaniem, że ten potwór, twoja Lilia, został uwolniony przez pruskich powstańców.

- Nie. - Gedim potrząsnął głową.

- Dałeś mu dokładnie to, czego szukał, ty durniu. Naprawdę myślałeś, że wysłali rycerzy zakonu, by szukali kogoś... czegoś zwykłego? Lepiej zacznij się zastanawiać, co powiesz, gdy zaczną cię przesłuchiwać inkwizytor, bo jeśli powiesz choć jedno niewłaściwe słowo, wymorduje wszystkich Prusów w Johannisburgu.

XXII

W gospodzie Uldolf siedział na krześle i przyglądał się śpiącej Lili. Na pryczy nie było miejsca na dwie osoby, zresztą Uldolf nie mógłby spać.

„Nie pamiętasz?” - powiedziała.

- Czego nie pamiętam? - wyszeptał. Sięgnął w górę i potarł zagłębienie, którym kończył się jego prawy bark. A co powiedziała w jaskini, gdy zadał jej pytanie o jej przeszłość? „Lepiej nie pamiętać”.

Myślał o tym, co czuł do niej, od kiedy to powiedziała. Nie była kaleką jak on, ale odniosła jakieś ciężkie rany. Może dlatego dręczyły go coraz silniejsze przebłyski wspomnień i koszmary senne, może wyczuwał, że nie zdoła jej pomóc, jeśli wciąż nie potrafi poradzić sobie z własną przeszłością.

Wiedział, że ona też zмага się z demonami, tak jak on. Ale była silna. Zdumiewające, nie minął nawet miesiąc od chwili, gdy ją znalazł prawie martwą, a teraz już mówiła więcej niż on po roku od utraty ręki.

Nie mógł o tym myśleć dłużej. W tej chwili najważniejszy był los rodziców i Hildy. Zabrali ich Niemcy. Jeśli Lankut miał rację, będą szukać spisku, planów powstania.

A jeśli tak naprawdę chcieli jedynie znaleźć syna Radwena Seigsona? Może jeśli sam się do nich zgłosi, puszcza jego rodzinę?

Tylko co wtedy z Lilią?

Musiałby najpierw wyprowadzić ją z Johannisburga, dopiero potem spróbować przekonać Niemców, by zgodzili się wymienić go na jego rodzinę. Gdyby zdołał przemknąć się z nią przez bramę o świcie, zaprowadzić ją do lasu...

Zaczynała go ogarniać coraz większa desperacja. Nie mógł tak po prostu zaprowadzić Lili do lasu i zostawić. Był za nią odpowiedzialny.

Co miał zrobić?

Wtem coś usłyszał. Śpiew? Lilia cichutko śpiewała kołysankę.

Matka ochroni swe dzieci,

Gdy przyśni się straszny ci sen...

Gdzie on to już słyszał? Nagle przebiegł go zimny dreszcz. Znał ten głos, znał słowa...

Dziewczynka, przypomniał sobie. Dziewczynka tuż przed...

- Ona miała na imię Lilia - wyszeptał, patrząc na twarz Lilii.

Jak mógł ją zapomnieć? Jak mógł zapomnieć o dziwnej dziewczynce, z którą bawił się w lesie? To było jego najlepsze wspomnienie z czasów, zanim jego życie zostało rozerwane na strzępy.

Czemu o tym zapomniał?

Wyciągnął rękę i odsunął włosy z jej policzka.

- Czemu wróciłaś?

Lilia zamrugnęła i popatrzyła na niego.

- Ulfie?

- Lilia. - Uśmiechnął się do niej. - Przypomniałem sobie ciebie. To byłaś ty, ta dziewczynka w lesie.

Szeroko otworzyła oczy i usiadła. Jej oczy lśniły łzami. Potrząsnęła głową, jakby próbowała zaprzeczyć.

- Czy dlatego znalazłaś się przy sadzawce? Szukałaś mnie?

- Ja... ja... - Dłonie zacisnęła w pięści, wbijając je w pryczę. Oddychała spazmatycznie, jej plecy się zatrzęsły.

Uldolf usiadł na pryczy obok niej.

- Co się stało?

- N... nic.

- Co?

Objęła go.

- Nie pamiętaj. Proszę, nie przypominaj sobie.

- Czemu? - Sięgnął do jej podbródka i podniósł jej twarz, wtuloną w jego pierś.

Popatrzyła mu w oczy i zagryzła wargę. Nic nie powiedziała.

- Czemu miałbym nie pamiętać?

- Ja... ja... - Znowu go objęła, przytuliła się do jego piersi.

- Lilia?

Dotknęła jego policzka, patrząc mu w oczy.

- O co chodzi, Lilia?

- Kocham cię, Uldolf.

Nagle coś w jej głosie i wyrazie twarzy uległo zmianie.

Uldolf długo się jej przyglądał - kaskadzie zafarbowanych na czarno włosów

spływających na ramiona, krzywiźnie szyi, delikatnym kreskom ledwie wygojonych ran w miejscach, gdzie zacięła się srebrnym sztyletem, nabrzmiałej, lekko drżącej dolnej wardze, wilgotnym policzkom, jarzącym się zielonym oczom...

- W takim razie czemu płaczesz?

Odwróciła się.

- Bo ty nie możesz mnie kochać.

Zaczęła wstawać, ale Uldolf ją chwycił, ściągając z powrotem do siebie.

- Na wszystkich możliwych bogów, czemu nie?

- Twoja rodzina, ja...

- Poradzę z tym sobie. To nie twoja wina.

- Nie, nie rozumiesz...

- Chcesz mnie?

- Co?

- Chcesz mnie?

Potrząsnęła głową.

- Nie pytaj.

- Odpowiedz! - Chwycił jej rękę.

Pchnęła go na łóżko z siłą, którą wykazywała na rodzinnym polu. Taką siłę widział u niej lata temu, gdy wspinała się na dąb niczym wiewiórka.

Przez jego umysł przemknął obraz śladów pazurów na pniu drzewa, świeżych białych blizn krwawiących sokiem...

- Tak! - krzyknęła. - Chcę cię. My cię chcemy! - Opadła na niego w drapieźnym pocałunku niczym wygłodniałe zwierzę rzucające się na ofiarę. Uldolf przyciągnął ją do siebie, otwierając usta i poddając się jej desperacji.

Gdy oderwała od niego twarz, obojgu brakowało tchu.

- Ja też cię chcę - wyszeptał Uldolf.

Na ustach Lilii pojawił się smutny uśmiech i potrząsnęła głową.

- Nie, wcale nie.

Przesunął palcem po obrysie jej warg. Zadrzała.

- Proszę, przestań.

- Czemu?

- Bo nie mogę...

Dłoń Uldolfa sunęła dalej, śledząc kształt jej ramienia, wzdłuż boku...

Gwałtownie wciągnęła powietrze, ale nie próbowała się odsunąć. A gdy sięgnął po jej

bluzę, pomogła mu, zdzierając z siebie ubranie z tą samą gorączkową gwałtownością, z jaką chwilę temu go pocałowała. Potem ściągnęła z niego ubranie, wzbudzając w jego ciele tę samą, rozpaloną do białości żądzę.

Zaatakowali się jak w walce na śmierć i życie, jakby każdy oddech mógł być ostatnim. Spodziewał się czegoś wolniejszego, delikatniejszego, zwłaszcza gdy poczuł, jak rozrywa jej błonę dziewiczą. Poczuł, jak jej ciało się spina, jednak w odpowiedzi stała się jeszcze dziksza, zwiększając siłę uścisku i wciągając go w coś krwawego, zwierzęcego i wyuzdanego, gdzie nie było już miejsca na żadną myśl.

* * *

Co my robimy?

Ta myśl zawisła gdzieś w głębi jej umysłu, gdy cała reszta jej istoty łapczywie pożerała wszystko, co dawał Uldolf. Próbowwała udawać, że pożądanie, że pragnienie go było zbyt silne, by je opanować...

Jednak część jej myślała: Chcemy tego.

Druga odpowiadała: Nie możemy.

Ze wszystkich, którzy kiedykolwiek to od niej brali, Uldolf był jedynym, który na to zasługiwał. Był jedynym, któremu chciała to oddać. Całkiem się zatraciła.

W tej chwili liczyło się jedynie to, że Ulfie jej pragnął. Uldolf jej chciał. Pomimo wszystko chciał jej.

On nie wie, on nie pamięta...

My też możemy zapomnieć...

Jakaś jej część wiedziała, że to błąd, że on wciąż jej nie zna, nie rozumie, co zrobiła. Jednak nie była dość silna, by go powstrzymać, była zbyt słaba, by odmówić tego, o co prosił.

- Ja też cię chcę - powiedział.

Je obie.

W całości.

Czegokolwiek chciał, cokolwiek z tego wynikło, oddała mu się. A on ją wziął. I poza tym emocjonalnym wirem rozbijającym ją do głębi duszy pokazał jej, że w tym akcie mogło chodzić o coś więcej niż poddanie się, władzę i brutalność.

Oddała się Uldolfowi, ale Uldolf także oddał się jej.

Jęknęła i przyciągnęła go do siebie, gdy przez jej ciało przetoczyła się pierwsza, niespodziewana fala. Zadygotała, a jej myśli rozpadły się pod siłą orgazmu.

Oddał się nam.

Znowu go skrzywdzimy.

Nie skrzywdzimy go nigdy.

Tak!

Nie!

Lilia wygięła plecy pod nim, obejmując go nogami w talii.

- Ulfie!

* * *

Leżeli bez ruchu jeszcze bardzo długo. Uldolf czuł się, jakby bogowie na zmianę wytrząsali jego ciało, aż wszystkie jego kości się rozplynęły. Lilia wyglądała na wyczerpaną, leżała z zamkniętymi oczami, z twarzą błyszczącą potem.

Uldolf przetoczył się na bok na tyle, na ile pozwalała wąska prycza.

- Co myśmy sobie myśleli?

Lilia zamrugała i obróciła się w jego stronę.

- Kocham cię, Uldolf.

- Wspomniałaś już o tym. - Położył głowę obok niej. - Ja też cię kocham.

XXIII

Gedim nie spał. Czuł się całkiem bezradny. Nie było mowy, by jego rodzina mogła się jakoś z tego wywinąć. Obecna sytuacja nie przypominała upadku Mejdânu, kiedy zwycięzcy zadowolili się przysięgą lenną i wyznaniem wiary. Wybór był wówczas ponury, jednak istniał jakiś wybór.

Teraz Gedim nie mógł zrobić nic, by odsunąć nadciągający koszmar. Słowami nie mógł niczego zmienić. Sierżant Günter oszukiwał samego siebie - w końcu pracował dla bezlitosnych chrześcijan.

Biskup z Rzymu nie będzie dbał o to, co powie Gedim, niezależnie od sposobu wydobycia z niego zeznań. Gedim przeżył dość, by wiedzieć, że jeśli ten człowiek przybył do Johannisburga w poszukiwaniu pruskiego spisku, to go tu znajdzie.

Nie wiedział, czy sierżant powiedział prawdę o Lilii. Jednak pomimo ogarniającej go rozpaczki zdawał sobie sprawę, że prawda w tej kwestii nie ma już znaczenia.

W swoim sercu odnalazł niespodziewaną nadzieję, że ta historia jest prawdą. Jeśli mieli go zabić wraz z rodziną, chciał, by spadł na nich gniew starego boga. Oby Pikuolis zacisnął szarą dłoń na ich gardłach, wciągnął ich pod ziemię, do grobów. Jeśli Lilia była takim potworem, niech jej gniew spadnie na nich wszystkich. Niech poczują jego ból.

Strażnicy otwarli drzwi celi na krótko przed świtem. Podnieśli go z ziemi i wyprowadzili na korytarz. Nie znał ich. Obaj mieli blade skóry i wąskie twarze Niemców.

To nie było już pruskie miasto rządzone przez Niemców. Teraz było to niemieckie miasto z niewygodnymi pruskimi mieszkańcami.

Dwaj Niemcy przeprowadzili go przez podziemia twierdzy do salki oświetlonej przez dwie pochodnie wstawione w uchwyty na dalszej ścianie. Było tu co najmniej trzech ludzi, ale Gedim nie miał możliwości im się przyjrzeć, ponieważ strażnicy przyparli go twarzą do muru.

Ktoś odezwał się niewyraźnie po niemiecku. Gedim znał ten język bardzo słabo, jednak mówiący tak zniekształcał słowa, że w ogóle nie można ich było zrozumieć.

- Nie rozumiem - powiedział własną wersją kulawego niemieckiego.

Jeden z trzymających go ludzi pchnął go na ścianę, wzbudzając falę bólu w zranionej twarzy.

- Jesteś Gedim, syn Lothara, brat reiksa Radwena Seigsona z Mejdânu? - zabrzmiał znajomy głos.

- Do diaska, Günter! - warknął po prusku, plując krwią na ścianę. - Przecież wiesz, kim jestem.

- Odpowiedz tak lub nie.

- Tak! - Kiedy mówił, jego wargi ocierały się o nierówne kamienie.

Günter powtórzył jego odpowiedź po niemiecku.

Ktoś z tyłu odciągnął jego ramiona i związał nadgarstki, a człowiek z fatalnym obcym akcentem powiedział coś jeszcze. Günter przetłumaczył głosem tak bezbarwnym, jakby dyktował list.

- Twoje gospodarstwo leży na zachód od Johannisburga i są to ziemie zostawione ci po chrystianizacji Mejdânu?

- Tak. - Potwierdzenie było prawie jękiem, bo równocześnie szarpnięto go za ręce do tyłu i do góry. Usłyszał za sobą jakieś szelesty. Obejrzał się i zobaczył, że ktoś przerzuca linę przez hak wmurowany w sufit.

Znowu niezrozumiałe słowa po niemiecku, ponownie przetłumaczone przez Güntera.

- Przyjąłeś chrzest i naszego pana Jezusa Chrystusa?

- Tak.

- Czy wciąż oddajesz cześć pogańskim bożkom Perkunowi, Patrimpasowi lub Pikuolisowi?

- Nie.

Linę napięto i jego całe ciało spięło się w potwornym bólu, gdy za ręce podciągnięto go do góry na linie krępującej nadgarstki.

W jego uszach zabrzmiał krzyk w fatalnej niemczyźnie. I z oddali dobiegły go słowa Güntera.

- Kłamstwa nie zmniejszą twojego cierpienia. Mów prawdę. Wyznajesz fałszywych bogów? Czy składasz ofiary ich bożkom?

- Nie. - Gedim ledwie zdołał wydusić z siebie odpowiedź.

Linę szarpnięto ponownie. Jego stopy oderwały się od ziemi, ciałem uderzył w ścianę. Z przerażającą jasnością poczuł, jak kości jego rąk wrywają się ze stawów. Stracił świadomość.

Potem świat powrócił. Gedim dotknął stopami ziemi i bezwładnie poleciał na ścianę, zlany potem, łapczywie chwytając powietrze. Z bólu nie mógł się ruszyć.

- Wyznaj swoją wiarę w bożków - przetłumaczył Günter i tym razem dodał słowo od

siebie: - Proszę.

- Czemu miałbym zmniejszyć ciężar na twojej liżącej dupy duszy?

Lina się napięła i Gedim znowu stracił świadomość.

* * *

Zimna woda wylana na jego plecy była niczym lód, przywróciła go do przytomności, wzbudzając ból w ramionach.

- Przyznaj się do czczenia bożków. - Tym razem Günter nie tłumaczył, słowa po niemiecku zostały wypowiedziane powoli i na tyle uważnie, że Gedim zrozumiał.

Splunął.

- Niech sam Pikuolis zabierze twoją wrzeszczącą duszę w otchłanie piekła.

Przez chwilę panowała cisza. Wciąż obecny Günter przetłumaczył jego słowa.

- Oddaje cześć Pikuolisowi, panowi zmarłych.

Gedim zwiesił głowę. Żał mu było sierżanta. Günterowi wciąż się zdawało, że zdoła poprawić jego sytuację.

Znowu słowa po niemiecku, tym razem zbyt szybkie, by je zrozumiał.

- Prawda doprowadzi do końca cierpienia - powiedział Günter. - Opowiedz nam teraz o stworze zwanym Lilia i jak się z nią skontaktowałeś.

Naciągnęli linę, nie na tyle, żeby stracił świadomość, ale dość, by przypomnieć mu, jakie to bolesne.

Nic im nie powiedział. Prędzej by się zabił, niż wyznał im prawdę.

Jednak nie mógł się zabić, a gdy jego stopy oderwały się od ziemi, pragnienia przestały już mieć jakiegokolwiek znaczenie.

XXIV

Z okna w swoim pokoju Uldolf patrzył, jak świt rozjaśnia srebrem skrawek nieba widoczny między stajnią a gospodą. Ciemnogrnatowe niebo z wolna stawało się lawendowe od wschodniej strony uliczki.

Wkrótce otworzą bramy.

Lilia spała owinięta kocem, spod którego wysunęła lewą nogę. Dzielił czas między przyglądanie się niebu, patrzenie na jej twarz i przesuwanie spojrzeniem wzdłuż nagiej nogi od kostki po udo.

Co dziwne - a może wcale nie - nie patrzył na nią ze szczególnym pożądaniami. Bardziej z fascynacją, jak przyglądałby się wyjątkowo pięknemu zachodowi lub na kwiecistą łąkę w dzień ze szczególnie błękitnym niebem, lub jak czasem patrzył na sadzawkę przy dębie, którą pokazał jej tak dawno temu. Miała w sobie piękno, ale było też w niej coś jeszcze. Przemykało się na skraju jego umysłu, jakby dostrzegał tylko migotliwą powierzchnię wody. Pod tą powierzchnią kryło się coś mrocznego, zimnego, groźnego...

- Bzdura - wyszeptał.

Lilia się poruszyła.

- Ulfie?

Kim ona jest? Uśmiechnięta jak dziecko, słodka dziewczyna patrząca na niego teraz z łóżka? Czy też tą zimną, nieszczęśliwą...

Obie mówiły, że go kochają.

- Ulfie? - powtórzyła. Popatrzył na nią, a uśmiech, który mu posłała, za nic nie wyglądał na dziecinny. Pozwoliła, by z jej ramienia zsunął się koc, czym bardzo mocno odwróciła jego uwagę od kłopotów.

- Niedługo musimy iść - powiedział. Podał jej ubranie. Gdy sięgnęła po nie, pozwoliła, by koc zupełnie odsłonił górną część jej ciała.

Gdy wstała, Uldolf znowu wyjrzał przez okno.

- Wyjdziemy przez bramę. Gdy będziesz już bezpieczna, wrócę tutaj.

Poczuł jej dłoń na swoim ramieniu.

- Wiesz, że muszę coś zrobić dla rodziców i Hildy.

Dłoń na jego ramieniu zeszywniała.

- Ja... ja... wiem.

- Rozumiesz mnie, prawda?

- Rozumiem.

Puściła go, ale zanim się odwróciła, chwycił ją za rękę i przyciągnął z powrotem do siebie.

- W takim razie wiesz, że o tobie też nie zamierzam zapomnieć - wyszeptał i pocałował ją.

Odsunęła się z dziwnym wyrazem twarzy. Czy powiedział coś niewłaściwego?

* * *

- To wcale nie będzie takie proste - wyszeptał Uldolf.

Stali razem w tym samym miejscu, w którym Uldolf poprzedniego wieczoru obserwował główną bramę. Zamierzał wymknąć się o świcie - ale wczoraj jedynym strażnikiem był Lankut, a tego ranka towarzyszyło mu dwóch dodatkowych. A ci nowi nie byli Prusami.

Kiedy się im przyglądał, do jednego z wartowników podszedł mężczyzna noszący czarny krzyż zakonu i zaczął z nim rozmawiać.

Uldolf ścisnął rękę Lili.

- Coś wymyślę.

Wspiąć się na mur otaczający wioskę? Dziewczyna wciąż potrafiła się wspinać tak jak w dzieciństwie, lecz on już nie. Wrócić do gospody? Ale musiał uwolnić rodzinę. Zostawić Lilię w gospodzie i działać samemu? Zbyt niebezpieczne.

Wciąż nie sprzedał sztyletu i obroży. Musiały być sporo warte. Przez cały dzień bramą wjeżdżały i wyjeżdżały wozy. Za srebro ktoś zgodzi się ich ukryć na wozie i wywieźć.

- Chyba już wiem, co musimy zrobić.

Poprowadził Lilię wąską uliczką z dala od głównej drogi. Musiał jakoś zapewnić dziewczynie bezpieczeństwo. Może właściciel gospody zna kogoś, kto ich przesmugluje poza mury Johannisburga.

Wędrowali skomplikowaną trasą przez boczne uliczki. Tuż przed ostatnim zakrętem prowadzącym do gospody Lilia gorączkowo chwyciła go za rękę. Miała szeroko otwarte oczy, rozdęte nozdrza i gwałtownie potrząsała głową.

- Ulfie, nie! - Próbowała odciągnąć go z powrotem w stronę, z której przyszli, jak najdalej od gospody. - Oooni idą! Idą!

Teraz i on usłyszał dudnienie butów w uliczce.

Cofnęli się, ale było już za późno. Przed wyjściem ich uliczki pojawiło się czterech ludzi.

Jeden z nich miał na sobie czarny krzyż zakonu.

Uldolf pchnął Lilię do tyłu.

- Uciekaj! - szepnął gorączkowo, po czym uklonił się rycerzowi i jego świecie. - Witam, panie.

Rycerz obejrzał go z góry na dół.

- Jak się nazywasz?

- Jestem Uldolf.

- A z jakiego to powodu zakradasz się za stajnie o tak wczesnej porze?

- Mam wynajęty pokój w gospodzie zaraz obok.

Jeden z Niemców powiedział coś, czego Uldolf nie zrozumiał. Rycerz zerknął na tamtego mężczyznę, po czym z powrotem przeniósł wzrok na Uldolfa.

- Zastanawia się, czy wolisz wchodzić do środka przez okno.

Uldolf usłyszał cichy okrzyk Lili i odwrócił się w jej stronę.

Próbowała uciekać, ale zbyt późno. Z przeciwnej strony podeszło jeszcze dwóch zbrojnych. Złapali ją.

Uldolf ruszył w ich stronę, zanim zdążył się zastanowić, co robi.

Rycerz chciał go zatrzymać, ale sięgnął od strony kalekiego ramienia i chwycił tylko za pelerynę i pas torby.

- Ulfie, nie! - krzyknęła Lilia, gdy szarpnięty Uldolf poleciał na plecy w błoto u stóp rycerza. Zawartość torby rozsypała się na ziemi wokoło.

Gdy Uldolf podniósł się na nogi, zobaczył, jak rycerz wyciąga z błota sztylet.

Srebrny sztylet.

XXV

Wszystko działo się za szybko, by Lilia mogła się zorientować w wydarzeniach. Wciąż była oszołomiona po zeszłej nocy.

Uldolf - Ulfie - powiedział, że ją kocha.

Kocha ją!

Nadzieja była uczuciem, którego nie potrafiła zrozumieć - żadna z nich. Myśli przeskakiwały między dwiema osobowościami tak często, że trudno jej było się zorientować, która je formułuje. Szła prowadzona przez Uldolfa, prawie nie zwracając uwagi na to, co się dzieje.

Musiała mu powiedzieć. Nie mogła mu powiedzieć. Nie, musiała powiedzieć mu wszystko, niezależnie od tego, jak bolesne to będzie. Jednak wypowiedzenie tych słów teraz z pewnością wszystko zniszczy. Ale jak mogła odmówić mu prawdy?

Lepiej było nie pamiętać.

A czy naprawdę mogła zapomnieć?

Wyczuła zbliżanie się Niemców zbyt późno. Zbyt późno wykrzyczała swoje żalosne, niepewne ostrzeżenie.

Ulfie kazał jej uciekać.

Jednak ona się zawahała, nie chcąc go opuszczać. Zawahała się na dość długo, by dwóch Niemców zaskoczyło ją i chwyciło za ręce. Potem rycerz złapał Ulfiego i szarpnął na ziemię, rozdzierając jego pelerynę i torbę.

A teraz rycerz trzymał coś w dłoni i Lilia zamarła.

Sztylet.

Ten sztylet.

Sztylet, którego użyła...

Potrząsnęła głową, czując zbierające się w oczach łzy. Nie! To nie moja wina. Wcale nie!

Rycerz dźwignął Uldolfa z ziemi. Walnął nim o ścianę budynku. Dwaj Niemcy podbiegli, żeby go tam przytrzymać.

- Skąd masz ten sztylet?

- Znalazłem go.

Rycerz zmienił chwyt na broni i walnął Uldolfa w bok twarzy głowicą, rozdzierając

policzek. Popłynęła krew.

- Nie!!! - wrzasnęła Lilia.

- Nie kłam - warknął rycerz.

- Byłem... - Uldolf wypluł mieszaną krwi i śliny. Resztki pozostały na jego wargach i spłynęły na podbródek. - Polowałem. Znalazłem to w lesie.

Rycerz znowu go uderzył. Lilia miała wrażenie, jakby te ciosy zadawano jej. Wolałaby, żeby tak było. Ona szybko by po nich ozdrowiała.

Zamknęła oczy, a w jej głowie rozległ się krzyk: Pomóż mi!

Pomóż nam!

Poszukała tej drugiej, gorączkowo próbując wyciągnąć swoją odważniejszą część z chaosu w głębi jej umysłu. Ta druga mogła uratować Ulfiego... uratować Uldolfa.

Uldolf znowu splunął krwią, która rozprysła się na białej opończy Krzyżaka. Rycerz uderzył go pięścią w brzuch, powalił na kolana...

Wściekłość Lili przelała się w końcu przez strach i zmieszanie.

- Natychmiast przestań!

Wszyscy znieruchomieli, obrócili się do Lili, słysząc w jej głosie nagły władczy ton.

Już się nie szarpała. Stała z rozsuniętymi rękami, jakby nawet nie zauważała trzymających ją mężczyzn. Spod zafarbowanych na czarno włosów patrzyła na nich zimnymi, bezlitosnymi zielonymi oczami.

- Odejdźcie teraz - powiedziała. - Póki jeszcze możecie.

Strach na ich twarzach sprawił, że się uśmiechnęła.

Nie zdziwiła się, gdy rycerz krzyknął:

- To bestia! Użyjcie srebra, zabijcie ją!

Dwaj trzymający ją zbrojni mogli usłyszeć jej śmiech na chwilę przed tym, jak opadła przed nimi na kolana. Trzymali ją za ręce i gwałtownie pociągnęła ich do przodu. Jej ramiona zrobiły się szersze i bardziej umięśnione. Zmarszczyła nos na wydłużającej się paszczy, czując kwaśny zapach ludzkiego strachu.

Jej bluza rozdarła się, gdy zatopiła pazury w szyjach mężczyzn, którzy ją wcześniej złapali. Niemcy stojący bliżej Uldolfa wciąż niezgrabnie sięgali po broń i ustawiali się w szereg, rycerz nadal wrzeszczał coś o srebrze.

Skoczyła w stronę Niemców. Ich szereg się rozpadł, dwaj padli w błoto szarpani pośmiertnymi skurczami.

Lilia się wyprostowała, osunęły się z niej zakrwawione strzępy ludzkich szmat. Prężyła mięśnie pod rudo-czarnym futrem. Rozprostowała przednie łapy, wciąż przypominające

dłonie z pazurami dłuższymi i ostrzejszymi niż u wilka.

Warknęła, z lubością węsząc zapach krwi, potu, moczu i strachu. Wciąż się uśmiechała.

- Czy teraz odejdziecie? - zapytała ich po niemiecku.

Pomimo przerażenia byli zdyscyplinowani i dobrze wyszkoleni. Ponownie zwarli szereg, trzymając przed sobą w gotowości srebrne ostrza. Powoli ruszyli w jej stronę.

Mogła uciec w głąb uliczki, ale tam z pewnością trafiłaby na kolejnych żołnierzy.

Zresztą wcale nie chciała uciekać...

Warknęła i skoczyła - nie wprost na nich, tak jak się spodziewali, lecz w górę i w prawo, na ścianę stajni. W skoku chwyciła się skraj dachu, podciągnęła na strzechę wysoko nad Niemcami, przeturlała i zeskoczyła z krawędzi za nimi.

Byli zbyt blisko siebie i zbyt wolni, by nadążyć za jej błyskawicznym manewrem. Objęła jedną ręką szyję żołnierza stojącego najbliżej stajni, drugą złapała za hełm i szarpnęła do tyłu dość mocno, by strzaskać krąg szyjny.

Gdy oklapł bezwładnie, Lilia uświadomiła sobie, że poczuła, jak to się dzieje. To nie był dziwny sen, z którego mogła się obudzić. Trzymała we własnych rudowłosych łapach człowieka, który jeszcze przed chwilą żył.

Szkolenie jej pana przejęło kontrolę, gdy sąsiad zabitego zamachnął się na nią srebrną bronią. Obróciła się bez namysłu, opancerzonym torsem trupa zasłaniając się przed ostrzem. W chwili uderzenia puściła ciało, w którym ugrzązł sztylet. Pchnęła pazurami do góry, przebijając miękką tkanę pod szczęką atakującego.

To ja to robię...

Próbowała się zdystansować od gorączkowego pragnienia krwi, ale nie potrafiła. Ta furia nie należała do tej drugiej, zimnej osoby, tylko do niej.

Ona była tą drugą.

Kolejny przeciwnik padł z jękiem na ziemię. Pozostał tylko rycerz zakonny. Pożałowała, że to nie jej pan.

Mimo wszystko zapytała:

- Czemu?

- Wracaj do piekła, ty suko! - wrzasnął, robiąc szeroki zamach na jej głowę.

Z łatwością uniknęła ciosu. Szkoliła się do tego przez całe życie, a ruch przeciwnika z bronią był aż nazbyt znajomy. Walcząc jeden na jednego, mogła przewidzieć wszystkie jego ruchy, reagując na nie, zanim on sam wiedział, co zamierza zrobić.

Mogła rozerwać mu gardło w przelocie, urwać mu rękę albo zadać śmiertelny cios w tył karku. Nie zrobiła nic takiego. Pozwoliła mu się zatoczyć i odzyskać równowagę.

- Czemu nie uciekniesz? - zapytała.

Wrzasnął coś niezrozumiałego, znowu unosząc miecz. Tym razem odskoczyła i chwyciła rycerza za rękę. Siła uderzenia wywołała ból w nadgarstkach, ale do bólu była przyzwyczajona. Rycerz upuścił broń. Walnęła nim o ścianę stajni.

- Czemu chcesz mnie zabić? Dlaczego to takie ważne?

- Jesteś stworem z piekła - warknął.

- W takim razie kim jest mój pan?

Trzymała go unieruchomionego, z twarzą na grubość noża od swojego pyska. Czowała jego strach. Zaczął się modlić po łacinie.

- W takim razie kim jest mój pan? - zapytała ponownie, walcząc z furją, walcząc z pragnieniem zatopienia kłów w jego twarzy...

- Uldolf? - wyszeptała. W jej wilczej paszczy to słowo zabrzmiało obco.

Walnęła rycerzem o ścianę i obejrzała się za siebie.

Uldolf zniknął. Jego torba i peleryna leżały tam, gdzie upadły, teraz ochlapane błotem i krwią. Widział to wszystko.

Widział dość.

Popatrzyła na swoje pokryte krwią przedramiona przyciskające rycerza do ściany i wyszeptała:

- Ulfie...

Krew i łzy spadły z jej pyska na czarny krzyż zdobiący oponczkę rycerza.

INTERLUDIUM

Anno Domini 1231

Kilka dni po tym, jak Uldolf nauczył ją pływać, Lilia usłyszała róg wzywający ją do Mejdânu. W nocy, tuż przed świtem, zabrzmiały trzy długie sygnały, po nich dwa krótkie.

Jej pierwszą myślą było, że nigdy już Uldolfa nie zobaczy.

Coś w niej się temu sprzeciwiło.

Czując się winna z powodu myślenia o czymś innym niż wola pana, ruszyła przez las, okrążając solidną palisadę, dążąc w stronę głównej drogi i bramy. Las był dziwnie spokojny, jego mieszkańcy cisi jak wtedy, gdy Lilia korzystała z prawdziwej postaci, by jeść.

Czy tamto ciało było bardziej rzeczywiste od różowej skóry, która przyoblekła ją teraz?

Nauczyła się pogardy dla swojego ludzkiego ciała. Było tylko przebraniem, czymś fałszywym. Dopiero gdy Uldolf potraktował ją jak człowieka, dowiedziała się, że jej ludzka postać jest zdolna do czegoś więcej niż tylko przyjmowanie kary.

Powtarzała sobie: Prawdziwy jest wilk, taka jest wola Boga. To ją uspokajało.

Niebo jaśniało, zmieniając kolor na czerwony, potem bladoróżowy. Węszyła w powietrzu. Wyczuła swąd, jakby gdzieś daleko palił się ogień. Gdy zbliżyła się do drogi prowadzącej przez lasy do Mejdânu, doszedł ją smród ludzi i zwierząt.

Usłyszała kroki w błocie, dyszenie ludzi i koni, grzechot kół. Prawie nie słyszała rozmów.

Wyszła z lasu i zobaczyła kolumnę ludzi podążających do Mejdânu. Obok wyczerpanych koni w milczeniu wędrowały całe rodziny. Wozy pełne były rannych i martwych.

Oto ludzie, którzy przeszkadzali jej panu, bezbożni uciekający przed armią Boga. Szukają ochrony w twierdzy Mejdân.

Nie znajdują.

- Pośpiesz się, dziecko! - krzyknął ktoś do niej. - Nie zostawaj z tyłu!

Uśmiechnęła się pod nosem i dołączyła do Prusów. Pan będzie z niej dumny.

* * *

W panującym chaosie nikt nie zwracał żadnej uwagi na dziewięcioletnią dziewczynkę. Wartownicy Mejdânu starali się jak najszybciej wprowadzić wszystkich do środka, pod

ochronę palisady.

Znalazła sobie kryjówkę na poddaszu stajni nad tuzinem kóz stłoczonych w boksie przeznaczonym dla jednego konia. Stajnia znajdowała się tuż przy centralnej twierdzy, zbudowanej na wzniesieniu nad wioską.

Wieczorem tego dnia usłyszała, jak obrońcy Mejdânu zamykają bramę wioski.

Kilka godzin później przybyła armia jej pana. Usłyszała galop koni i chrzęst kolczug. Nawet podszyte tkaniną kolczugi pobrzmiwały metalicznie, zupełnie inaczej niż skórzane zbroje Prusów.

Już niedługo.

W nocy, by nabrać sił, zabrała jedną kozę. Zrobiła to ostrożnie - choć żaden wieśniak nie usłyszałby nic w przerażonym beczeniu.

Skręciła kark koźlęcia, nie używając kłów ani pazurów, i szybko wycofała się z ofiarą na stryszek. Nie pozostawiła żadnych śladów krwi, a gdy strażnik przyszedł sprawdzić powód hałasu, zobaczył jedynie przerażone kozy, które wypadły na ulicę, gdy tylko zagroda została otwarta.

W zamieszaniu związanym z wyłapywaniem zwierząt nikt nie spojrzał do góry i nie zauważył pokrytej ciemnym futrem sylwetki skulonej w sianie.

Lilia czekała, aż wszyscy sobie pójdą. Dopiero wtedy, ku ponownemu przerażeniu zwierząt w dole, zaczęła jeść.

Gdy dwie noce później zabrzmiał drugi sygnał jej pana, wzywając ją do ataku, po koźlęciu nie zostało wiele oprócz oślizłych kości i zakrwawionej skóry.

* * *

Trzy dni po rozpoczęciu oblężenia Mejdânu Uldolf obudził się, słysząc jakiś krzyk.

Krzyk gwałtownie się urwał. Uldolf leżał w łóżku przekonany, że to był sen. Tata opowiadał mu dużo o oblężeniach. Sprowadzały się głównie do czekania. Wygrywał ten, kto miał więcej jedzenia i silniejszą wolę walki. Chrześcijańskich napastników było za mało, by pokonać palisadę szturmem.

Krzyknął ktoś jeszcze.

Uldolf usiadł. To nie był sen, a krzyki dochodziły z wnętrza twierdzy. Wrogowie wdarli się do środka.

Podszedł do wąskich drzwi swojego pokoju. Poślizgnął się na czymś mokrym i lepkiem. Otworzył zasuwę.

Drzwi gwałtownie otwarły się do środka, pchnięte przez opierającego się o nie człowieka.

Patrzył na niego i czuł wzbierający strach mrozący mu wnętrzności.

Minęło kilka długich sekund, zanim zdołał w myślach sformułować pytanie: Gdzie jest jego głowa?

Zrobił krok do tyłu, wpatrując się w bezgłowe ciało oświetlone pochodnią z korytarza. Skórzana zbroja lśniła od krwi. Wyciągnięty z pochwy miecz leżał obok martwego woja.

Ojciec Uldolfa się mylił. To nie będzie długie oblężenie. Wróg atakował ich już teraz.

Prawie jak we śnie Uldolf przestąpił ciało i podniósł miecz - cięższy od drewnianych, których używał do ćwiczeń. Rękojeść była śliska od potu i krwi.

Wyszedł na korytarz i zobaczył leżącą pod ścianą głowę. Zabity nazywał się Oldan, był jednym z wojów, którzy uczyli Uldolfa walki mieczem.

Chłopiec mocniej zacisnął dłoń na rękojeści i pobiegł w głąb korytarza.

Biegając, mijał zabitych oraz różne części ciała. Stopy lepiły mu się do zalanej krwią podłogi.

Skręcił za róg i zobaczył otwarte drzwi do komnaty swoich rodziców. Właśnie wyleciało z nich coś małego, uderzyło w ścianę, odbiło się i przetoczyło prawie do progu.

Jagoda!

To była jego siostra, młodsza siostra, rozerwana od gardła do nóg.

Krzycząc, wpadł do komnaty.

Krew... tak dużo krwi. Była na ścianach, pokrywała podłogę, a jej metaliczna woń była tak ciężka, dławiła. Potem zobaczył ciała - strzępy ciał - porozrzucane wszędzie między połamanymi meblami i podartymi gobelinami.

A pośród tego wszystkiego stał potwór.

Rozszarpywał przyciśniętego do ściany człowieka. Pod szponiastą łapą stwora Uldolf zobaczył twarz swojego ojca.

Ruszył bez chwili namysłu, szarżując na plecy bestii. Użył miecza jak włóczni, nie myśląc o obronie. Trafił, bo bestia w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Uderzył w miękką część torsu, tuż pod żebrami.

Ostrze przebiło skórę. Stwór zawył, puszczając jego ojca, jednak ku przerażeniu chłopca okazało się, że jego atak przyszedł za późno. Ciało upadło, a chwilę później głowa.

Zaszokowany Uldolf nie zareagował, gdy bestia odwróciła się do niego z warkotem. Poczul, jak pazurzasta łapa chwyta go za prawą rękę i wykręca ją.

Ze strasznego bólu zatoczył się do tyłu. Chwytał się za ramię. To niemożliwe! Nie miał ręki.

Oddychał szybko, płytko. Zapadał się wewnątrz siebie. Zrobił krok w tył i trafił bosą

stopą na coś śliskiego. Włosy mamy!

Niewyraźnie słyszał własny krzyk: „Przestań! Proszę, przestań!” - wciąż i wciąż na nowo, ale tak naprawdę już go tam nie było. Wszystko zrobiło się szare.

Bestia nachyliła się nad nim. Czuł jej oddech na swojej twarzy, gorący i śmierdzący krwią. Przygotował się na śmierć.

Potem stwór, oblepiona krwią niehumanoidalna łapa, delikatnie dotknął jego policzka i przemówił:

- Nie. Nie ty.

- Przestań! Proszę, przestań! - To były jedyne słowa, jakie Uldolf potrafił jeszcze powiedzieć. Łzy piekły go na policzkach, a ramię pulsowało ogniem w rytmie bicia serca. Przestał widzieć cokolwiek poza błyskami bieli, czerni i czerwieni.

- Ciebie wcale nie chciałam krzywdzić, Uldolf.

Zanim się zapadł w mroczną otchłań, uświadomił sobie, że głos potwora brzmi znajomo.

NIESZPORY

Anno Domini 1239

Nam et si ambulavero in medio umbrae mortis,
non timebo mala, quoniam tu mecum es.

Virga tua, et baculus tuus,
ipsa me consolata sunt.

Chociażbym chodził ciemną doliną,
zła się nie ulękę, bo ty jesteś ze mną.
Twój kij i twoja łaska są tym, co mnie pociesza.

Psalm 23:4

XXVI

Uldolf biegł. Biegł, próbując uciec przed obrazami, które wypaliły się w jego mózgu. To nie była Lilia. To nie mogła być Lilia!

Z walącym sercem, nie patrząc, gdzie biegnie, wpadł w otwarte drzwi. Potknął się o próg i runął twarzą na ziemię. Po chwili obrócił się na plecy, zaciskając dłoń na brzuchu, gdzie uderzył go rycerz.

Zamknął oczy. Z oddali usłyszał warczenie...

„Czy wasze gospodarstwo było ostatnio nękanie, chłopcze? Przez dziwne bestie? Czy jacyś ludzie zginęli? Albo zostali ranieni? Straciliście jakieś zwierzę?”

Dopiero teraz czuł ból twarzy i brzucha. Serce mu waliło w dzikim tempie.

W oczach wciąż miał Lilię, przemieniającą się z pierwszej kobiety, z którą się kochał, w bestię, która rozerwała Niemców jak... jak...

Jak wtedy, w Mejdânie.

Zwinał się wpół, tuląc się do ściany. Nie chciał tego pamiętać. Zmuszał się, by zapomnieć, wymazać ten obraz.

- Nie chcę tego pamiętać - wyszeptał.

Jednak teraz sobie przypomniał.

Przypomniał sobie podobnego do wilka potwora pochylającego się nad nim, dyszącego, z pyskiem poplamionym krwią. Przypomniał sobie, jak ten potwór przemówił głosem Lili.

„Ciebie wcale nie chciałam krzywdzić, Uldolf”.

Wszystko sobie przypomniał.

* * *

Lilia odrzuciła rycerza. Przetoczył się przez poległych kompanów. Ze złamanymi rękami i zamkniętymi oczami wciąż odmawiał pacierze.

Zostawiła go. Musiała znaleźć Uldolfa.

Podeszła do jego peleryny. Gdy szła, mięśnie przesunęły się wzdłuż trzeszczących kości. Jej ciało się kurczyło, a stawy przesuwały, w miarę jak wilk chował się w jej wnętrzu.

Podniosła pelerynę z błota i założyła ją sobie na nagie ramiona. Kozuszek przywarł do jej skóry. Pachniał Uldolfem.

Podniosła torbę i ruszyła za zapachem Uldolfa - silną wonią potu, krwi i strachu. Nie musiała iść daleko. Po pokonaniu zaledwie dwóch zakrętów znalazła go leżącego pod ścianą stajni, zaciskającego bark w miejscu, gdzie wyrwała mu kiedyś rękę.

Stanęła o dwa kroki od niego, niezdolna się poruszyć. Jej umysł się rozpadł pod ciężarem wspomnień.

- Ulfie - wyszeptała.

Gwałtownie obrócił głowę. Zerwał się na nogi.

- Ani się waż!

- Ulfie, proszę...

- Nie masz prawa mnie tak nazywać!

Zrobiła krok do tyłu, czując ból w piersiach, jakby została uderzona.

- Wybacz. Proszę.

- Zabiłaś ich! Jagoda miała tylko pięć lat! Dlaczego?!

Gorące łzy płynęły jej po policzkach.

- Ja... służyłam mojemu panu.

- W takim razie czemu pozwoliłaś mi żyć? Czemu nie oderwałaś mi głowy, jak mojemu ojcu?

- Nie...

- Czemu nie rozerwałaś mnie jak moją siostrę? Nie rozszarpałaś mnie jak matkę?

Patrzyła w jego twarz i nie widziała w niej nic poza nienawiścią.

- Czemu? - Wciąż się cofał. - Czemu mnie oszczędziłaś? Czy twój pan chciał mnie poddać aż takim mękom?

- Nie. Pokochałam cię. - I powtórzyła ze szlochem: - Kocham cię.

- Ty potworze! Jak śmiesz to mówić? - Potrząsnął głową. - O nie...

- Uldolf?

- Oni wcale nie zostali zabrani, prawda? Moja rodzina. Zostawiłem ich samych... z tobą.

- Nie!

- Czy dlatego tu jesteś? Znowu zabiłaś całą moją rodzinę!

Przyskoczył, chwycił ją za szyję. Atak był niezdarny, ale nie była przygotowana i poleciała na plecy.

- Ja nic im nie zrobiłam!

Jego kolana boleśnie wbiły się w jej pierś. Zacisnął dłoń na jej gardle.

- Co im zrobiłaś?!

- Nic. Ja... - zadławiła się na słowach „nie mogłabym”, bo wiedziała, że to kłamstwo.

Wbiła wzrok w przerażoną twarz Uldolfa i zobaczyła dziesięcioletniego chłopca, którego dawno temu okaleczyła. Miał rację, byłoby dla niego lepiej, gdyby wyrwała mu wtedy serce.

Pokornie opuściła głowę, odsłaniając szyję, pozwalając mu się dusić. Niech to wszystko się skończy. W zadośćuczynieniu mogła mu zaoferować tylko swoje życie.

Charczała i świszczała, ponieważ jej płuca nie chciały się poddać. Musiała użyć całej siły woli, by się nie opierać, gdy wszystko wokół powoli pogrążało się w czerni.

XXVII

Lilia nie wiedziała, czego się spodziewać po śmierci. Może jej Pan Jezus Chrystus pojawi się i wyjaśni wreszcie, czemu nie jest godna odpuszczenia grzechów i życia wiecznego. W końcu była jedynie bezdusznym zwierzęciem. A może zapadnie w głęboki sen bez marzeń, w którym zatraci się tak całkowicie, że nic już nie będzie miało znaczenia.

Nie spodziewała się kichać, czuć swędzenia i ostrego zapachu koni. Otworzyła oczy i zobaczyła strzechę.

- Obudziłaś się? - zapytał Uldolf.

Odwróciła głowę i ujrzała go, stał tuż obok. Znajdowali się w pustym boksie stajni.

Spróbowała usiąść, ale nie mogła się ruszyć. Zorientowała się, że jest naga, trociny oblepiają jej skórę.

Uldolf bardzo umiejętnie związał jej nogi długim skórzanym pasem, do którego przymocował rzemienie krępujące jej ręce za plecami.

Dźwignął ją do pozycji siedzącej, po czym przeciągnął kilka kroków przez pokrytą trocinami podłogę do boksu, umożliwiając jej oparcie się o ściankę działową.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Oddalił się na kilka kroków.

- Czemu mnie nie zabiłeś? - zapytała.

Odwrócił się i popatrzył na nią z góry.

- Próbowałem - stwierdził. Podniósł rękę otwartą dłonią do góry. - Nie zostawiłaś mi dużo możliwości w tym zakresie.

Aż do tej pory miała nadzieję, że zmienił zdanie, że wciąż jeszcze coś do niej czuje.

Chodził wokół boksu i zobaczyła, że ma srebrny sztylet wetknięty za pas.

- Czemu ty nie zabiłaś mnie? - zapytał ją Uldolf.

- Powiedziałam ci. - Lilia potrząsnęła głową. Uświadomiła sobie przy tym, że znowu ma na szyi srebrną obrozę.

Uldolf to zauważył i uśmiechnął się ponuro.

- Nie znam wielu słów po niemiecku, ale wiem, jak w ich języku mówi się na srebro. - Wyciągnął zza pasa sztylet. - Kiedyś przebiłem cię mieczem i nie masz po nim nawet blizny, jednak rozcięcia, które zrobiłaś sobie tym sztyletem, nadal się nie zagoiły. Niemcy nie bez

powodu chodzą uzbrojeni w ostrza ze srebra, prawda?

- T... tak.
- I dlatego założyli ci to na szyję.
- Tak.
- Wiedzą, czym jesteś.

Lilia kiwnęła głową.

- Powiedz mi, czym jesteś. - Przykucnął naprzeciw niej.

Wciągnęła drżący wdech, patrząc na sztylet, zastanawiając się, czy go użyje. Pragnąc, by to zrobił.

- Mówią, że jestem zwierzęciem. Bestią, która może udawać istotę ludzką. Mówią, że moja prawdziwa postać to wilk, którego widziałeś, ten, który cię skrzywdził.

- Kim są ci „oni”?
- Mnisi zakonu - wyszeptała Lilia. - Zostałam wychowana w ich klasztorach.

Lilia opowiedziała mu o swoim życiu. Opowiedziała o zrujnowanym klasztorze, gdzie została wychowana, gdzie ją panowie z zakonu ćwiczyli do walki. Opowiedziała o osadach i miastach, które atakowała od środka w czasie oblężenia.

- Pozwoliłaś im się używać w taki sposób?
- Taki był cel mojego istnienia.
- Ponieważ oni tak ci powiedzieli?

Lilia kiwnęła głową.

- Skoro tak cię wykorzystywali, czemu nie uciekłaś? Mogłaś wymknąć się z którejś osady, zanim się zaczęła rzeź.

- Nie miałam dokąd pójść.
- W takim razie gdzie się wybierałaś, gdy uciekłaś im teraz?

Lilia popatrzyła w oczy Uldolfa. Wytrzymał jej spojrzenie, a w końcu potrząsnął głową.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć...
- Próbowałam zapomnieć o tym, co się tutaj stało przed laty - powiedziała Lilia. - Myślałam, że zabiłam każdą cząstkę mnie, która czuła cokolwiek dobrego... ale nie zapomniałam...

Uldolf odwrócił wzrok.

- Przestań - wyszeptał.
- Gdy mój pan mnie zostawił w tej twierdzy, wszystko do mnie wróciło... z taką siłą, że się w tym zatraciłam. - Mruganiem przegnała Izy. - Uldolf, gdybyśmy mogli być razem, bez przeszłości...

- Nawet gdybym nie pamiętał, ty nie jesteś człowiekiem. Jak mogłaś wierzyć choć przez chwilę...

- Oboje przez chwilę w to wierzyliśmy.

Uldolf długo milczał.

- Jesteś okrutna - odezwał się w końcu.

- Bóg jest okrutny - wyszeptała Lilia.

- Mówiłaś prawdę, że zakon zabrał moją rodzinę?

- Tak. Nie skrzywdziłam ich...

- Nie? - wyszeptał Uldolf. - Czemu zostali zabrani? Czemu dzieje się to wszystko?

- Nie chciałam niczego takiego.

- Ale ty to wywołałaś, prawda?

- Ja...

- Oni chcą odzyskać swojego potwora. Jak myślisz, co zrobią z moją rodziną, gdy się dowiedzą, że ukrywaliśmy ciebie?

- Nie, twoja rodzina nie wiedziała...

Uldolf z rozmachu uderzył ją w twarz wierzchem dłoni zaciśniętej na sztylcie. Ostrze mignęło tuż przy jej oku. Skóra w miejscu uderzenia zapiekła, usta wypełnił ostry smak krwi.

- To ludzie odpowiedzialni za wymordowanie mojej pierwszej rodziny! - krzyknął Uldolf.

- Myślisz, że okażą łaskę drugiej? Myślisz, że niewinność ma dla nich jakiegokolwiek znaczenie? Myślisz, że jesteś tu jedynym potworem? - Uldolf wstał. - Masz rację co do jednego. Twój Bóg jest okrutny.

To nie jest mój Bóg, pomyślała Lilia.

- Co chcesz zrobić? - spytała, zaskoczona strachem, który usłyszała w swym głosie.

- Zaproponować im wymianę.

* * *

Komtur krajowy Erhard von Stendal nachylił się nad bratem Gregorem. Rycerz miał połamane ręce, bladą skórę i był ledwie przytomny. Mimo to modlił się, jakby jego duszy groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Co tu się stało, bracie? - zapytał Erhard.

Dwaj ludzie ze świty Gregora nie zdążyli nawet wyciągnąć mieczy. Jeden był martwy, z potwornie skrzywionym karkiem, drugi miał głębokie rany na szyi, ale wciąż jeszcze oddychał.

Nieco dalej leżały trzy ciała. Takie rany mogły zadać tylko ostre pazury. Bez wątplenia było to dzieło Lilii.

Zbyt dobrze ją wyszkoliłem, pomyślał Erhard.

Byłaby strasznym przeciwnikiem, gdyby pozostawiono ją bez nauki w lasach, w których się urodziła. Jednak on nauczył Lilię znacznie skuteczniejszego zabijania.

Nie wiedział, co martwiło go bardziej - fakt, że znowu była w obrębie umocnień Johannisburga, czy mało krwawy sposób, w jaki pokonała sześciu ludzi. Nigdy nie zdarzyło się, by pozostawiła kogoś przy życiu. Rozrywała pogan w potworny sposób, ponieważ ból i przerażenie były celem w równym stopniu jak zadawana śmierć. To, co widział tutaj, w porównaniu z jej dawnymi dokonaniem było... miłosierne.

Co to znaczyło?

Czemu Gregor wciąż żył?

- Co tu się stało? - powtórzył Erhard.

Gregor zamrugał, powoli skupiając spojrzenie.

- Zgrzeszyliśmy. Niech Pan nam wybaczy, choć zasłużyliśmy na potępienie.

- Co ty mówisz?! - Erhard chwycił go za opończę.

- Módl się ze mną, Erhardzie - wyszeptał ranny rycerz. - Niech Chrystus zmiłuje się nad naszymi duszami. - Zamknął oczy i znów zaczął się modlić.

Erhard przeżegnał się i dołączył do Gregora w modlitwie. Przybył tu z tuzinem ludzi. Nagle wydało mu się to za mało.

- Stać! - usłyszał nagle okrzyk po prusku.

To krzyknął Johann, szlachcic wywodzący się z ziem na południe od Hamburga, z rodziny tak zubożałej, że jego dziedzictwo składało się wyłącznie z tytułu i konia. Jak wielu świeckich rycerzy biorących udział w krucjatach zakonu, patrzył na Prusy jako potencjalne nowe ziemie rodowe. Dobrze opanował język pruski.

Erhard zerwał się na nogi, przerywając modlitwę. Zobaczył, że przy pobliskiej stajni stoi młody mężczyzna ubrany w zabłocone spodnie i lnianą koszulę poplamioną krwią. Brakowało mu jednej ręki, a na lewym ramieniu niósł ciężar owinięty w skórzaną pelerynę.

Panie, bądź miłostiw, kolejne ciało? - przemknęło komturowi przez głowę.

Jednoręki młodzieniec zmagał się ze swoim ciężarem, ni to idąc, ni to się zataczając. Twarz miał obita i zakrwawiona.

W oddziale towarzyszącym Erhardowi nastąpiło poruszenie. Günter przepchnął się do przodu z ostatniego szeregu.

- Uldolf? To ty?

Erhard znał to imię. Biskupowi bardzo zależało, by Uldolfa, syna ostatniego naczelnika Mejdānu, sprowadzić do twierdzy.

- Tak - odpowiedział młodzieniec.

Ponieważ zupełnie obojętnie popatrzył na ciała zabitych, Erhard podejrzewał, że Uldolf był obecny przy tej rzezi.

- Biskup chce z tobą porozmawiać. - Erhard zrobił krok do przodu.

- Na pewno o mnie wam chodzi? - Uldolf zachwiał się lekko, po czym przyklęknął. Przyciskał swój ciężar sztyletem. Ludzie z eskorty komtura, widząc naga broń, wyciągnęli miecze. Wszyscy poza Günterem.

- Co ma znaczyć naga stal w obecności rycerza zakonu? - warknął Johann. - Odpowiadaj, jeśli chcesz zachować głowę.

Uldolf sprawnym ruchem sturlał ciężar z ramienia.

- To nie stal - odpowiedział Johannowi. Popatrzył na Erharda. - Ale ty to wiesz. - Cofnął się o krok.

Uldolf nie przyniósł im kolejnego trupa. Peleryna opadła, odsłaniając naga siedemnastoletnią dziewczynę, mocno związaną i całkiem przytomną. Popatrzyła na komtura zielonymi oczami. Wokół szyi miała zapiętą srebrną obręcz.

- Uldolf, mój chłopcze, jak udało ci się ją złapać? - zapytał Günter.

- Czyli mam rację? Jej szukacie? Nie mnie, nie mojej rodziny?

Erhardowi trudno było uwierzyć, że znowu ją widzi.

- Lilia? - zapytał w końcu.

- Panie - odpowiedziała cicho.

* * *

W stajni, gdy Uldolf owijał ją peleryną i podnosił, Lilia próbowała wycofać się w głąb siebie. Nie tak miało się to wszystko potoczyć. Poddała się. Powinno być już po wszystkim. Ale Uldolf nie dał jej uciec w śmierć, a miejsce w jej umyśle, do którego uciekała, przestało istnieć.

Chciała oddać kontrolę tej drugiej, swojemu drugiemu ja, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, kto to właściwie był.

Gdzie jesteś? Nie chcę już tu być.

Brak odpowiedzi.

Usłyszała, jak ktoś krzyczy na Uldolfa, a po kilku chwilach sturlał ją z ramienia na ziemię. I zobaczyła nad sobą twarz brata Erharda.

- Panie - wyszeptała.

Patrzył na nią z góry i widziała wypisane na jego twarzy oskarżenie o zdradę. Osiągnęła

dno pogardy do samej siebie. Uldolf ją odrzucił. Jedyne zakon mógł dać jej jakikolwiek cel w życiu.

Jeden z rycerzy zaatakował, ale jej pan zatrzymał go, zanim ostrze opadło.

- Panie, biskup rozkazał ją zabić! - krzyknął rycerz.

- Wciąż zbyt wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi - zauważył Erhard.

Jak mogła wyjaśnić swoją zdradę? Odrzuciła wszystko, co dał jej zakon. Dlaczego? Dla wspomnienia? Do kogoś, kto miał wszelkie powody, by jej nienawidzić?

Uldolf zażądał, by zaprowadzono go do rodziców i siostry, a Erhard mu to obiecał. Jednak głos pana brzmiał płasko i martwo, nie było w nim dawnej władczości. Wydawał się równie bezradny jak Uldolf.

Proszę, pomyślała Lilia, niech mój powrót oznacza wolność dla rodziny Uldolfa.

Komtur owinał ją peleryną i podniósł z ziemi. Ludzie z eskorty protestowali albo krzyczeli ostrzeżenia, lecz Lilia, nawet gdyby nie była związana, nie miała dokąd uciekać, nie miała już o co walczyć.

* * *

Uldolf oddał srebrny sztylet Günterowi i stał bez ruchu, gdy komtur pochylił się, by podnieść Lilię. Nie czuł nic, był jak martwy.

Günter klepnął go w plecy.

- Chyba uratowałeś nas wszystkich, synu.

- Ja tylko chcę odzyskać najbliższych.

Sierżant zachichotał.

- Na twoim miejscu domagałbym się większej nagrody. - Ściszył głos. - Czy masz pojęcie, ilu Niemców polowało na tę bestię?

Uldolf kiwnął głową i odwrócił od niego wzrok. Radość Güntera wydawała mu się bluźniercza.

Dowódca wziął Lilię na ręce i wydał rozkazy po niemiecku. Podzielił swą eskortę na grupę, która miała mu towarzyszyć do twierdzy, i drugą, mającą się zająć rannymi i poległymi.

Uldolf popatrzył na twarz Lili. Zobaczył w niej jedynie całkowitą rezygnację...

Odwrócił się, pocierając pusty bark. Na pewno postąpił właściwie. Bez wątplenia.

Ale...

Rycerz trzymający Lilię - jej „pan”, brat Erhard - był tak samo jak Lilia winny wymordowania rodziny Uldolfa. Nawet bardziej, ponieważ to on ją stworzył, wyszkolił,

opętał.

Gdybyś nie miał w swej władzy moich najbliższych, pomyślał Uldolf, zabiłbym was oboje... ale ciebie, rycerzu, przede wszystkim.

W drodze na zamek Günter nieustannie paplał. Według niego schwywanie przez Uldolfa wilczycy było godne sagi. Zadał kilka pytań, ale był tak uradowany i podniecony, że sam zaczął już montować własną wersję zdarzeń.

Pochłonięty swoją fikcyjną historią, nie zauważył, że żaden z Niemców w tej grupie żołnierzy nie podziela jego entuzjazmu. Uldolf odniósł wrażenie, że patrzą na niego z niechęcią. Jeszcze bardziej niepokoił go fakt, że podobnie traktowali sierżanta.

- Może będzie lepsza okazja do omówienia tego - odezwał się w końcu.

Günter ścisnął jego ramię.

- Powinniśmy uraczyć Niemców opowieścią lub dwoma o prawdziwym pruskim bohaterze.

Te słowa wzbudziły kilka spojrzeń, których nawet on nie mógł zignorować. Puścił ramię Uldolfa i powiedział:

- Ale masz rację. Nie teraz.

Uldolf szedł jak w koszmarnym śnie, kiedy zmierza się w stronę czegoś okropnego, ale nie można się zatrzymać.

Gdy grupa żołnierzy przeszła przez bramę zamku, Uldolf przekonał się, jak koszmarnym snem stał się ten świat.

Pod płóciennym daszkiem na dziedzińcu zgromadzono mnóstwo ludzi, jak przed oblężeniem. Mężczyźni, kobiety i dzieci - Uldolf zobaczył tu większość wolnych pruskich mieszkańców Johannisburga. Pilnowali ich Niemcy pod bronią. Wśród Prusów widać było i biedaków, i jaskrawo ubranych bogatych kupców.

Wszyscy byli cisi i mieli nieobecny wyraz twarzy, nadający im wygląd duchów. Jednak nie były to jedyne duchy, jakie zobaczył tu Uldolf.

W miejscu, w którym wybudowano zamek, stała kiedyś twierdza Mejdân. Gdzieś pod tym wzgórzem zakopano kości jego pierwszych rodziców i ruiny budynku, który był dla niego domem przez pierwsze dziesięć lat życia. Po twierdzy nie został nawet kamień na kamieniu. Nowi chrześcijańscy władcy bardzo starannie zatarli ślady starego porządku.

Wyrównanie rachunków z potworem powinno w końcu umożliwić ostateczne pogrzebanie tej części historii. Jednak emocje w Uldolfie aż kipiały.

Ukrył się przed własną przeszłością na całe lata. Teraz odzyskał wspomnienia. Każdy krok na ziemi zakonu bolał, każdy oddech dusił.

Konfrontacja z Lilią była działaniem odruchowym, prawie bezmyślnym. Ale nie przyniosła ulgi w cierpieniu.

Wciąż czuł zapach krwi.

Słyszał, jak duch Radwena Seigsona szepcze: „Oto wrogowie, którzy oderwali mi głowę z karku, którzy to zamczysko wzniesli na moim grobie”.

Czuł, jak pękają w nim tamy. Przez osiem lat przeciekały przez nie wspomnienia i złość, teraz wzmagął się tajfun krwi i bólu.

Zostawiono Uldolfa pod strażą w malej kaplicy obok stołpu. Usiadł na prostej ławce, sam przed dużym drewnianym krzyżem. Uświadomił sobie, że nie może nic zrobić.

Nie da się tego naprawić.

Po ośmiu latach, w kaplicy boga swoich wrogów, Uldolf zapłakał nad swoją rodziną.

XXVIII

Sierżant Günter Sejed dopilnował, by to on był pierwszą osobą, która przekaze wiadomość biskupowi Cecilio. W pewnym sensie to wciąż był jego zamek - a teraz, skoro ten epizod z wilczym stworem się skończył, wszystko powinno wrócić do normalności.

Nie mógł się już tego doczekać.

Günter przyjął Chrystusa i służył zakonowi, ale miał nieprzyjemne wrażenie, że jego zwierzchnicy zapominali, na czyjej ziemi się znajdują. Zupełnie czym innym było takie traktowanie nieochrzczonych, pogan, bałwochwalców, jednak ludzie uwięzieni przez biskupa byli chrześcijanami wolnego stanu, tyle że urodzili się jako Prusowie.

A kiedy dotarł wreszcie do komnaty biskupa, ku swojej wściekłości został zmuszony do czekania.

Tak, już najwyższy czas, zdecydował.

Wyobrażał sobie, jak biskup osłupieje, gdy usłyszy, że schwywanie potwora zawdzięczają Prusowi. Ta myśl była niezbyt życzliwa, ale w przeciwieństwie do rycerzy zakonnych, Günter nie czuł się zobowiązany do lojalności wobec tego dostojnika.

Gdy go wreszcie wpuszczono, biskup pisał coś na długim zwoju pergaminu.

- O co chodzi, sierżancie? - odezwał się swoją straszną niemczyzną, z wysiłkiem odsuwając się od stołu.

- Potwór został schwytyany, Wasza Eminencjo. - Günter mówił po niemiecku znacznie lepiej niż biskup. - Polowanie zakończone.

- Jesteśmy tego pewni?

- Sam przy tym byłem, podobnie jak brat Erhard, który zidentyfikował bestię.

- Została zabita?

Günter potrząsnął głową. Ta część całego zdarzenia nie do końca mu odpowiadała.

- Nie, brat Erhard chce ją najpierw przesłuchać.

Biskup potrząsnął głową i wymamrotał coś w nieznanym Günterowi języku. Potem wrócił do kaleczenia niemieckiego.

- Będę musiał porozmawiać z bratem Erhardem. Po co ją przepytować? To sprowadzi go jedynie na dalsze manowce. Dziękuję za wieści. - Biskup znowu pochylił się nad pergaminem.

Günter zastanawiał się, jak we właściwy sposób kontynuować rozmowę.

- Chcesz dodać coś jeszcze? - Biskup zerknął na niego.

- Tak, Wasza Eminencjo. Człowiek, który złapał potwora, nazywa się Uldolf...

- To imię... Czy to nie jeden z tych Prusów, których nie sprowadzono jeszcze do zamku? - Biskup przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, próbując sobie przypomnieć. - Członek rodziny naczelnika?

- Tak, to on. Zdołał opanować potwora i przyniósł go bratu Erhardowi, związanego i...

- To znaczy, że jest tutaj?

- Tak.

- Dobrze. Zamknijcie go w celi.

- Co?

Biskup kiwnął głową.

- Jego rodzina zapewniła schronienie potworowi. A on, jako syn ostatniego tutejszego naczelnika, jest z pewnością najważniejszą postacią tajnej społeczności pogan.

- Nie rozumiem. Uldolf oddał bestię w nasze ręce.

- Rzeczywiście, powiedziałeś, że ją schwytał. A mogę zapytać jak?

- Ja... - Günter miał wrażenie, że w komnacie zrobiło się zimniej, i zaczęło do niego docierać, że opowiadanie w tej chwili o pruskiej sprawności nie jest najlepszym pomysłem. - Nie było mnie przy tym, gdy ją złapał.

- Zabiła tylu chrześcijańskich żołnierzy, a myślisz, że jeden poganin mógłby ją pokonać, używając wyłącznie naturalnych metod?

- Uldolf nie jest poganinem. Został ochrzczony jak Wasza Eminencja i ja...

- Ten młodzieniec musiał mieć po swojej stronie jakąś diaboliczną magię albo od początku był w przymierzu z bestią.

Günter nie potrafił pojąć logiki, którą kierował się biskup.

- Wasza Eminencjo, wciąż nie rozumiem. Jeśli był z nią w przymierzu, czemu ją związał i oddał w nasze ręce?

Biskup się uśmiechnął.

- To oczywiste. Siły szatana są przerażone, od kiedy Kościół wkroczył, by naprawić szkody wyrządzone niedbałością zakonu. Do tej pory diabeł miał tu wolną rękę.

- Wasza Eminencjo...

- Widzę, że wciąż nie pojmujesz, sierzancie. Uldolf oddał nam bestię wyłącznie po to, by przekonać nas o swojej prawości... co świadczy o desperacji.

Stwierdzenie było tak absurdalne i wypowiedziane z tak głębokim przekonaniem, że

burzyło podstawy zdrowego rozsądku. Günter nie miał dość rozumu, by odpowiedzieć.

- Pomimo motywów, którymi się kierował, bieg zdarzeń jest korzystny dla nas - ciągnął biskup. - Poszukiwania bestii odciągały ludzi od mojego śledztwa.

- Śledztwa?

- Znajdziemy każdy gaj, każdy posążek i wszystkich pomocników szatana. - Biskup pokiwał głową. - Rozumiecie, sierżancie?

- Tak, Wasza Eminencjo.

Stało się jasne, że biskup Prusów nie wypuści - przynajmniej do czasu, aż uzna, że są w dostatecznym stopniu chrześcijanami. Güntera opanowało nieprzyjemne wrażenie, że w świecie biskupa Prus nie mógł być chrześcijaninem w dostatecznym stopniu.

- Czy mogę o coś zapytać?

- Słucham, sierżancie.

- Co z wiosennym siewem? Wiele gospodarstw zostało bez rąk do pracy...

- Nie martw się o to. Na ziemiach chrześcijańskich jest mnóstwo panów, którzy wyślą poddanych do pomocy przy siewie i zbiorach.

- Rozumiem. - Teraz Günter rzeczywiście pojął. Biskup zagarnie ziemię Prusów. To wcale nie było polowanie na potwora ani walka z szatanem, tylko pretekst. Ten człowiek chciał uczynić z Johannisburga swoje lenno.

- Dobrze, sierżancie. Potrzebuję kilku rozsądnych Prusów. Myślę, że Uldolf i paru innych posłużą przy demonstracji, z jaką powagą traktujemy tę sprawę.

- Demonstracji?

- Ich kara powinna zachęcić prawdziwych chrześcijan do ujawnienia pozostałych między nimi bałwochwalców. Idź, zajmij się tym młodzikiem. - Biskup gestem odprawił sierżanta. - Muszę skończyć list i spotkać się z bratem Erhardem.

Günter wypowiedział cztery najtrudniejsze słowa, jakie kiedykolwiek przeszły przez jego usta:

- Tak jest, Wasza Eminencjo.

Odwrócił się i wyszedł.

Rozsądni Prusowie?

Demonstracja?

Choć raz nie modlił się do żadnych bogów. Oni nie byli głusi. Byli wrodzy.

- Jednak pozostaje pytanie - wyszeptał do siebie - co ja mam zrobić?

* * *

Wszystko zatoczyło pełny krąg. Erhard stał przed drzwiami celi na najniższym poziomie stołpu zamku Johannsburg. Kiedy pierwszy raz Lilię tu sprowadził, była ubrana jak typowa pruska wieśniaczka, wyróżniając się tylko srebrną obręczą na kostce.

Teraz leżała u jego stóp naga, związana grubymi skórzanymi pasami. Na szyi miała srebrną obrozę uniemożliwiającą jej przemianę w prawdziwą postać.

Patrzyła na niego wzrokiem błagającym o karę. Zawsze była obojętna i zimna, więc ludzkie emocje widoczne na jej twarzy denerwowały komtura.

- Zostaniesz ukarana - rzekł.

- Zostanę zabita - odpowiedziała.

Zaprzeczyła jego słowom! To było prawie tak wstrząsające, jak fakt jej ucieczki. Schylił się i uderzył ją z zamachu, rozbijając jej wargi.

- Nie waż się tak mówić do mnie!

- Nie mam racji? - wyszeptała.

Erhard znowu wziął rozmach, ale się opanował.

- Czemu to zrobiłaś?

- Teraz to już nie ma znaczenia. - Lilia potrząsnęła głową.

Znowu miał ochotę ją uderzyć... nie żeby ją ukarać, lecz po prostu by się wyładować. Aż się przestraszył własnej złości. Poprosił Boga o spokój, opanowanie.

- Przez lata pracowałaś w służbie Boga. Czemu uciekłaś i zabijasz moich braci?

- Przecież dlatego mnie cenileś. Potrafię zabijać. - Popatrzyła na Erharda ze łzami w oczach. - Moją wartość mierzyłeś we krwi, którą rozlewałam w imię Boga.

- Czemu uciekłaś?

- Porzuciłaś mnie tutaj. Właśnie tutaj! Próbowałam zapomnieć o tym, do czego mnie zmusiłaś. Próbowałam przez lata.

- Co zapomnieć?

Lilia zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

- Musisz mi powiedzieć, czemu uciekłaś.

- Czy twój Bóg ci wybaczy?

- Co?

- Czy twój Bóg wybaczy ci twoje grzechy?

- Jeśli będę naprawdę ich żałował i odprawię pokutę.

- Jesteś jedynym bogiem, jakiego mam. - Popatrzyła na niego lśnącymi zielonymi oczami. - Czy ty mi wybaczysz?

Erhard cofnął się o krok.

- To bluźnierstwo!

- Oddaję życie jako pokutę za grzechy. Jesteś aż tak okrutny, by odmówić mi rozgrzeszenia?

- Nie możesz prosić o rozgrzeszenie.

- Czemu?

- Ponieważ zwierzęta nie mają duszy.

Lilia spuściła wzrok na podłogę.

- Czemu uciekłaś? - powtórzył Erhard.

- Bo jestem zwierzęciem - stwierdziła Lilia. - Bo nie mam duszy. Bo nawet człowiek, który mnie wychował, uważa, że jestem niegodna wybaczenia.

- Lilia...

- Zabij mnie i niech to skończy się wreszcie! - wrzasnęła.

W tym momencie Erhard nie widział w niej potwora, którego wyszkolił, ani wilczej istoty, którą powierzył mu brat Semyon. Nie potrafił widzieć w niej pozbawionej emocji narzędzia, którym się posługiwał w walce.

Istota, którą miał przed oczami, była aż nazbyt ludzka.

Nie, Kościół orzekł, że to tylko zwierzęta...

Jednak papież zmienił swój wcześniejszy wyrok. Na jakiej podstawie Erhard mógł teraz orzekać, czym ona jest? Jeśli mogła prosić o rozgrzeszenie...

- Biskup ma rację - wyszeptał. - Jesteś zrodzona z Ojca Kłamstw. Obróciłaś mnie przeciwko Kościołowi, przeciwko Bogu. Jesteś dziełem szatana.

Lilia potrząsnęła głową.

- Jestem twoim dziełem!

- Zostałem oszukany. - Erhard cofnął się do drzwi, patrząc na nagiego sukuba, tłumiąc wszelkie odruchy współczucia, wszelkie miłosierne myśli.

- Powiedziałeś mi, że służę twojemu Bogu!

Erhard zastukał w drzwi, by strażnik go wypuścić.

- Jeśli należę do diabła, to tylko dlatego, że ty mu mnie oddałeś! - krzyknęła za nim, gdy wychodził.

Strażnik zamknął za nim drzwi i Erhard wreszcie mógł odetchnąć z ulgą. Jednak tylko przez chwilę.

- Bracie Erhardzie! - zabrzmiał boleśnie znajomy głos.

- Tak, Wasza Eminencjo? - Erhard podniósł wzrok.

Biskup w bogatych szatach i klejnotach wyglądał groteskowo między ścianami z szarego

kamienia.

- Widzę, że sierżant Günter mówił prawdę. Bestia znowu znalazła się w twoich rękach.
- Tak, Wasza Eminencjo.
- Usłyszałem część waszej rozmowy.
- Rozumiem.
- Czy potrafisz dostrzec swój błąd?
- Wasza Eminencjo, okazałeś się w tej kwestii mądrzejszy ode mnie.

Biskup zachichotał pod nosem. Erhard uznał to za wyjątkowo niestosowne.

- Zamierzam nakazać jej egzekucję - powiedział Erhard.
- Zapominasz, że teraz ja jestem najwyższą władzą w Johannisburgu. To ja będę podejmować decyzje dotyczące losu więźniów.
- Wybacz mi moje zachowanie. - Erhard pochylił głowę. - Co mam z nią zrobić?
- Zakończy swój żywot wraz z tymi, którzy udzielili jej schronienia. Mój inkwizytor zidentyfikował rodzinę, która ją karmiła i odziewała, ich też pochłoną płomienie.

* * *

- Chodź z nami.

Słyszając łamany język pruski, Uldolf podniósł wzrok znad podłogi i zobaczył czterech uzbrojonych ludzi. Przemówił do niego noszący na stroju czarny krzyż zakonu. Uldolf przez chwilę wpatrywał się w nieznanego rycerza, po czym powiedział:

- Miałem się spotkać z rodziną.
- Zobaczysz ich... w swoim czasie.

Popatrzył na zbrojnych i uświadomił sobie, że to nie mogło się dobrze skończyć. Jednak co mu pozostało? Wstał.

- W takim razie prowadźcie.

Ustawili się po jego bokach. Zapytał, gdzie idą, ale nie odpowiedzieli.

Wyprowadzili go na dziedziniec, wciąż zatłoczony Prusami. Na widok więźniów Uldolf stracił wszelką nadzieję na to, że oddanie Niemcom potwora mogło skończyć jego koszmar. Rozpoznał kilku rolników, dla których wykonywał różne przedmioty ze skóry.

Po drugiej stronie dziedzińca, pod ścianą stołpu wzniesiono prostą platformę, na której środku ustawiono cztery pale wysokie na półtora chłopca. Ludzie znosili drewno i gałęzie. Uldolf popatrzył na pale, potem znowu na tłum i zobaczył w oczach swoich współbraci strach.

Przez jedną krótką chwilę pomyślał o ucieczce. To była bardzo przelotna myśl. Nawet

gdyby nie pilnowało go czterech strażników, nie miał gdzie uciekać.

Wprowadzili go do stołpu.

XXIX

Dobiegające zza drzwi słowa biskupa paliły Lilię niczym kwas kapiący na jej skórę. Zamierzali zabić Ulfięgo i jego rodzinę za to, że jej pomogli. Z jej powodu Ulfię znowu dozna krzywdy.

Zamknęła oczy i pragnęła siłą woli zatrzymać bicie swojego serca. Zwinęła się w drżącą kulę na zimnych kamieniach podłogi.

- Przestań!

Własny głos ją zaskoczył. Znieruchomiła, czekając, aż kontrolę przejmie ta druga. Potrzebowała kilku sekund na zrozumienie, że nie ma żadnej drugiej, już nie. Głęboko wciągnęła powietrze i spróbowała się cofnąć, odtwarzając własne myśli.

Rzadko próbowała przemyśleć coś, co raz już zrobiła. Zabójczynią był ktoś inny, coś innego.

A jednak nie, nie mogła się ludzić. To ona była tym krwiożerczym potworem, który zabijał bez namysłu i bez litości.

Czemu tak bardzo bała się samej siebie? To, czego najbardziej żałowała w życiu, to, co zrobiła Uldolfowi i jego rodzinie, nie stało się dlatego, że była potworem. Skrzywdziła Uldolfa dlatego, że była słaba. Zbyt słaba, by odmówić swojemu panu. Gdyby była silniejsza...

Uświadomiła sobie, że teraz jest słaba.

Poddała się.

Uldolf zasługiwał na więcej.

Ona też zasługiwała na więcej.

I zdecydowanie na więcej zasługiwał jej pan, Erhard.

Wygięła ciało i udało jej się usiąść. Uldolf świetnie się spisał, krępując ją na tyle dobrze, że zakonnicy nie musieli nic poprawiać. Grube skórzane pasy owijały jej nogi od kolan w dół, boleśnie ciasno.

Nie zdoła ich rozerwać.

Przetoczyła się na plecy, uniosła i zgięła nogi. Z rękami związanymi na plecach nie było to łatwe i musiała przetaczać się kilka razy, w końcu jednak zdołała dotknąć stopami czoła i chwycić pas końskiej skóry w zęby.

Nawet jej ludzkie szczęki regularnie żuły twarde kości, więc przegryzienie się przez skórę nie było wyjątkowo trudne. Znacznie trudniejsze było zginanie się w taki sposób, by sięgnąć paskami do ust. Po przegryzieniu trzeciego pasa więzy poluzowały się na tyle, że zdołała je zsunąć z nóg.

Przez dłuższą chwilę dyszała z wysiłku. W ustach czuła krew i strzępy skóry.

Ręce wciąż miała skrępowane, związane ciasno za plecami zbyt wysoko, by możliwe było przełożenie ich do przodu.

Czas uciekał. Nie mogła być tylko w połowie wolna, gdy przyjdą po nią strażnicy.

Usiadła, pomacała wokół i znalazła potężną klamrę w podłodze, do której kiedyś ją przykuto łańcuchem.

Chwyliła pierścień obiema rękami, po czym rozważyła możliwości.

Trzymając się klamry, mogła przepchnąć ręce nad głowę. Wywicznie sobie przy tym kości ramion ze stawów, ale się uzdrowi. Tylko że nie wiedziała, ile to potrwa. A gdyby wyrwała sobie jedną dłoń, wklinowując ją w pierścień, zyskałaby trochę luzu, który by wystarczył do uwolnienia rąk. Jednak znowu pojawiał się ten sam problem - dłoń mogła jej nie odrosnąć, zanim przyjdą strażnicy.

Gdyby tylko mogła się przemienić! Choć w tej postaci była silna, wilczyca była jeszcze silniejsza. Przeszkadzała jej srebrna obręcz na szyi.

Przecież to ta sama obręcz, w której Uldolf wyłamał zawias. Na pewno jest uszkodzona.

Żelazna klamra wmurowana w kamienną podłogę celi była twarda, dużo twardsza od srebra. Lilia przesunęła się na plecach, aż tyłem karku dotknęła klamry. Zawias znajdował się z tyłu obręczy.

Lilia powoli usiadła i pochyliła się do przodu.

Bardzo źle byłoby nie trafić. Ale nie zamierzała spudłować.

Nabrała pełne płuca powietrza, przycisnęła podbródek do piersi, napięła mięśnie i rzuciła się do tyłu. Walnęła karkiem w żelazną klamrę z taką siłą, że pociemniało jej w oczach.

Leżała na podłodze ogłuszona. Minęło kilka chwil, zanim zdołała rozluźnić szczęki, i jeszcze parę, zanim mogła z powrotem usiąść.

Obroża zsunęła się z jej szyi i spadła na kolana.

Lilia spróbowała wstać, ale wciąż była zbyt oszołomiona i obolała. Przewróciła się, obroża odtoczyła się w mrok.

Srebro już jej nie więziło. Zamknęła oczy i przywołała wilka w swoim ciele.

Serce zabiło szybciej, każdym uderzeniem pompując coraz więcej krwi. Mięśnie stężały, napierając na wydłużające się kości. Skóra zaswędziała, gdy porastała sierścią. Zęby stały się

mocne i ostre, szczęka wysunęła się do przodu.

Lilia jęknęła, choć bardzo starała się być cicho.

Poczuła ból przemiany - ból, który zawibrował w jej skórze i każdym włóknie mięśni. Ból przenikający całe ciało. Ból witany z radością. Towarzyszyła mu ekstaza porównywalna jedynie z orgazmem.

Rozrastające się kości i mięśnie napierały na skórzane więzy, które wrywały ręce z coraz szerszych barków. Krew spływała na sierść okrywającą dłonie.

Transformacja dobiegła końca. Bestia oparła pysk o drzwi celi, dysząc ciężko. Czowała zapach swojej krwi, a ręce miała wykręcone do tyłu i skrepowane tak ciasno, że w ogóle nie mogła nimi ruszać. Dłonie jej zdrętwiały.

Nawet w tej postaci nie miała dość siły, by rozerwać więzy.

Mogła zaatakować wchodzących strażników samymi zębami. Jednak choć gardziła teraz swoim panem, zbyt dobrze ją wyszkolił, by porwała się na coś takiego. Z pewnością przyjdzie pięciu lub sześciu ludzi uzbrojonych w srebro. Będą ostrożni, przed otwarciem drzwi zajrzą do celi, zaczną strzelać przez judasz.

Nie mogła być tylko silniejsza od nich. Musiała być sprytniejsza.

Skórzane więzy wciąż napinały się, trzeszczały, wyłamując ręce ze stawów.

Wezwała wilka do ukrycia w sobie. Nie było to łatwe i wzbudziło w niej desperacki głód. Gdy z powrotem przybrała ludzki kształt, miała wrażenie, jakby wciąż się kurczyła, zapadając się w płonąca jamę żołądka. Uświadomiła sobie, że od wczoraj nic nie jadła, a dwukrotnie dokonała przemiany...

Jej ciało dysponowało ograniczonymi zasobami. Gdy znowu się przemieni, będzie osłabiona.

Zamknęła oczy i powiedziała sobie, że to tylko jeszcze jedna rzecz, którą trzeba wziąć pod uwagę. Jeśli nie zdoła się uwolnić, głód nie będzie miał znaczenia.

Spróbowała poruszyć rękami.

Transformacja nie zerwała więzów, ale skórzane pasy naciągnęły się dostatecznie, by mogła wysunąć z nich ręce.

Przez chwilę rozkoszowała się odzyskaną swobodą ruchów. Nie wiedziała, ile czasu minie, gdy przyjdą po swojego potwora, a musiała być gotowa, zanim tu dotrą.

Zaczęła macać podłogę celi, aż odnalazła wszystkie skórzane pasy i srebrną obręcz.

* * *

Prowadząc siedmiu ludzi w głąbiny lochów pod stołpem, Erhard modlił się cicho.

Wiedział teraz, że biskup Cecilio miał rację, mówiąc, że spalą na stosie posłańca samego diabła. Fakt, że Lilia bez skrępowań rozszarpywała ciała chrześcijan tak jak wcześniej pogan, powinien wystarczyć na dowód, że jest dziełem szatana. Erhard teraz już w to wierzył.

„Jesteś jedynym bogiem, jakiego mam”. Tak powiedziała.

Nie, nie była zwierzęciem. Zwierzęta nie mogą bluźnić.

Komtur chciał skończyć wszystko już teraz. Jedno szybkie cięcie oddzielające głowę od ramion wystarczy, by usunąć to zagrożenie dla ciała i duszy. Jednak Bóg i biskup postanowili pomnożyć jego próby.

Czekała go kara za dumę. W swojej pysze wciąż miał nadzieję, że gdyby mógł porozmawiać z Lilią, ona mu wszystko wyjaśni i wtedy się okaże, że w niczym nie zawinił mimo roli, jaką odegrał w jej wychowaniu.

Jednak w trakcie przesłuchania uświadomił sobie, jak ciężki grzech popełnił. Nie tylko przez dziesięć lat pielęgnowania jej rodzaju. Ten grzech mógł usprawiedliwić, bo uległ oszustwu - i to oszustwu, które obejmowało nawet papieża. Nie, jego grzech, za który musiał teraz zapłacić, polegał na tym, że szukał wybaczenia i rozgrzeszenia w oczach szatana. Zamiast zwrócić się do Boga, zwrócił się do Lilii. Zamiast modlić się o wskazanie drogi, oparł wiarę na słowach demona. Chciał, by powiedziała coś, co pozwoliłoby mu dalej wierzyć, że nie spędził ostatnich dziesięciu lat na służbie diabłu.

Ta arogancja bardzo ciążyła mu teraz na duszy. Ciężar ten pozostanie, nawet gdy Lilię pochłoną płomienie stosu, demonstrując zamkniętym na dziedzińcu Prusom ostateczny triumf Boga.

Erhardowi robiło się niedobrze na myśl o tym. Nie z powodu Lilii, która już została przypisana do ognistej otchłani, ale był przekonany, iż biskup popełnia błąd, urządzając ten spektakl. Bóg żądał, by to Jemu oddawano wszelką cześć i chwałę, a ten publiczny pokaz miał służyć oddaniu czci i chwały biskupowi Cecilio.

Przecież biskup nie znajdował się w jakiejś hardej pogańskiej wiosce, dopiero co podbitej. Tutejsi mieszkańcy oddali cześć Panu i przysięgli służbę zakonowi.

Cóż, komtur nie miał prawa krytykować biskupa Cecilio. Podążali teraz drogą do piekła, lecz on sam ją zbudował.

Doszedł do celi Lilii. Przystanął i kilka razy odetchnął głęboko. Nie można popełnić żadnych więcej błędów. Lilia, nawet związana, jest śmiertelnie niebezpieczna.

Nie będzie mu już okazywała szacunku. Choć prowadził siedmiu ludzi, nie mógł sobie pozwolić na żadną niedbałość i brak ostrożności.

- Wy dwaj - zwrócił się do kuszników - wycelujcie.

Kusznicy posłusznie klęknęli po obu stronach krótkiego korytarza. W świetle latarni jasno błyszcząły srebrne groty ich beltów. Byli najlepszymi strzelcami w zamku Johannesburg i Erhard nie wątpił, że jeśli strzelą, ich pociski trafią w cel.

W połowie drogi do drzwi polecił:

- Wyciągnijcie miecze i poczekajcie tu chwilę.

Podszedł do drzwi sam, trzymając latarnię. W chwili otwarcia judasza będzie jedyną osobą w zasięgu łap.

Gdy podnosił rękę i otwierał żelazną przesłonę, czuł walenie serca. Nic nie wyłoniło się, by chwycić go z mrocznego otworu - tylko w nozdrza uderzył go zapach nasiąkniętej moczem słomy.

Podniósł latarnię.

Lilia leżała na boku, z rękami z tyłu. Nogi miała owinięte skórzanymi pasami, a na jej szyi Erhard dostrzegł odbłask srebra. Nie zrobiła żadnego ruchu, tylko zamrugła w świetle latarni.

- Chodźcie tu - polecił.

Wskazał miejsce na korytarzu o krok za brudami wydrapanymi przez drzwi w podłodze. Ustawili się - trzech z przodu, dwóch z tyłu - z jasno błyszczącymi srebrnymi klingami.

Gdy zajęli pozycję, Erhard otworzył zasuwę i pociągnął drzwi. Otworzyły się powoli, ze zgrzytem. Komtur poświecił latarnią do wnętrza celi.

Nie poruszyła się. Nawet na niego nie spojrzała. Oczy miała zamknięte i odwróciła głowę, przyciskając podbródek do piersi.

Wskazał dwóch ludzi w korytarzu, gestem przywołując ich do siebie. Jeden oprócz miecza trzymał małe zawiniątko.

- Okryj ją - rozkazał Erhard.

Mężczyzna schował broń do pochwy. Rozwinął długi kawał grubego płótna i okrył nim nagą Lilię. Nie opierała się, gdy we dwóch przeturlali ją, zawijając w materiał. Wciąż nie chciała na nich spojrzeć, trzymając brodę przyciśniętą do piersi.

Erhard gestem przywołał kolejnego mężczyznę i podał mu latarnię.

To on zgrzeszył i on wyniesie ją na światło dnia. Dziękował Bogu za fakt, że Lilia się nie odzywa. Schylił się i podniósł ją z podłogi. Teraz odsłoniętą miała tylko głowę i gdy chwycił ją w ramiona, zwinęła się w ciasną kulę, zatapiając twarz głęboko w okrywające ją płótno.

Próbuje uniknąć spojrzenia w twarz Bogu, pomyślał, ale zaraz po tym w jego głowie pojawiło się bluźniercze pytanie: Mojemu Bogu czy jej bogu, czyli mnie?

Popatrzył na trzech mężczyzn stojących z nim w celi.

- Bądźcie gotowi na atak. Jeśli krzyknę albo wyleci z moich rąk, zabijcie ją, nie oglądając się na moje bezpieczeństwo.

- Tak, panie - odpowiedzieli jak jeden mąż.

Podszedł do drzwi. Dwaj ludzie z mieczami stali tuż za łukiem wykreślonym na podłodze przez drzwi celi, dwaj z kuszami wciąż klęczeli na końcu korytarza.

Jego ludzie ustawili się tak, jak rozkazał im wcześniej. Uzbrojeni w miecze otoczyli go, jeden kusznik ruszył przodem, trzymając się w odległości dwudziestu kroków, drugi został w takiej samej odległości z tyłu.

Jeśli będą musieli strzelić, nie będzie czasu na ponowne załadowanie. Ostrzegł ich, zanim tu zeszli: „Strzelajcie tylko w głowę, jeśli zdołacie, w gardło, jeśli musicie, lub w serce, jeżeli nie będzie innego wyboru”.

Na twarzy żadnego z eskortujących nie było widać wahania. Każdego z nich komtur wybrał ze względu na osobiste doświadczenia - albo byli świadkami, jak okrutnie Lilia przez lata służyła chrześcijaństwu, albo znali jej ostatnie ofiary.

Żaden z nich nie da się zwieść obrazowi biednej dziewczyny. Wszyscy uzbrojeni byli w broń właściwą przeciw niej. Nie ulegną panice, jeśli nagle zobaczą przed sobą bestię.

Gdyby w jakiś sposób zdołała zaatakować, wrywając się z więzów lub srebrnej obroży, mogła pozbawić życia Erharda, ale nie przeżyje dość długo, by zabić kogoś więcej.

Na szczęście Bóg był z nimi i nie zaatakowała. Właściwie nie ruszała się wcale. Gdy Erhard wspinał się po schodach, opuszczając podziemia twierdzy otoczony strażnikami ze srebrną bronią, zaczęła drżeć.

Jednak po chwili z lękiem uświadomił sobie, że to nie jest drżenie.

Lilia cichutko śpiewała.

XXX

Przyszli po Uldolfa, zanim się przygotował.

Ale nigdy nie byłby do końca gotowy na coś takiego.

Choć żył na kredyt od chwili, gdy wyrwano mu rękę z barku, nie chciał kończyć życia w ten sposób. Kiedy po niego przyszli, rzucił się na strażników. Jego próba była żalosna. Wystarczył jeden cios w już opuchniętą twarz, by zwałił się na ziemię.

Jednak jeszcze gorsze byłoby pokorne pójście z nimi, bez żadnego oporu.

Strażnicy brutalnie przywiązali mu rękę do boku i dźwignęli go na nogi. Wrzasnął coś obraźliwego. Jeden z nich wepchnął mu kawałek drewna do ust i przywiązał go skórzanym pasem.

Dwaj strażnicy na wpół przeciągnęli, na wpół zanieśli Uldolfa przez kamienne korytarze, w górę schodów i na dziedziniec przed stołpem. Słońce już zaszło i dziedziniec oświetlały pochodnie trzymane przez niemieckich żołnierzy. Pruscy więźniowie tworzyli milczącą widownię, stłoczoną za Niemcami.

Wszyscy patrzyli na stos.

Miejsce pod platformą wypełniono belkami i chrustem. Cztery stojące blisko siebie pale wskazywały niebo niczym palce olbrzyma zapadającego się w ziemię.

Nikt w tłumie się nie odezwał. W głębokiej ciszy tylko trzaskały płonące pochodnie.

Uldolf patrzył na stos i teraz do niego dotarło.

Cztery pale...

Nie! Nie mogą być aż tak okrutni!

Żołnierze zaciągnęli go na platformę, do najbliższego pala. Opierał się, gdy przywiązywali go liną, szarpał się, patrząc poza trzymających go strażników.

Próbował krzyknąć: „Mamo!”, ale spod drewnianego knebla wydobyło się tylko słabe stęknięcie. Mimo wszystko Burthe go usłyszała i obróciła głowę. Uldolf zobaczył, jak szerzej otwiera oczy, i gdyby nie krępujące go liny, padłby na kolana ze wstydu.

Gorszy od widoku matki związanej i zakneblowanej, gorszy od jej posiniaczonej i zakrwawionej twarzy był brak nadziei w jej oczach i świadomość, że to z jego powodu będzie patrzyła na śmierć obojga swoich dzieci.

Strażnicy zeszli z platformy, by wprowadzić na nią Burthe. Zniknęła mu z oczu,

ponieważ ustawili ją przy słupie za jego plecami.

Potem przyprowadzili jego ojca. Gedima trudno było rozpoznać, tak ciężko został pobity. Jego twarz stanowiła opuchniętą szachownicę czerwieni i fioletu. Zasnęta krew zebrała się na jego ustach, które najwyraźniej były zbyt spuchnięte i rozbite, by wsadzać w nie knebel. Nos był krwistą bezkształtną masą, a w miejscu lewego ucha zasechł strup wielkości pięści. Gedim był nieprzytomny, strażnicy musieli go wlec między sobą. Chwiał się jak szmaciana lalka, gdy przywiązywali go do pala po lewej stronie Uldolfa.

Uldolf zacisnął pięść. Jego serce biło w szaleńczym tempie. Teraz przyprowadzą Hildę i przywiążą ją do słupa skierowanego w stronę tłumu. Ten widok go złamie.

Jednak honorowe miejsce wcale nie miało przypaść jego siostrze.

Ze stołpu wyłoniła się liczna eskorta. Strażnicy poruszali się tak, jakby kroczyli po polu bitwy. Pierwszy szedł żołnierz z kuszą. Zatrzymał się przed rzędem ludzi z pochodniami, przyklęknął i wymierzył z powrotem w stronę, z której przyszedł.

Następnie szło dwóch zbrojnych trzymających w dłoniach nagie miecze, których ostrza lśniły srebrzyście w świetle pochodni.

Za nimi maszerował rycerz Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Miał na sobie biały płaszcz z czarnym krzyżem, a w ramionach niósł owinięte płótnem ciało.

Lilia zwinęła się w kulę, ukrywając twarz w brudnej tkaninie. Jej włosy zwisały luźno, a większość czarnego barwnika została wymyta przez pot, więc w świetle pochodni pobłyskiwały rudo.

Rycerz niósł swój ciężar do słupa ustawionego z przodu platformy. Gdy wszedł na platformę, Uldolf usłyszał śpiew. Starą kołysankę.

Nie bój się drogi przed sobą...

Niespodziewane emocje załamywały go wszechogarniającą falą.

Gdy zobaczył Lilię, jego pierwszą myślą było, że oto sprawiedliwości stanie się zadość. Ona powinna spłonąć zamiast Hildy, płacąc za śmierć jego pierwszej siostry, za śmierć całej jego pierwszej rodziny.

Ale ten śpiew...

Matka ochroni swe dzieci.

Cokolwiek przyniesie mrok.

Dziewczynka, którą poznał w lesie, kobieta którą znalazł w tym samym lesie, ta, która nazwała go Ulfie, z którą się kochał, która ostrzegła go, by nie pamiętać.

Czy obie były potworem?

Chciał zobaczyć, jak Lilia płonie.

I równocześnie wcale nie chciał.

* * *

Lilia śpiewała, żeby się uspokoić.

Tak łatwo byłoby sięgnąć w górę i posmakować krwi z gardła Erharda, ukarać jej zimnego i niewybaczającego boga. Tylko czemu miałyby to służyć? Wiedziała, że potrafi odbierać życie. Ale czy potrafiła jakieś uratować?

*Nie bój się drogi przed sobą,
ostrzych kamieni ni nagich drzew,
matka ochroni swe dzieci,
Gdzie droga zawiedzie je...*

Wiedziała, że jej pan się boi. Czowała napięcie trzymających ją ramion. Czowała zapach potu. Słyszała ciężki oddech komtura i łomotanie serca. Ukryta w płóciennym zawoju stopniowo rozsuwała ręce i nogi, by utrzymać sztywność luźnych skórzanych więzów.

Czekali. W drodze z celi zorientowała się, że eskortę tworzy siedmiu żołnierzy, dwóch kuszników i pięciu z mieczami o srebrnych klingach. Spodziewali się, że będzie walczyć. Czekali na to. Wręcz tego pragnęli.

Jak często dotąd polegała na nieświadomości lub głupocie swoich przeciwników? Zaskoczenie było groźniejsze od wilczej bestii, jak odkrył ten, który ją zgwałcił. Teraz jednak nie mogła ich zaskoczyć.

Jeśli zrzuciłaby więzy i miała te kilka chwil na przemianę, zdołałaby pokonać każdego. Jednak nie było na to szans, gdy Erhard ją niósł, otoczony przez ludzi z mieczami. Pięć mieczy mogło przebić jej ciało, zanim trup Erharda wylądowałby na ziemi.

*Nie bój się wilka, ni dzika czy trolla,
nie stanie ci się żadne zło...*

Kiedy wyszli na dziedziniec, zobaczyła drewniany szkielet stosu, zobaczyła żołnierzy z

pochodniami i Prusów, którzy będą musieli się przyglądać.

Zakon wszystkim pokaże gniew swojego Boga.

*Matka ochroni swe dzieci,
cokolwiek przyniesie mrok...*

Zobaczyła Uldolfa, Burthe i Gedima przywiązanych do palów na stosie. Uldolf był zakrwawiony, pobity. Ten widok podsycił żarzący się w jej piersi węgielek furii i poczuła, jak jej mięśnie i kości zaczynają się napinać i trzeszczeć...

Jeszcze nie.

*Nie bój się płaszczka złej nocy,
Gdy słońce ukryje się hen...*

Erhard zaniósł ją do ostatniego wolnego słupa, najbliższego tłumowi. Nie opierała się, gdy trzech ludzi przytrzymało ją przy palu. Uśmiechnęła się, czując bijący od nich strach. Zostawili ją w zawoju płótna. Przez cały czas trzymała opuszczoną głowę, przyciskając podbródek do piersi, by utrzymać obrożę.

Przywiązywało ją trzech mężczyzn, lecz choć wiedzieli, do czego jest zdolna, spodziewali się, że może chcieć uciec, jednak - tak jak wszyscy - nie docenili siły jej delikatnego, ludzkiego ciała. Gdy zaciskali sznury, nie zdawali sobie sprawy, że ona odsuwa się od pala, zapewniając sobie wolne miejsce między nim a plecami przynajmniej na szerokość ramion.

*Matka ochroni swe dzieci,
gdy przyśni się straszny ci sen...*

* * *

Uldolf chciał wrzeszczeć. Jeśli Lilia była złem, to oni stworzyli to zło, by oddać je w służbę ich własnego, okrutnego Boga. Jeśli ona miała spłonąć, jej panowie z zakonu krzyżackiego powinni upiec się w tym samym ogniu.

Wykręcił szyję, próbując rozejrzeć się po tłumie za rzędem pochodni. Wielu ludzi go znało, znało jego rodzinę. Będą tam tak po prostu stać, przyglądając się, jak podkładają pod nimi ogień?

Gdy tylko spojrzał komuś w oczy, ta osoba natychmiast odwracała wzrok.

Zrozumiał - to naprawdę się stanie.

Odwrócił się, by popatrzeć na Lilię. Nawet ona zrezygnowała, śpiewała cicho z opuszczoną twarzą.

Oczywiście, że się poddała, pomyślał. Poddała się, gdy ją zaatakowałem... Była gotowa, by umrzeć z mojej ręki. Czemu teraz miałyby się to zmienić?

Oszczędził ją tylko w nadziei, że będzie mógł wymienić ją za swoją rodzinę. Tak sobie powiedział.

Wciąż to sobie powtarzał.

Nawet jeśli to zakon wydawał jej rozkazy, to jej nie rozgrzeszało. I jak wytłumaczyć to, że przyszła do niego po latach, wykorzystując jego niesprawną pamięć...

„Lepiej nie pamiętać”...

Była gotowa, by umrzeć z jego ręki.

Czemu?

Była potworem, a potwory nie mają wyrzutów sumienia.

Gdy Lilia została przywiązana, strażnicy zeszli z platformy i zajęli miejsca w szeregu żołnierzy z pochodniami. Dwaj kusznicy zostali na stanowiskach przed szeregiem, nadal klęczeli i celowali w Lilię.

Uldolf zobaczył, że Erhard podszedł do grupy rycerzy zakonu. Tylko sześciu ludzi na dziedzińcu nosiło czarne krzyże, żaden nie trzymał pochodni. Najwyraźniej zadanie przypadło rycerzom świeckim, ich giermkom i kilku strażnikom pozostałym z pierwotnego garnizonu twierdzy.

Stos stanowił teraz jedyny punkt, na którym skupiała się uwaga dużego półokręgu uzbrojonych chrześcijan. Ziemia wokół stosu była pusta na dwadzieścia kroków we wszystkie strony, by nikt prawy nie został naznaczony ogniem. Prusowie stłoczeni za żołnierzami również patrzyli na stos, a na ich twarzach rysowało się niedowierzanie.

Przecież byli chrześcijanami, prawda? Przysięgli służbę zakonowi i oddali cześć Bogu zakonu. Miały im przysługiwać takie same prawa, jak każdemu chrześcijaninowi - przemawiania w swojej obronie, stawania przed sądem i uleganie karze, tylko jeśli tak stanowi prawo. Doraźna egzekucja, spalenie na stosie bez możliwości wyrzeknięcia się błędu... tak nie traktowano nawet zatwardziałych heretyków.

Tłum wokół stosu został rozepchnięty przez klin strażników w strojach złoto-zielonych. Pośrodku nich kroczył tęgi mężczyzna ubrany w szkarłatne szaty obszyte futrem. Tuż za nim szedł sierżant Günter. Twarz miał bez wyrazu, niemal kamienną.

Gdzie są teraz twoje epickie opowieści o pruskiej sprawności? - przemknęło Uldolfowi

przez głowę.

Grubas z Günterem wyszedł na pusty teren przed stosem. Rozejrzał się po dziedzińcu i wykrzyczał coś po niemiecku.

Günter powtórzył jego słowa po prusku:

- Osiem lat temu ta wioska została ocalona przed pogańskim potępieniem.

Biskup znów przemówił po niemiecku, a Günter przetłumaczył:

- Miecz Boga uderzył nikczemnych i przekazał sprawiedliwych pod opiekę Chrystusa. Wszyscy, którzy przyjęli Pana, powinni się w sercach cieszyć, że uniknęli wiecznego potępienia czekającego waszych niewiernych współbraci, albowiem na pogan czeka jezioro wiecznego ognia.

Gdy biskup przemawiał, robił to z wielkim przekonaniem, grząc gardłowymi spółgłoskami w słuchaczy niczym fizycznymi razami, machając rękami i rozrzucając rękawy niczym zakrwawione skrzydła.

Günter tłumaczył bez emocji, jakby nie rozumiał przekazywanych słów.

- Walka przeciwko złu, przeciwko potępieniu, nigdy nie ustaje. Toczona jest nie tylko mieczami zakonu, ale i w duszy każdego mężczyzny, kobiety i dziecka. Są tacy, którzy obiecują posłuszeństwo Bogu, jednak mówią fałszywie. Są tacy, którzy nie wyrzekli się bałwochwalstwa. Są i ci, którzy wyznają szatana w jego rozlicznych przebraniach. Sam szatan może kroczyć między nami, biorąc na swoją służbę kłamców, nieostrożnych, niegodziwych i nieświadomych.

Biskup odwrócił się i wskazał na Lilię, uderzając słowami, jakby mógł nimi zabijać.

- Ta kobieta jest agentem diabła - przetłumaczył Günter - i uśmierciła wielu chrześcijan. Ukrywa w sobie bezduszną bestię żądną ludzkiej krwi. Ci, którzy stoją obok niej, są współwinni jej zbrodni, bo dali jej schronienie, karmili ją i ukrywali przed wysłannikami Boga. Podziela jej los. Czy wy nie zapewnialiście jej schronienia, nie karmiliście jej? Czy dopiero teraz służy diabłu, ponieważ odmówiła dalszego służenia wam?

Biskup powiedział coś groźnym tonem.

- Podobny los - kontynuował tłumaczenie Günter - spotka każdego, kto stanie przeciwko Bogu i Kościołowi lub będzie przeszkadzał osobom obdarzonym władzą papieża.

Mężczyzna w bogatej szacie poczekał, by te słowa dotarły do słuchaczy. Po chwili odezwał się ponownie, już ciszej. Strażnicy, stojący dotąd w ciasnej grupie, rozstąpili się, odsłaniając małe dziecko.

Hilda! Uldolf chciał krzyczeć, ale jego usta wciąż blokował knebel.

- ...pokaże, że Bóg jest równie miłosierny jak surowy - mówił właśnie Günter. Jego słowa

były teraz jeszcze bardziej beznamienne. - To dziecko, choć równie winne działań swojej rodziny, zostanie oszczędzone, by możliwe było sprowadzenie jej do pełnej łaski i wybaczenia Chrystusa.

To jest łaska? - pomyślał Uldolf. Hilda musi patrzeć, jak płonie cała jej rodzina?

Biskup wziął dziecko za rękę i przyciągnął do stosu.

- Mama! Ulfie! - zawołała Hilda. Próbowwała pobiec, ale biskup trzymał ją mocno. Krzyknął coś po niemiecku, czego Günter nie przetłumaczył.

Żołnierze rzucili pochodnie, które wykreśliły łuki pod nocnym niebem, zostawiając za sobą smugi iskier. Upadły na porozrzucaną między belkami podpałkę.

Hilda krzyknęła.

Płomienie ogarnęły podstawę stosu i Uldolf niemal natychmiast poczuł żar oblewający jego twarz, dym piekący w oczach. Siostra wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, po jej policzkach spływały łzy.

Proszę, Hilda, zamknij oczy, nie patrz na to, pomyślał.

Biskup powiedział parę słów.

- Pomódlmy się teraz za duszę tego dziecka - przetłumaczył Günter.

Biskup zaczął śpiewać coś po łacinie. Wszyscy chrześcijanie opuścili głowy.

Wtedy głowę podniosła Lilia.

INTERLUDIUM

Anno Domini 1231

Lilia wypisała wolę swojego pana w całej twierdzy Mejdân, używając do tego krwi niewiernych. Atakowała wrogów w ciemnych, wąskich korytarzach. Uderzali mieczami, nożami i maczugami, jednak zwykle wystarczało, że wyłaniała się z cienia, by wstrząs ich obezwładniał. Paniczne ciosy, które w nią trafiały, nie byłyby zabójcze, nawet gdyby nie dysponowała darem leczenia się.

Mordowała wszystkich na drodze do samego środka budynku, nie zostawiając przy życiu nikogo, kto mógłby podnieść alarm i ostrzec przed zbliżającym się gniewem Boga.

Prawie nikogo.

Z krwią na wargach i smrodem śmierci wypełniającym płuca zatrzymała się przy jednych drzwiach. Wartownik zagradzał jej drogę aż do chwili, gdy pozbawiła go głowy. Słyszała dobiegający zza drzwi oddech, spokojny i miarowy.

Naparła zakrwawioną łapą na skrzydło drzwi i w jej piersi zbudził się warkot. W głębi pokoju ktoś jęknął przez sen.

Głos zabrzmiał znajomo.

Uldolf?

Oderwała łapę od drzwi, jakby buchnęły płomieniami. Cofnęła się, przechodząc nad ciałem pozbawionego głowy wartownika.

Nie, nie pozwoli, by wola jej pana spadła na tego jednego chłopca. Jej pan chciał, by zabijała wojowników i siała panikę. Ten chłopiec dla pana nie ma żadnego znaczenia.

- Śpij - wyszeptła w stronę drzwi, odwracając się, by przebić sobie drogę do serca twierdzy.

* * *

To powinno było się tam skończyć.

Powinno było skończyć się przy drzwiach Uldolfa. Powinna była tam uświadomić sobie w pełni, co znaczyła służba jej panu.

W jakimś sensie zdała sobie z tego sprawę. Dziewięcioletnia dziewczynka oburzyła się na

myśl, że Uldolf był pośród potępionych, skazanych na śmierć przez boga jej pana.

Jednak była też inna Lilia - przygarbiona, o rudym futrze, krwiożercza. Zimna i niedbająca o ból, smutek czy radość. Ta Lilia posmakowała ludzkiej krwi i czuła w niej łaskę swojego pana, sposób wyładowania swojej furii.

To była Lilia, która weszła do sypialni reiksa Radwena Seigsona z Mejdânu.

* * *

Gdy rozwalila drzwi, w pomieszczeniu znajdowało się pięć osób. Dwóch strażników rzuciło się w próbie ataku - daremnej, bo ich oderwane kończyny cisnęła między połamane meble. Pozostało przy życiu troje: kobieta, dziecko i Radwen Seigson.

Kobieta skoczyła do walki, gdy Lilia sięgnęła po dziecko, ale jedno uderzenie oderwało wyciągniętą rękę, a drugie rozdarło twarz kobiety, rzucając ją na ziemię.

Radwen próbował ukryć dziecko za sobą, lecz bez trudu wyjęła drobne ciało z jego rąk i odrzuciła je w stronę drzwi.

Walnęła pogańskim wodzem o drewnianą ścianę i zaczęła go rozszarpywać.

Gdy na jej pysk trysnęła gorąca krew, poczuła nagły ból u dołu pleców, przebijający ją i wzbudzający gwałtowny skurcz mięśni. Kawałki ciała Radwena spadły na podłogę, gdy odwróciła się w furii, chwytając uzbrojone w miecz ramię napastnika.

Wyrwała rękę atakującemu, jeszcze zanim uświadomiła sobie, kto to jest.

Wszystko w niej zamarło.

Uldolf zataczał się na nogach, krew tryskała z rozszarpanego barku. W świetle lamp jego twarz lśniła kredową bielą.

Zrobił krok do tyłu, poślizgnął się na włosach kobiety i poleciał na plecy. Otworzył usta w okropnym, bezdźwięcznym krzyku, zaczął się odpychać stopami, rozmazując na podłodze świeżą smugę krwi.

Widząc otwartą ranę w jego barku, Lilia zapomniała o swoim panu. Podeszła do Uldolfa.

Wbił w nią spojrzenie szeroko otwartych, pustych oczu.

- Przestań! - krzyknął. - Proszę, przestań!

Gdzieś w jej wnętrzu odpowiedział mu głos: Tak chce Bóg.

- Nie - szepnęła.

Uldolf patrzył na nią nieprzytomnie.

- Przestań! Proszę, przestań!

Tego chce mój pan.

Dotknęła jego policzka. Nieludzkie palce pozostawiły na twarzy Uldolfa ślady krwi.

- Nie. Nie ty.

Czy to ja go skrzywdziłam?

Uldolf gwałtownie potrząsnął głową, uciekając przed jej dotykiem. Jego głos był coraz słabszy.

- Przestań! Proszę, przestań!

- Ciebie wcale nie chciałam krzywdzić, Uldolf.

Myśmy go skrzywdziły.

Lilia zapłakała, jej łzy na sierści zmieszały się z krwią ofiar. Odwróciła się i uciekła.

* * *

Gdy przyszedł po nią jej pan, doszła już do siebie po wstrząsie. Jej myśli o Uldolfie zostały bezpiecznie ukryte, wraz z uczuciami tej drugiej Lili - tej, która pamiętała kołysanki i nauczyła się pływać.

Powiedziała sobie, że nie jest już dzieckiem i nigdy więcej nie będzie płakać.

W ciągu następnych lat dobrze służyła swojemu panu, ucieleśniając gniew jego Boga. Nie знаła łaski ani wyrzutów sumienia i mówiła sobie, że nie dba o nic, a zwłaszcza o chłopca z osady Mejdân.

* * *

Osiem lat później siedziała z tyłu wozu, zasłonięta z trzech stron przez niemalowane boki z desek. Wnętrze było ciemne, bo rozpięta u góry tkanina rozpraszała światło brzasku.

Lilia, ubrana w prostą bluzę i spódnicę pruskiej wieśniaczki, włosy miała rozpuszczone. Siedziała na grubym sienniku z nogami podciągniętymi tak, że mogła opierać policzek na kolanach. Spódnica ukrywała srebrną obręcz zapiętą na jej kostce. Łańcuch prowadził do otworu w dnie wozu. Obok leżała noga łani, którą chrześcijanie upolowali dwa dni temu. Mięso było częściowo wyjedzone, sterczała czerwona kość.

Pan otworzył tylną klapę.

- Nie zjadłaś wiele. Dobrze się czujesz?

- Zostawiłam to sobie na drogę. Jesteś ze mnie niezadowolony? - zapytała, gdy zmarszczył brwi.

- Nie. Jeśli chcesz oszczędzać sobie jedzenie, możesz to robić.

Odwróciła twarz i popatrzyła na tkaninę rozpiętą w górze.

- Dotarliśmy już do pogan?

- Nie. Zostałem wezwany do Marienwerder. Nie mogę cię zabierać tak głęboko na ziemie

chrześcijan, więc zostawię cię w pobliskiej wiosce, Johannisburgu.

- Tam nie ma pogan?

- Nie. To była jedna z pierwszych osad, które pomogłaś sprowadzić do Boga. Jej pogańska nazwa brzmi Mejdân.

Lilia spuściła głowę, włosy zasłoniły jej twarz.

- Mejdân? - To słowo wzbudziło dreszcz w jej ciele.

- Pamiętasz tę osadę?

- Nie, nie pamiętam - skłamała po dłuższej chwili milczenia.

KOMPLETA

Anno Domini 1239

Iudicabit in nationibus, implebit ruinas;
conquassabit capita in terra multorum.

Będzie sędził narody,
wzniesie stosy trupów,
zetrze głowy jak ziemia szeroka.

Psalm 110:6

XXXI

Stojąca na stosie Lilia podniosła głowę, puszczając rozbitą obrozę, którą przytrzymała podbródkiem. Srebrne półokręgi rozdzieliły się i spadły na deski. Pośród płomieni nikt tego nie zauważył.

Wypuściła powietrze z płuc i rozluźniła mięśnie, przyciskając się do pala. Wiążące ją sznury zwisły luźno, skórzane pasy osuwały się w dół nóg pod płótnem. Trzymane za plecami ręce uwolniła ze skórzanych pęt.

Biskup dalej śpiewał po łacinie.

Sznury wciąż ją krępowały, ale dość luźno. Przesunęła ręce do przodu, by móc chwycić dwie górne pętle liny trzymającej ją przy słupie.

Słuchając modlitwy biskupa, wyszeptwała:

- Módlcie się za własne żałosne dusze.

* * *

Uldolf z wysiłkiem obracał szyję w stronę Lili i zobaczył, jak dziewczyna podnosi głowę. Z jej rysującej się na tle płomieni sylwetki znikł nagle wszelki ślad poddania i strachu. Nawet zanim obręcz spadła z jej szyi, Uldolf uświadomił sobie, że do tej pory dziewczyna grała.

Była gotowa poddać się sądowi Uldolfa, lecz nie zamierzała zaakceptować wyroku zakonu. I słusznie. Sądzić należało tych rycerzy zakonnych, nie ją.

Poruszyła się lekko. Zobaczył u jej stóp pozostałości skórzanych pasów, którymi wcześniej ją związał.

Jeśli uwolniła się z tych więzów, czemu pozwoliła się przyprowadzić do pala? - zastanawiał się. Przecież mogła uciec. Co ona robi?

Uldolf obejrzał się w stronę tłumu, jednak widok zasłaniały płomienie i dym. Trzask ognia zagłuszył chrześcijańskie modlitwy.

Ich czworo zostało odseparowanych w małym piekle - kurczącej się przestrzeni otoczonej płomieniami.

- Módlcie się za własne żałosne dusze - usłyszał słowa Lili.

Spojrzał w jej stronę.

Aż drżała z wysiłku. Napierała do przodu, ciągnąc słup.

Cała drewniana struktura stosu jęknęła. Uldolf patrzył na oświetloną ogniem twarz Lili. Oczy zmrużyła w wąskie szparki, zacisnęła szczęki, z kącika jej ust spływała strużka krwi. Szeroko otworzyła nozdrza, a na jej szyi uwydatniły się wszystkie mięśnie i żyły tak naprężone, jakby mogły pęknąć. Szczyt słupa, do którego ją przywiązano, pochylił się do przodu.

Uldolf przypomniał sobie słowa matki: „Ona jest silniejsza, niż na to wygląda”.

* * *

Lilia z całej siły naparła do przodu, napinając do drżenia wszystkie mięśnie. Usłyszała, jak drzewo trzeszczy. W ustach poczuła smak krwi.

Doprowadziła swoje ludzkie ciało do granic. Jednak sznury były zbyt mocne, zdołała tylko przesunąć drewniany słup lekko do przodu.

Jednak właśnie tego się spodziewała.

Pomyślała: Teraz!

* * *

Uldolf przerażony obserwował, jak mięśnie na karku Lili nagle zaczęły nabrzmiwać. Pulsujące żyły się rozrosły pod ciemniejącą skórą, zacisnięte szczęki się wydłużyły, pazury przebiły płótno, stopy rozrosły się w potężne łapy.

- Trzask drewna zrobił się głośniejszy i Lilia szarpnęła do przodu.

Ktoś z drugiej strony płomieni krzyknął coś po niemiecku.

W słup tuż przy jej głowie wbiły się dwa belty. Jeden drasnął ją w szyję, drugi rozdarł ucho.

Cała platforma zatrzęsała się od potężnego trzasku, jakby sam Bóg strzelał z bata, by ukarać niewiernych. Nawet płomienie zatańczyły, przetaczając się w wybuchu dymu i iskier. Szczyt belki za plecami Lili pochylił się do przodu, a w platformę wokół niej uderzyły kolejne pociski z kusz. Uldolf poczuł ból w ramieniu i przez chwilę myślał, że został trafiony - ale nie, z jego prawego ramienia sterczała wielka drewniana drzazga długości dłoni. Podniósł wzrok i zobaczył, że pał Lili się złamał, a u jego podstaw leży stos poszarpanego płótna i skórzanych pasów. Lili nie było.

* * *

Günter otępiałym wzrokiem przyglądał się egzekucji. Wiedział, co czują Prusowie patrzący na płomienie. Zakon obiecał, że każdy Prus, który przyjmie chrześcijańskiego boga,

będzie traktowany tak jak wszyscy chrześcijanie, że Kościół będzie szanował życie i własność nawróconego.

Stos biskupa świadczył o czymś innym.

Ile razy Kościół będzie jeszcze nalegał na przeprowadzenie takiej demonstracji? Przecież osiem lat temu przyjęli chrzest.

Biskup pokazywał im, że chrzest i oddawanie czci chrześcijańskiemu bogu nie wystarczały.

Ilu z nas wciąż szanuje starych bogów? - myślał Günter.

Uldolf sam oddał bestię Niemcom, a w nagrodę ginął koszmarną śmiercią.

Obok Güntera, na pustej przestrzeni między stosem a zakrzywioną linią żołnierzy, stał biskup, trzymał za rękę krzyczącą córkę Gedima i wykrzykiwał modlitwę po łacinie.

Jeśli na tym polega twoja droga do zbawienia, pomyślał Günter, to niech będę potępiony.

- Potwór się ruszył! - krzyknął ktoś po niemiecku.

Günter odwrócił się w stronę stosu. Trudno było coś dostrzec w blasku ognia. Jednak coś rzeczywiście działo się z przodu, gdzie do pala przywiązano potwora. Zobaczył tam poruszający się cień.

Przez trzaskające płomienie dobiegł inny, głośniejszy trzask, jakby otwarto dawno nieotwierane drzwi.

Od rzędu żołnierzy świsnęły bełty. Günter nie zobaczył, gdzie trafiły pociski, ale zaraz po tym, gdy oddano pierwsze dwa strzały, usłyszał potężny łoskot.

Pał potwora wyrzucił się na platformę, z płomieni buchnęły kłęby gęstego dymu i chmury iskier. Gdy płomienie przygasły, Günter zauważył, że ze słupa potwora pozostał ułamany pniak skierowany ukośnie w stronę nieba.

Biskup przerwał modlitwę.

W płomienie poleciały kolejne bełty, ale celu nie było widać.

Nagle za płomieniami przemknął potworny wilk unoszący półtorametrową belkę z ułamanym końcem. Belka poszybowała wyrzucona z płomieni, przeleciała po łuku nad Günterem, Hildą i biskupem, uderzyła w jednego z kuszników.

- Zabijcie to! - wrzasnął po niemiecku biskup. - Zastrzelcie!

W ogień poszybowały kolejne bełty. Günter nie potrafił ocenić ich skuteczności.

Bestia poruszała się w płomieniach zbyt szybko, by nadażyć za jej ruchami.

Biskup się mylił. Potwór nie był narzędziem chrześcijańskiego szatana. Nie był też sługą chrześcijańskiego boga. Służył panu umarłych, Pikuolisowi, który przybył ukarać Prusów za odwrócenie się od starych bogów.

Ze stosu wyleciał płonący kawał drewna, uderzył w drugiego strzelca. Zwolniona cięciwa puściła bełt prosto w udo innego żołnierza, który padł na kolana.

Tłum Prusów się poruszył. Rozległy się krzyki po niemiecku. Żołnierze próbowali zachować porządek. Byli zbyt daleko, by od razu zdać sobie sprawę, co się dzieje w płomieniach. Wiedzieli tylko, że Prusowie próbują uciekać, choć nie mieli jeszcze pojęcia, czemu tak bardzo chcą się oddalić od ognia.

Günter z przerażeniem patrzył, jak w świetle pochodni z dala od stosu błysnął uniesiony miecz.

Brat Erhard chciał powstrzymać Niemców, ale jego rozkaz utonął w krzykach, gdy żołnierze zaatakowali bezbronnych mężczyzn, kobiety i dzieci.

* * *

Płomienie były już blisko, od żaru i dymu oczy zalewały się łzami. Uldolf słyszał, jak ludzie krzyczą coś niezrozumiale po niemiecku i prusku, lecz w tej chwili tylko modlił się, by dym go udusił, zanim płomienie dotkną jego gołych stóp.

Przed jego twarzą pojawił się pysk dyszący żarem jeszcze większym niż powietrze nad płonącym stosem. Bestia miała przypaloną sierść, skórę popękaną, z pęcherzami, krwawiącą. Popatrzyła na niego zielonymi oczami.

Jeśli mnie teraz zabijesz, to będzie akt łaski, pomyślał.

Otworzyła potężne szczęki i opuściła głowę do jego piersi. Poczul jej zęby i pazury szarpiące jego ciało.

A potem trzymające go liny ustąpiły.

Poleciał do przodu, na płomienie, ale zatrzymało go potężne ramię pokryte przypaloną sierścią. Bestia nachyliła się ku jego twarzy. Straszynymi zębami wgryzła się w skórzany rzemień trzymający knebel. Gdy bestia podniosła pysk znad jego twarzy, wypluł drewniany klocek.

Poczul ból w ramieniu, gdy zębami wyciągnęła z jego ciała drewnianą drzazgę.

Potem przycisnęła go do swojej piersi i skoczyła przez płomienie. Próbował krzyknąć, by nie zostawiała jego rodziców, ale ledwie mógł oddychać.

Puściła go, a on padł pod kamienną ścianą. Płomienie sięgały już wyżej od szczytów pali. Próbował załzawionymi oczami wypatrzeć rodziców.

- Uldolf! - krzyknęła matka.

Obrócił się i zobaczył ją. Siedziała pod ścianą. Obok leżał ojciec.

Uldolf potrząsnął głową. Stało się zbyt wiele i zbyt szybko.

- Mamo, czy on...?

- Oddycha.

Obok Uldolfa stała bestia. Słysząc było brzęk mieczy i krzyki ludzi, ale to wszystko działo się po drugiej stronie płonącego stosu.

- Dlaczego? - wyszeptał Uldolf.

Bestia przemówiła głosem Lili:

- Zaopiekuj się swoimi rodzicami.

A potem skoczyła, a on zgubił ją w blasku bijącym z ognia.

XXXII

Coś poleciało z tłumu Günterowi na głowę. Uderzenie zabrzączało o hełm i powaliło go na kolana. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, na dziedzińcu już na dobre zapanował chaos. Tłum stał się żywą istotą, potworem gorszym od wilczej bestii. Żołnierze próbowali zwrócić przeciwko wieśniakom broń, ale przypominało to atakowanie morza.

Minęło zaledwie kilka chwil, od kiedy zaczęły się rozruchy, ale to wystarczyło, by panika zmieniła się we wściekłość. Przed płonącym stosem powstał kurczący się z każdą chwilą pierścień Niemców. Każdy mężczyzna z bronią, poza osobistą strażą biskupa, ustawił się w szyku, próbując powstrzymać napierającą masę ludzi.

Na oczach Güntera jeden z żołnierzy potknął się i natychmiast chwycił go tuziny rąk. Usłyszał, jak żołnierz wrzeszczy, wciągany w tłum. I nagle Günter zobaczył, jak któryś Prus unosi nad głową miecz żołnierza i krzyczy:

- Śmierć Niemcom!

Günter znał tego Prusa. Rolnik z trójką dzieci, który nigdy dotąd nawet nie podniósł głosu w złości - a jednak teraz miał dzikie spojrzenie, twarz umazaną smugami chrześcijańskiej krwi, i wrzeszczał niczym wojownik z sagi.

Sierżant rozejrzał się i ujrzał, że biskup ze swiatą wycofuje się przez wejście do stołpu, tuż obok szalejących płomieni. Była to już jedyna droga ucieczki.

- Do stołpu! - zabrzmiał rozkaz Erharda.

Komtur wraz ze swoimi braćmi zakonnymi powoli cofał się w stronę wejścia. Günter zobaczył wymachujących mieczami Prusów zbliżających się do grupki rycerzy, ale zakonnicy byli bardziej zdyscyplinowani od ich świeckich towarzyszy. Nie ulegli panice. Gdy ktoś ich atakował, natykał się na miecz.

Günter zdał sobie sprawę, że w grupce jest tylko pięciu rycerzy. Jednego z braci musieli zostawić na ziemi, gdzieś na dziedzińcu za linią postępujących Prusów.

Zauważył też, że tłum robi się bardziej zdyscyplinowany. Zamiast uderzać dziko, jak wcześniej na pilnujących ich żołnierzy, uzbrojeni Prusowie uformowali nierówny szereg przed rycerzami, postępując za nimi krok w krok. Wiedzieli, że chrześcijanie wycofują się do miejsca, z którego nie było ucieczki.

W końcu ostatni żołnierze wpadli do stołpu, a ludzie w środku - włącznie z Günterem -

zaczęli pchać drzwi. Rycerze jeszcze walczyli przed wejściem, wślizgując się pojedynczo do środka przez otwór ledwie mieszczący jednego człowieka. Potem rozegrały się zmagania na przepychanie - Günter i dwa tuziny chrześcijan przeciwko zwartej masie Prusów na zewnątrz. Chrześcijanie mieli przewagę, ponieważ zaparli się już na miejscach, by domknąć drzwi zrobione z myślą o oblężeniach. Rycerze wrzucili na metalowe klamry potężne dębowe belki blokujące wejście.

Byli bezpieczni.

I uwięzieni w pułapce.

* * *

Przez kilka chwil po zniknięciu Lilii Uldolf był przekonany, że zaraz rzucą się na nich strażnicy. Jednak pierwsi uzbrojeni ludzie, jakich zobaczył, byli przestraszonymi żołnierzami uciekającymi w stronę drzwi stołpu, odległych o jakieś dziesięć kroków od niego.

Między nimi zobaczył sierżanta Güntera z twarzą zalaną krwią.

Nie wiedział, co się dzieje.

Płonący stos się zapadł i w Uldolfa uderzyła fala gorącego powietrza. Między stosem a stołpem przestało być bezpiecznie.

- Musimy ojca stąd zabrać - zwrócił się do matki.

Pomogła mu, gdy schylił się, by podnieść bezwładne ciało. Ułożył je sobie na ramionach.

Przed wejściem do stołpu zebrał się tłum. Uldolf skierował się w drugą stronę.

Gdy wyłonili się zza płonącego stosu, usłyszał, jak matka gwałtownie wciąga powietrze. Potrzebował kilku sekund, by jego oczy przyzwyczyły się do mroku i mógł zobaczyć, co tak wstrząsnęło matką.

Najpierw dostrzegł tłum Prusów krzyczących i biegnących w stronę stołpu. Wielu było uzbrojonych. Skąd wzięli miecze? Potem zauważył, że przeskakiwali nad jakimiś przeszkodami.

Nad trupami.

Na ziemi leżało mnóstwo ciał, zarówno Niemców, jak i Prusów. Ziemia zrobiła się błotnista od krwi.

Uldolf zobaczył w tłumie znajomą twarz i krzyknął:

- Lankut!

Przyjaciel odwrócił się i szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

- Tutaj! - zawołał Uldolf, uginając się pod ciężarem.

Ponieważ Lankut się zatrzymał, biegnący za nim wpadł w niego z impetem. Uderzony

upadł, ale szybko wstał i z ostrzegawczo podniesioną ręką przeciskał się przez rzednący tłum.

- Ty żyjesz!

- Potrzebuję pomocy - odezwał się Uldolf. - Sam nie dam rady go nieść, a matka jest za słaba.

Lankut wsunął ręce pod ramiona Gedima i powiedział do młodzieńca:

- Weź za nogi... - zerknął na jedyną rękę chłopaka i się poprawił: - Niech każde z was złapie po jednej nodze.

Kiedy już odpowiednio chwycili bezwładnego Gedima, ruszyli przed siebie, byle dalej od rozruchów.

- Co się tu dzieje? - zapytał Uldolf.

- Zaatakowali mieczami tłum - wyjaśnił Lankut. - A kiedy to się stało...

- Tak po prostu zaatakowali?

- Bóg jeden wie, co sobie myśleli. - Potrząsnął głową. - Choć nie, właściwie to dobrze wiem, co myśleli. Szukali tu buntu. No cóż, udało im się go znaleźć.

* * *

Johann był wstrząśnięty. Wydarzenia potoczyły się nieprawdopodobnie szybko. Zobaczył, jak bestia rusza się wśród płomieni, a zaraz potem musiał walczyć o życie. Co gorsza, widział, jak jego giermek pada pod ciosami Prusów. Chłopak był ledwie dość duży, by porządnie chwycić miecz, i spanikował, dziko machając bronią, zanim Johann zdążył mu zabronić.

Wciąż słyszał krzyki chłopaka wciągane w tłumie.

Potem musiał wraz z zakonnikami osłaniać drogę do stołpu, gdy cofali się przed napierającą tłuszcą. Wreszcie drzwi zostały zablokowane i minęło bezpośrednie zagrożenie. Dopiero teraz Johann poczuł ból w udzie. Został ranny krew spływała po nodze, zbierała się w bucie. Czuł, jak przepływa między palcami stopy przy każdym kroku.

Jednak rana nie była ciężka, musiał tylko uważać przy chodzeniu.

- W zbrojowni są kusze! - zawołał komtur i wskazał Johanna. - Weź sześciu ludzi i idźcie do zbrojowni. Każdą szczelinę strzelniczą od wschodu stołpu obsadźmy kusznikami. Strzelać do każdego Prusa trzymającego broń oraz każdego, kto wydaje rozkazy.

- Tak jest!

Johann obejrzał stojących przed nim żołnierzy. Zobaczył dwudziestu trzech ludzi.

Naprawdę straciliśmy ich tak wielu? - przemknęło mu przez głowę.

Czterej byli rycerzami zakonu i ci zgromadzili się wokół Erharda. On tu dowodził.

Kolejni czterej byli Prusami należącymi do pierwotnego garnizonu twierdzy. Johann nie zamierzał ich brać ze sobą. Ruszył wzdłuż szeregu, wybierając ludzi z pozostałej piętnastki.

Za plecami słyszał, jak tłum wali w drzwi stołpu. Uśmiechnął się. Brał już udział w oblężeniach. Wiedział, jak się wtedy walczy. Bez zapasów, wyraźnego przywództwa i planu te parę setek rolników nie zdoła utrzymać się nawet godzinę - zwłaszcza gdy z góry zaczną się sypać belty z kusz. Siedmiu starannie celujących ludzi mogło w ciągu pięciu minut wyeliminować czterdziestu przeciwników.

Poprowadził sześciu ludzi w górę spiralnych schodów, do zbrojowni. Po wejściu na właściwy poziom skręcili w kamienny korytarz. Z kinkietów zabrano pochodnie, przez co większość korytarza pogrążona była w ciemności. Wciąż płonący na zewnątrz stos migotał w wąskich okienkach strzelniczych.

Johann podniósł rękę, zatrzymując swoich ludzi.

Drzwi zbrojowni stały otworem, a światło z wnętrza rzucało ruchome cienie na przeciwległą ścianę.

Czy do środka dostali się jacyś Prusowie? A może bestia?

Gestem nakazał ciszę i wyciągnął miecz. Sześciu żołnierzy poszło w jego ślady. Poprowadził ich korytarzem, słysząc przed sobą ruchy ludzi i brzęk metalu.

Wolno sunął pod ścianą, prowadząc oddział za sobą. Gdy dotarł do zbrojowni, zajrzał tam, wychylając na chwilę głowę - tylko na tyle, by zobaczyć dwóch ludzi i zapamiętać ich pozycje.

Obejrzał się na żołnierzy, wskazał trzech i gestem nakazał im ruszyć do przodu. Potem wpadł do sali.

- W imię Boga! - krzyknął na nich po prusku. - Rzućcie broń i poddajcie się!

Mężczyzna bliżej niego popełnił błąd, bo uniósł miecz. Johann zablokował cios i odpowiedział kontrą w szyję. Ostrze ześlizgnęło się z obojczyka atakującego, ale uderzyło dostatecznie mocno, by go odrzucić.

- Nie! Proszę! - krzyknął łamaną niemczyzną drugi mężczyzna, rozkładając puste dłonie.

- Jesteśmy ludzie biskupa.

Johann opuścił miecz. Faktycznie, obaj ubrani byli w barwy biskupa, złoto i zieleń.

- Czemu, na wszystkie świętości, zamachnąłeś się na mnie mieczem? - wrzasnął po niemiecku na rannego, który wciąż trzymał się za szyję.

- Mówiłeś w języku pogan - odpowiedział tamten.

Wspaniale, pomyślał Johann. Ten Włoch pewnie nawet nie zrozumiał tego, co powiedziałem.

- Weźcie kusze - polecił żołnierzom, którzy wkroczyli z nim do zbrojowni. A potem zapytał strażników biskupa: - Co wy tu robicie? Kradniecie broń?

- Chronimy biskupa.

- Miecze wam nie wystarczą?

- Ten... stwór...

- Widziałem, co potrafi zrobić. Gdyby tu był, już byście nie żyli.

- Panie Johannie! - krzyknął jeden z jego ludzi.

Rycerz zebrał już trzy kusze, ale teraz upuścił je i sięgnął do miecza. Żołnierz miał szeroko otwarte oczy, z przerażeniem patrzył w stronę drzwi.

Johann odwrócił się do wejścia.

W pierwszej chwili nie zobaczył nic dziwnego. Potem zerknął na podłogę. W korytarzu, tuż przed wejściem do zbrojowni, zbierała się rosnąca kałuża krwi.

XXXIII

Lilia szła za ludźmi biskupa w górę schodów. Dwaj oderwali się od grupki i skręcili w korytarz na jednym z pięter.

Nie chciała zostawiać za sobą dwóch uzbrojonych przeciwników, gdy ruszy śladem Hildy. Ruszyła za nimi. I zaraz usłyszała kolejnych zbrojnych wchodzących krętymi schodami.

Wycofała się do niszy przy szczelinie strzeleckiej, przyczaiła w cieniu tym głębszym, że na zewnątrz płonął stos i blask ognia migotał w strzelnicy.

Obok niej rycerz przeprowadził sześciu zbrojnych.

Rozpoznała go. To był ten, którego Erhard powstrzymał przed ucięciem jej głowy. Miał srebrny miecz. Przyjrzała się jego ludziom i zobaczyła jeszcze dwa srebrne miecze. Jednak pozostali mogli mieć srebrne sztylety.

Minęli ją. Czterech wpadło do pomieszczenia, do którego weszli słudzy biskupa. Trzech stanęło przy otwartych drzwiach.

Podkradła się do najbliższego. Zasłoniła mu usta i szarpnięciem skręciła kark, zanim zdążył choćby nabrać powietrza do krzyku. Jego kolega musiał coś zauważyć kątem oka i odwrócił się w stronę Lilii. Uciszyła go pazurami, ostrożnie opuszczając krwawiące ciało na podłogę korytarza.

Ostatni całą uwagę skupiał na tym, co działo się w pomieszczenia. Też zginął w jednej chwili.

Lilia dyszała cicho, myśląc: Do tego zostałam wyszkolona.

Czemu teraz wydaje się to niewłaściwe?

Usłyszała, jak ktoś woła wewnątrz pomieszczenia: „Panie Johannie!”. Potem dobiegły ją jakieś hałasy i nagle w powietrzu rozszedł się zapach strachu.

W drzwiach pojawił się mężczyzna ze srebrnym mieczem w dłoni.

Choć potwornie śmierdział strachem, ruszył na Lilię. Nie patrzył pod nogi. Nadepnał na rękę poległego towarzysza, co wytrąciło go z równowagi.

Skoczyła, zacisnęła szczęki i poczuła smak metalu, skóry i dymu. Próbował znowu podnieść miecz, by ją przegonić, ale cios płazem odbił się od jej przedramienia.

Walnął plecami o podłogę, a ona całą masą wylądowała na jego piersi, zmiażdżyła mu

żebra.

Trzech zaatakowało ją od tyłu. Wykręciła się i skoczyła - nad nimi.

Była zbyt szybka. Miecze trzymali w pozycjach obronnych, chroniąc nimi torsy, nie zdążyli wyprowadzić uderzenia. Nawet rycerz ze srebrnym ostrzem poruszał się zbyt wolno.

Wszyscy trzej odwrócili się, by bronić się przed atakiem z tyłu, ale Lilia wcale nie zamierzała ich atakować.

Erhard nauczył ją, że najgroźniejszą bronią jest zaskoczenie.

* * *

Johann uniósł miecz, by rozciąć brzuch atakującego przeciwnika, ale źle ocenił wysokość. Bestia nie skoczyła na niego, tylko nad nim.

Wykręcił się w miejscu, spodziewając się ataku od tyłu. Ale bestia zniknęła w zbrojowni.

Przez drzwi wyleciało bezwładne ciało człowieka w złocie i zieleni, uderzyło w przeciwległą ścianę. Ze zbrojowni rozległ się wrzask.

A potem zgasły latarnie. Korytarz pogrążył się w mroku, tylko szczeliny strzeleckie migotały blaskiem stosu jak ogniste krzyże.

Z mroku wyłonił się potężny cień. Johann próbował uderzyć mieczem, ale cień już zniknął. Zniknął też jeden żołnierz.

- Pod ścianę! - krzyknął Johann do drugiego. Przywarł plecami do muru. - Słyszysz mnie? Cofnij się!

Nikt mu nie odpowiedział.

W ciemności rozległ się gardłowy warkot.

- Oni cię już nie słyszą.

Serce Johanna oszalało. Rozejrzył się wokół, ale ciemność była nieprzenikniona, a ognisty krzyż oślepił.

- Idź precz, szatanie! - krzyknął Johann płaczliwym głosem, zasłaniając się srebrnym mieczem.

- Nie jestem szatanem - wyszeptała bestia w mroku. Jej warkot zdawał się dochodzić ze wszystkich stron równocześnie. A potem nagle potężny cień przesłonił szczelinę strzelecką. - I nie odejdę.

Johann wrzasnął.

* * *

Kiedy rozległy się krzyki, pierwszą myślą Erharda było: Lilia jest w środku, z nami.

Wszyscy obejrżeli się w stronę spiralnych schodów i na moment zapomnieli o zbuntowanej tłuszczy po drugiej stronie drzwi. Krzyki z góry dobiegały ich przez prawie minutę. Komtur rozpoznał ostatni głos, głos Johanna...

Pięciu ludzi wyciągnęło miecze i zaczęło iść w górę.

- Stać! - zawołał do nich Erhard.

- Tam jest biskup! - odkrzyknął mu któryś.

- Wy zostańcie tutaj. Ratować biskupa pójdę ja wraz z braćmi.

- Panie, jest was tylko pięciu...

- To znaczy, że tylko dwunastu pozostanie do obrony wejścia, jeśli tłum wyłamie drzwi. -

Erhard popatrzył na swoich braci rycerzy. Uśmiechnęli się do niego ponuro. - A w przeciwieństwie do was my wiemy, jak z bestią walczyć.

Wyciągnął miecz i poprowadził swoich ludzi na schody.

* * *

Lilia podążyła za ludźmi biskupa do dużego magazynu na szczycie stołpu. Tutaj kończyły się schody. Przed sobą miała salę pełną skrzyń i beczek. Przy zewnętrznych ścianach obok dużych otworów w podłodze stały żelazne kadzie. Potężne kolumny podpierały grube belki utrzymujące masę sufitu. Na ścianach płonęły pochodnie - zapewne ludzie biskupa przed chwilą je pozapalali.

Nie zobaczyła żadnego z nich, ale ich woń wyraźnie mieszała się z zapachem kurzu, suchego drewna, smoły i pakuł.

Została nisko przy podłodze, przesuwając się za rzędem drewnianych skrzyń.

- Oddajcie mi dziewczynkę, a pozwolę wam żyć! - zawołała po niemiecku.

Brzeg skrzyni tuż przed nią rozpadł się na drzazgi, gdy przeleciał przez niego bełt z kuszy i upadł na kamienną podłogę.

Nie miał srebrnego grotu.

Wyszczrzyła kły.

* * *

Erhard i jego bracia rycerze zobaczyli zabitych przed zbrojownią. Ciało nie było zmasakrowane, rozszarpane, a dwaj ludzie w barwach biskupa wciąż żyli.

Komtur uznał to za zły znak. Lilia zawsze walczyła jak zwierzę, rozrywając ofiary na strzępy, by w tych, którzy przeżyją, siać zabobonny lęk. Od czasu ucieczki walczyła jak żołnierz - nie po to, by mordować, lecz wyeliminować przeciwnika.

To moje dzieło, pomyślał. Ja ją tego nauczyłem. Pokazałem zwierzęciu, w jaki sposób walczyć jak człowiek. Nawet lepiej niż człowiek.

Uniósł latarnię z przysłoną, którą uchylił teraz na tyle, by oświetlić zbrojownię.

- Weźcie kusze - polecił braciom. - I srebrne bełty. Wiecie, z czym będziemy walczyć. Jeśli się zbliżycie na wyciągnięcie ręki, zabije was. Ruszyła do góry, za biskupem, więc znajdzie się w miejscu bez wyjścia. - Podniósł z podłogi kuszę, zważył ją w rękach, po czym wsunął stopę w strzemię i naciągnął cięciwę. - Jeśli będziecie mieli okazję, strzelajcie. Tak by zabić lub okaleczyć. Trzymajcie się plecami do ściany, żeby widzieć, jak nadchodzi.

Załadował na kuszę belt ze srebrnym grotem.

- Nie dajcie się zaskoczyć.

* * *

Pokonanie ludzi biskupa nie wymagało wielkiego wysiłku. Pierwszy przyklęknął, by wystrzelić. Skoczyła i szarpnęła, złamała mu kręgosłup.

Drugi zamachnął się mieczem, stojąc zbyt blisko otworu w podłodze. Umknęła pod ciosem, ugryzła go w pośladek i pchnęła. Spadł z krzykiem przez otwór, pięć pięter w dół na dziedziniec.

W tym momencie trzeci głęboko ciął ją w ramię mieczem. Wyczuła, że on się zbliża, ale nie obawiała się o siebie, ponieważ ludzie biskupa nie byli uzbrojeni w srebro. I choć gdyby cios został zadany pół dłoni wyżej, byłby śmiertelny, jednak odcięcie łba bestii jednym ciosem miecza to zadanie wyjątkowo trudne.

Nie miał szansy na ponowny zamach. Walnęła jego głową o żelazny kocioł. Z potężnym brzękiem spadła pokrywa, z kotła buchnął smród smoły.

Lilia ciałem ogłuszonego zasłoniła się przed następnym napastnikiem. Miecz ześlizgnął się po kolczudze i zaraz rzuciła nieprzytomnym w atakującego, przewróciła go. Był ostatnim znajdującym się tu żołnierzem. Próbował zepchnąć z siebie bezwładnego kolegę. Lilia skoczyła na jego rękę z mieczem, ukąsiła w nadgarstek. Wrzasnął i upuścił miecz.

Jedną ręką chwyciła tego człowieka za kark i podniosła do pionu.

- Gdzie jest biskup? Gdzie dziewczynka? - warknęła po niemiecku.

Zamknął oczy i zaczął się modlić.

Trzymała go tak przez chwilę, wykrzywiając pysk we wściekłym warkocie, czując swędzenie w ramieniu, gdzie goiła się najświeższa rana. Zapach krwi wzbudził potężny głód. Wilk pragnął zakosztować ciepłego ludzkiego mięsa.

Jednak wilk nie sprawował teraz nad nią jedynej władzy.

- Myślisz, że śmierć to najgorsze, co może cię spotkać? - zapytała.

Dalej się modlił. Zaciągnęła go do otwartego kotła. Walnęła nim o ścianę.

- Mów!

Potrząsnął głową.

Chwyliła go za pas i wsadziła głowę do kotła. Smoła nie była jeszcze całkiem płynna, w piecyku pod kotłem zapalono dopiero przed chwilą. Mimo wszystko zdołała wepchnąć go w smołę aż po ramiona. Dziko kopał i wymachiwał rękami.

Wyciągnięcie go stamtąd było znacznie trudniejsze, bo pas się urwał i musiała chwycić za nogi.

Wysunął się ze smoły z cmoknięciem, straciwszy hełm gdzieś w głębi kotła. Od piersi w górę pokrywała go jednolita czarna warstwa. Potrzebował kilkunastu sekund, zanim zdołał wreszcie otworzyć usta. Ale milczał.

Znowu walnęła nim o ścianę i przeciągnęła w stronę płonącej pochodni.

- Czujesz już ogień?

Zaczął wrzeszczeć po łacinie, po włosku i po niemiecku.

- Mów! - krzyknęła.

Tak była skupiona na tym człowieku, który wiedział, gdzie zniknął biskup z Hildą, że nie zdawała sobie sprawy, kto wszedł na górę.

W jej plecy wbił się belt ze srebrnym grotem.

XXXIV

Lankut pomógł Uldolfowi i Burthe zanieść Gedima z dala od zamieszek, pod zamkowe mury. Byli tam tylko jedną z kilkunastu małych grup zajmujących się rannymi. Uldolf popatrzył na masywny blok stołpu, potężny i nie do zdobycia.

- To będzie rzeź - wyszeptał.

- Tak myślisz? A kto będzie zarzynał? - zapytał Lankut, który przyniósł właśnie wiadro wody.

- Dziwię się, że Niemcy nie wysłali na nas większej liczby żołnierzy.

- Wiesz, ilu strażników to Prusowie? - Lankut wytarł Gedimowi krew z twarzy. - Nie bez powodu więźniów pilnowali obcokrajowcy.

- A co z sierżantem Günterem?

- Och, on i jego dupowłazy...

- Widziałeś Hildę? - wychrypiała Burthe. - Wiesz, gdzie jest moja córka?

- Przykro mi. - Lankut potrząsnął głową. - Stałem przy bramie, gdy...

- Co to? - Uldolf wstał.

Patrzył na szczyt wieży. Najwyższa kondygnacja była wsparta na wystających kamiennych klinach.

Między tymi podporami pojawiły się teraz kwadratowe otwory, w których migotały światła pochodni.

- Ktoś otworzył spusty w machikułach - stwierdził Lankut.

- Co? - zdziwiła się Burthe.

- To element obrony przeciwko oblężeniom - wyjaśnił Lankut. - Machikuł to ten wysunięty fragment muru, jak ganek z otworem w podłodze. Można stamtąd zrzucić na atakujących kamienie i łać płonąca smołę.

Uldolf potrząsnął głową.

- Czemu nie zaczną po prostu strzelać do tłumu z kusz?

- Zastanawiam się...

Ktoś przy wieży krzyknął. Przez jeden z otworów pod szczytem wyleciał człowiek. Wrzeszczał i machał rękami. Uderzył w ziemię tuż za zwartym tłumem Prusów. Uldolf dostrzegł poszarpane ubranie w kolorze złota i zieleni.

- To był jeden z ludzi biskupa - zauważył Lankut.
- Biskup zabrał ze sobą Hildę - wyszeptała Burthe.

Uldolf popatrzył na stołp.

Czyżby Lilia też tam poszła?

Po Hildę?

* * *

Erhard powoli prowadził swoich ludzi w górę spiralnych schodów. Szli ostrożnie, cicho. Klatka schodowa była wąska, a stopnie nierówne, by zapewnić przewagę obrońcom przeciwko atakującym z dołu napastnikom. Pięciu rycerzy trzymało kusze naciągnięte i gotowe do strzału.

Schody byłyby fatalnym miejscem do walki. Grupa musiała rozciągnąć się na tyle, by ludzie trzymali przed sobą broń, i Erhard nie widział dwóch ostatnich rycerzy.

Gdy dotarli do końcowych zakrętów klatki schodowej, zauważył w górze światło. Machnął do tyłu, by idący za nim zasłonił latarnię. Z góry dobiegł głośny brzęk, a chwilę po nim zabrzmiał warkotliwy głos.

- Gdzie jest biskup? Gdzie dziewczynka?

Ruszyli szybciej. Z góry wciąż dochodziły brzęki, łomoty, trzaski.

- Myślisz, że śmierć to najgorsze, co może cię spotkać? - usłyszeli.

Pokonali ostatnie dwie pętle schodów.

- Mów! - rozkazała bestia.

Ustawili się pod murem, by uniemożliwić atak od tyłu. Jednak wyraźnie Bóg był z nimi. Bestia stała pod płonącymi pochodniami, odwrócona plecami do rycerzy, pełna wilczej furii. Trzymała przy ścianie człowieka pokrytego czarną mazią, unosiła go do pochodni.

- Czujesz już ogień?

Jej pokryta smołą ofiara wrzeszczała w różnych językach.

- Mów! - krzyknęła bestia.

Bracia zakonni wykorzystali te kilka sekund na zajęcie pozycji i wycelowanie. Pierwszy belt wbił się w plecy Lilii, tuż nad jej lewym biodrem. Następny zatopił się pod jej prawym ramieniem. Trzeci i czwarty spudłowały, kiedy uskoczyła, puszczając umazanego smołą mężczyznę, który potracił kinkiet, wzbijając chmurę iskier.

Erhard wystrzelił i posłał belt w jej lewe udo w chwili, gdy chowała się za grubym kamiennym filarem.

Przez chwilę w zupełnej ciszy tylko jęczały ponownie napinane kusze.

Potem człowiek ze świty biskupa zaczął wrzeszczeć. Zataczał się, idąc w stronę rycerzy. Na jego głowie tańczyły płomienie, z ramion wzbijały się kłęby gryzącego czarnego dymu. Próbował stłumić ogień dłońmi, ale jedynym skutkiem było rozrzucenie płonącej smoły.

Erhard wycelował z kuszy i wystrzelił w kulę pomarańczowego płomienia. Urwały się pełne agonii krzyki. Ciało, już do połowy w ogniu, padło na podłogę.

Komtur gestami pokierował braci. Dwaj ruszyli do miejsca, gdzie ukryła się Lilia, dwaj pozostali zaczęli obchodzić pomieszczenie dookoła. Erhard nachylił się, wsuwając stopę w strzemień kuszy, by ponownie ją naciągnąć.

- Bracie Erhardzie? - Znajomy głos był pełen wysiłku, świszczący.

Komtur umieścił bełt w kuszy. Srebrny grot załśnił, odbijając płomienie tańczące na ciele zabitego. Pod sufitem gromadziły się chmury oleistego dymu. Ranny potwór, choć teraz ukryty, nie mógł się ruszyć, nie wchodząc w pole jego strzału.

- Czy twój Bóg jest sprawiedliwy? - zapytała bestia.

Erhard usłyszał kaszel i wycelował kuszę.

W jego oczach wezbrały łzy i też miał ochotę zakaszczyć. Dym nappełniał pomieszczenie smrodem smoły i palonego ciała.

Jeden z rycerzy wystrzelił. Erhard przestał widzieć swych braci, ukryły ich ciemności i kłęby dymu. Rozległ się łoskot i trzask, potem znowu zapanowała cisza.

- Czy sprawiedliwy Bóg wybaczyłby ci twoje czyny? - Lilia ponownie zakaszłała.

Któryś rycerz krzyknął.

Erhard opanował narastającą panikę. Po drugiej stronie pomieszczenia, za płonącym ciałem, zobaczył ostrożnie idących dwóch rycerzy z kuszami. Zaraz przestłoniły ich kłęby czarnego dymu.

Do uszu Erharda dobiegły odgłosy zmagania i charakterystyczny dźwięk zwalnianej cięciwy. Kilka sekund później drugi.

I łomot ciała padającego na podłogę.

Trafili ją! - pomyślał komtur, kaszłąc.

Muszą znaleźć biskupa i go stąd zabrać. Dym robił się coraz gęstszy, a płomienie przeniosły się na część skrzyń w magazynie. Stały tu też beczki ze smołą, a gdy one się zapalały, rozpętało się piekło.

Pobiegł do miejsca, gdzie ostatnio widział rycerzy. Musiał iść pod ścianą, bo płomienie zajęły środek sali.

- Widzieliście, gdzie biskup...? - zaczął pytać, ale urwał. Zobaczył rycerza leżącego na podłodze, z bełtem sterzącym z prawego oczodołu. Między nogami leżała kusza z bełtem

wciąż w gotowości.

Erhard odwrócił się, ale zbyt późno.

Przed nim, ledwie widoczna w gęstym dymie stała naga, umazana krwią siedemnastoletnia dziewczyna. Pod jej stopami leżał kolejny rycerz, z bełtem wbitym głęboko w gardło.

- Czy sprawiedliwy Bóg pozwoliłby ci żyć? - zapytała.

O drewnianą skrzynię opierała załadowaną, kuszę.

Nie daj się zaskoczyć, pomyślał, gdy pocisk przeszył jego pierś. Puścił broń, zwinął się z bólu. Jego usta napęłniły się krwią.

Podniósł wzrok. Lilia kuśtykała w jego stronę. Krwawiła z ciężkich ran w klatce piersiowej i nogach. Jej ciało lśniło czerwono od krwi. Upuściła wystrzeloną kuszę, po czym klękła przed nim niepewnie.

Próbował coś powiedzieć, lecz gardło wypełniała mu krew.

- Oboje służymy okrutnym panom - wyszeptła, kładąc mu dłoń na policzku. - Ale ja ukarałam mojego.

Chwyliła jego głowę i przekreśliła, aż strzelił mu kark.

* * *

Wpatrywała się w oczy komtura, aż uszło z nich życie.

Zakaszła. Nogi jej drżały, czuła zawroty głowy. Nie wiedziała, czy to efekt utraty krwi, czy skutek trującego, czarnego dymu.

Przycisnęła dłoń do rany nad lewym biodrem. Bełt przeszedł na wylot, pozostawiając dziurę w jej brzuchu tuż obok pępka. Lilia wiedziała, że życie z niej uchodzi przez tę ranę. Czy ten pocisk wystrzelił Erhard? W jakiś sposób byłoby to stosowne, gdyby zginęła z jego ręki.

Jednak jeszcze nie mogła umrzeć.

- Hilda! - krzyknęła, czując na ustach własną krew.

Nie usłyszała nic oprócz trzasków i syku płomieni.

Rozkaszała się.

- Hilda!

Wychwyciła płacz. Obróciła głowę, próbując go zlokalizować. Dobiegał z góry.

Rozejrzała się wokół i pośród dymu, opartą o filar, zobaczyła drabinę.

* * *

Mama! Tata! Ulfie! Lilia!

Przez głowę Hildy bez końca przewijały się te cztery imiona. Nawet z zaciśniętymi oczami wciąż widziała ludzi rzucających pochodnie na stos. To była jej wina. Gdyby nie rozmawiała z tamtym panem, gdyby nie podała imienia Lilii...

Płakała głośno, gdy gruby człowiek chwycił ją i pociągnął do zamku. Kiedy krzyczał do innych, używał słów, których nie rozumiała.

Na wpół zaniósł, na wpół zaciągnął ją w górę po krętych, wąskich schodach.

- Czemu krzywdzisz moją mamę?! - krzyczała, uderzając pięścią jego pulchną rękę. - I tatę! I Ulfiego! Czemu?

Potem zabrakło jej tchu, opadła z sił.

Weszli do pokoju ze skrzyniami i beczkami. Mężczyźni zapalali pochodnie. Grubas porozmawiał z jednym z nich i wskazał drabinę, prowadzącą do małej dziury w suficie. Podał Hildę żołnierzowi i wspinał się po szczeblach.

Gdy żołnierz wpychał ją na górę za grubasem, była zbyt zmęczona, by próbować się opierać. I nagle znalazła się pod niebem na szczycie wieży.

Grubas zatrzasnął kłapę, zamknął ją na zasuwę i odetchnął. Hilda uderzyła go w plecy.

- Nienawidzę cię! Nienawidzę, nienawidzę!

Odepchnął ją. Powiedział coś, czego nie rozumiała.

Zaczęła łkać, machając rękami i kopiąc, ale bez wysiłku utrzymywał ją z dala od siebie.

- Dziecko, przestań - powiedział w końcu zrozumiałe słowa.

Gwałtownie potrząsnęła głową i zdołała ugryźć go w palec.

Krzyknął i odepchnął ją znowu. Przewróciła się na dachu.

- Mama! - łkała. - Tata! Ulfie! Lilia!...

Podszedł do niej i łagodnie położył jej dłoń na głowie. Skuliła się, ale przemówił dość łagodnie.

- Być bezpieczna.

Był taki wstrętny. Czemu miałby się o nią troszczyć?

Ściągnął z szyi łańcuch, pocałował go i założył jej na szyję. Łańcuch był złoty i ciężki, a tak długi, że zawieszony na nim krzyż spadł jej na podolek.

- Być bezpieczna - powtórzył, po czym wziął jej dłonie i złożył je w swoich. - Uratować ciebie.

Zaczął coś mamrotać.

Wyrywała się, ale trzymał zbyt mocno. Nie mówił już nawet do niej, teraz prawie śpiewał. Jego ręce zaciśnięte na jej dłoniach były oślizłe, z czoła spływał mu pot.

Bał się, a to Hildę przerażało.

Z dołu słyszała rozmowy, potem krzyki, wreszcie wrzaski. Grubas przestał śpiewać, odciągnął ją dalej od klapy w dachu. Krzyknęła, ale zasłonił jej usta tłustą, śmierdzącą dłonią. Pierścienie wbiły się w jej wargi.

Usłyszała krzyki po niemiecku, brzęki, łamanie drewna. Po kilku chwilach ktoś wrzasnął w agonii. I gwałtownie ucichł.

Przez zapach potu z dłoni grubasa wyczuwała smród dymu. Obrzydliwy, lepki smród palonego mięsa.

Przyglądała się szeroko otwartymi oczami, jak z klapy unosi się dym.

Ją też zamierzali spalić.

Znowu zaczęła się wyrywać, próbując uciec grubasowi.

Potem usłyszała, jak ktoś na dole krzyczy jej imię.

Głos był chyba Lili, ale brzmiał trochę inaczej, bardziej chrapliwie. Hilda wyobraziła sobie, że Lilia skoczyła ze stosu i szła za nią, cały czas płonąc.

- Hilda!

Dziewczynka krzyknęła w dłoń grubego mężczyzny, ale na zewnątrz słychać było tylko stłumione łkanie. Spróbowała go ugryźć, lecz jego dłoń była za duża i zdołał zacisnąć jej szczęki.

Coś uderzyło w klapę.

Grubas gwałtownie odsunął się do tyłu, aż do obmurowania dachu.

Kłapa zadrżała od kolejnego uderzenia i Hilda zobaczyła kawałki drewna odrywające się od listwy blokującej wejście. Grubas znowu zaczął śpiewnie mamrotać.

Listwa się złamała i kłapa odskoczyła, buchnęły gęste kłęby dymu.

Tłuścioch umilkł i jęknął, a Hilda z przerażeniem wbiła wzrok w bestię, która wyłoniła się z dymu. Miała matową sierść pokrytą krwią i sadzą. Szła na wilczych łapach grubszych od ludzkich nóg, z nisko zwieszonym brzuchem i szerokim torsem. Jej przednie łapy kończyły się dłońmi o długich ostrych pazurach, a głowa wyglądała jak wilka.

A przy tym miała zielone oczy Lili.

Lilia wczołgała się na dach. Była całkiem wyczerpana, ledwie się trzymała na nogach.

Zobaczyła Hildę w ramionach biskupa.

- Oddaj mi ją - warknęła do niego po niemiecku.

- Nie! - Biskup chwycił złoty krzyż wiszący na szyi Hildy. - Nie dostaniesz duszy tego dziecka!

Hilda była przerażona, jak Uldolf osiem lat temu. Lilia odezwała się po prusku:

- Nie bój się. Twoja mama, tata i Uldolf żyją, czekają na ciebie.

Wciąż szła w ich stronę, a biskup krzyczał coś po łacinie, cofając się, aż dotarł do samego rogu dachu. Kiedy się zbliżyła, złapała go za nadgarstki i powoli, boleśnie oderwała jego ręce od Hildy.

Uwolniona dziewczynka wrzasnęła i uciekła na drugi koniec dachu.

Biskup splunął na Lilię.

- Dziecko widzi prawdę, jesteś demonem!

Warknęła. Biskup zeszywniał.

- Nie boję się spotkania z Bogiem.

- Jesteś pewien, że to On na ciebie czeka?

Biskup chwycił ją za rękę. Odepchnęła go od siebie.

Potknął się, przeleciał przez obmurowanie i spadł.

Lecąc w dół, wrzeszczał głośno.

Z wyjścia na dach strzelił słup ognia. Czują, jak kamienie pod jej stopami się rozgrzewają. Wkrótce od żaru rozpadną się kamienne filary i strop się zawali.

Gdyby była tu sama, nie miałyby to znaczenia. Ruszyła do Hildy..

- Nie! - załkała dziewczynka. - Idź sobie!

- Nie skrzywdzę cię.

Rozległ się trzask i cała podłoga zadrżała. Lilia dokuśtykała do skulonej przy murze Hildy. Poglaskała ją po plecach.

- Nie! - Hilda cała się trzęsła. - Boję się.

- Ciii... Zamknij oczy i słuchaj mojego głosu.

- Lilia?

- Tak.

Hilda skuliła się jeszcze bardziej pod na wpół ludzką dłonią Lili.

- Cz... czemu jesteś teraz taka straszna? Kolejny trzask - kilka kamieni przy wyjściu na dach się zapadło, wyrzucając w górę iskry i płomienie.

- Tylko w ten sposób mogłam cię uratować. - Lilia podniosła Hildę, czując bardzo silny ból w ramieniu. Przytuliła dziecko do piersi.

- Ty krwawisz.

- Wszystko będzie dobrze.

Lilia weszła na obmurowanie. Wiatr przygnał kłęb dymu.

- Boję się - załkała Hilda.

Ja też, pomyślała Lilia. Zaczęła cicho śpiewać.

*Nie bój się płaszcza złej nocy,
gdy słońce ukryje się hen,
Matka ochroni swe dzieci,
Gdy przyśni się straszny ci sen...*

Hilda się uspokajała.

Gdy dach zaczął się zapadać, Lilia, ochraniając Hildę własnym ciałem, rzuciła się plecami w czarną otchłań nocy.

XXXV

Günter zobaczył najpierw, jak Johann bierze sześciu ludzi do zbrojowni. Potem usłyszał krzyki i komtur poprowadził na górę ostatnich czterech rycerzy zakonu.

Do pilnowania drzwi, na wypadek mało prawdopodobnego ich wyłamania, pozostał on, dwunastu ludzi - trzech Prusów i ośmiu Niemców. Stał razem ze swoimi pobratymcami, bo czuł, że sytuacja robi się napięta.

Wszystko posypało się znacznie szybciej, niż się spodziewał. Ledwie rycerze zniknęli w górze klatki schodowej, a jeden z Niemców podszedł do Güntera i jego trzech ludzi.

- Czemu nie ruszyliście, żeby bronić biskupa? - To był jeden z tych, którzy zerwali się do schodów, kiedy na górze rozległy się krzyki. Po jego twarzy spływała krew z rozcięcia nad okiem, tworząc brzydkie skrzepy z lewej strony brody i wąsów.

- To zamek rycerzy zakonu. Wykonuję ich rozkazy.

- Jakie to wygodne. - Niemiec oparł dłoń na głowicy swojego miecza. - Nie masz nic więcej do powiedzenia, sierzancie?

- Tobie nie muszę się opowiadać - burknął Günter.

Niemiec obejrzał się na grupę zbrojnych za swoimi plecami. Tamci zaczęli się zbierać naprzeciw Prusów.

- Z tego, co widziałem, Prusowie tu nie odpowiadają przed nikim.

- Nie prowokuj, bo będzie źle.

- Czy to groźba? - Krewki żołnierz wysunął miecz z pochwy. Nagle powietrze zabręczało dźwiękiem uwalnianej stali, gdy wszyscy, zarówno Niemcy, jak i Prusowie, wyciągnęli swoje klingi. - Powinniście się poddać, sierzancie. Mamy nad wami przewagę dwa do jednego.

- To prawie równe szanse - warknął Günter.

Głośno brzęknęły zderzające się miecze.

* * *

- Dym! - krzyknął ktoś. Pochylony nad ojcem Uldolf się wyprostował. Smutki czarnego dymu rzeczywiście unosiły się z otworów strzeleckich na szczycie wieży, widoczne na tle ciemnognanatowego nieba dzięki podświetleniu przez gasnący powoli stos. Przy machikułach

światło było mocniejsze, bardziej czerwone, migocące.

- Zapasy się palą - mruknął Lankut.

Uldolf podejrzewał, że Lilia, czy też raczej potwór, w którego się przeobraziła, szaleje w stołpie pełnym Niemców, jak przed laty w twierdzy Mejdân. Traktowała swoich dotychczasowych panów w ten sam sposób, jak wcześniej niszczyła pogan.

Tak jak zniszczyła jego rodzinę.

Aż nazbyt łatwo było mu sobie wyobrazić, co się dzieje w wieży. Świeżo odzyskana pamięć roztaczała przed nim widoki równie żywe, jakby to wszystko stało się wczoraj.

Zabiła wszystkich, których najbardziej kochałem, pomyślał. Ale teraz...

Z dachu strzeliła kolumna dymu. Podstawa kolumny była jasna, jakby ogień znalazł sobie drogę ujścia. Na obmurowaniu wieży pojawił się jakiś cień.

- Biskup! - wyszeptał Lankut.

Cień przechylił się nad murem i wypadł. Uldolf obserwował, jak długie, obszyte futrem szaty trzepoczą na wietrze niczym skrzydła. Dostojnik z grzmotem uderzył o ziemię.

Na szczycie wieży kolumna dymu była teraz zakorzeniona na wyraźnie widocznej podstawie z płomieni. Cały stołp wyglądał niczym olbrzymia świeca.

A na krawędzi dachu, na obmurowanie wspięła się jakaś postać.

Lilia.

Nie, bestia.

Nawet z tej odległości jej postać była wyraźnie niehumanoidalna, z wilczymi nogami, ogonem i wilczym profilem. Na wpół ludzkimi łapami obejmowała niewielkie zawiniątko...

- Hilda! - krzyknęła Burthe. - Bestia trzyma Hilde!

Uldolf ruszył biegiem w stronę wieży. Ze szczytu strzeliły kolejne płomienie i chmury iskiei, a Lilia odwróciła się twarzą do pożogi.

Ryknął słup ognia i dymu. Kamienie na górze zapadły się z taką siłą, że Uldolf poczuł uderzenie na ziemi pod stopami.

A Lilia poleciała do tyłu.

Uldolf spojrzał w górę i zobaczył pędzące na niego plecy potwora.

Lankut w ostatniej chwili odsunął go na bok. Lilia spadła na ziemię dokładnie w miejscu, w którym stał jeszcze przed chwilą. Uldolf poczuł, jak na jego twarz tryska gorąca krew.

Odsunął Lankuta i podbiegł do Lili.

Krew płynęła z jej uszu, nosa i ust. Nogi i szyję miała potwornie powykręcane. I nagle na jego oczach zaczęła się kurczyć, wilczy pysk się splaszczwał, kończyny stawały krótsze, sierść zniknęła. Po kilku chwilach bestia zmieniła się w człowieka.

Wychudzone ręce opadły, odsłaniając obejmowane dotąd ciasno, zwinięte w pozycję płodową dziecko. Uldolf sięgnął po Hildę i usłyszał jej łkanie.

- Ty żyjesz! - Uldolf podniósł łkającą Hildę i przytulił. - Ocaliła cię - wyszeptał.

Zabiła wszystkich, których kochałem...

Ocaliła wszystkich, których kochałem...

Z tłumu rozległ się krzyk radości. Uldolf zobaczył, że drzwi do stołpu się otwierają i staje w nich sierżant Günter Sejud.

- Chyba postanowił przejść na naszą stronę - stwierdził Lankut.

Uldolf kiwnął głową i pomyślał: Lilia też.

KODA

Anno Domini 1239

Sześć miesięcy później Uldolf wracał do osady ponownie nazwanej Mejdân. Niósł skóry łośi z garbarni, która mieściła się na zewnątrz obwałowań. Smród garbników wciąż utrzymywał się na skórach i pewnie także na jego ubraniu. Obrzydliwa kombinacja moczu, odchodów i gnijącego mięsa była głównym powodem, dla którego przynoszenie świeżo wyprawionych skór było zadaniem ucznia kaletnika.

Staruszek, u którego Uldolf terminował, był Prusem. Twierdził, że znał jego ojca, Radwena. Twierdziło tak zresztą zdumiewająco wielu ludzi. W miarę jak do miasta docierało coraz więcej Prusów uciekających z terenów poddanych chrystianizacji, modne stało się wychwalanie przeszłości.

Uldolf dotarł do bram miasta, gdzie przywitał go Lankut pytaniem:

- Co niesiesz?

Jedno się nie zmieniło... - pomyślał Uldolf.

- Świeżo wygarbowane skóry dla mistrza Ryliko. - Poprawił swój toból. - Chcesz je skontrolować?

Lankut podszedł, skrzywił się od smrodu.

- Wątpię, by naczelnik Sejud chciał pobierać daninę akurat od ciebie. Zresztą za bardzo cuchniesz.

- Jeśli tak uważasz, powinieneś odwiedzić garbarzy.

- Dziękuję, nie.

- I co miałeś na myśli, mówiąc „akurat ode mnie”?

- Jesteś synem Radwena Seigsona.

Uldolf tylko westchnął.

- Nie złość się. To ważne. Mnóstwo ludzi, głównie starszych, uważa, że ty powinieneś tu wszystkim kierować.

- Günter świetnie sobie radzi bez syna Radwena Seigsona.

Kiedy Niemcy zostali wygnani z miasta, pełniący wcześniej funkcję sierżanta Günter Sejud zdołał utrzymać porządek i organizację - głównie dzięki temu, że był najwyższym

rangą Prusom pod okupacją chrześcijan. Struktura dowodzenia wśród pruskich żołnierzy pozostała nienaruszona.

Starsi Prusowie byli niezadowoleni z faktu, że wodzem Mejdânu jest ktoś, kto wcześniej pełnił rolę marionetki Niemców. Gdy Uldolf zaczął pracować w mieście, prawie nie było tygodnia, by któryś z nich nie podchodził do niego, by porozmawiać o wielkich dniach reiksa Radwena Seigsona, wspominając coś na temat przywrócenia dawnej świetności. Oczywiście ci ludzie zazwyczaj widzieli siebie w roli ważnych pomocników Uldolfa, gdyby tylko zdecydował się podjąć próbę sięgnięcia po należną mu pozycję.

- Gdybyś się zdecydował - rzucił Lankut - pamiętaj o mnie.

- Obiecuję. - Uldolf przeszedł przez bramę, zastanawiając się, czy Lankut nie żartował sobie z niego.

- Gedim na ciebie czeka! - zawołał za nim przyjaciel.

Mistrz Ryliko mieszkał tuż za bramą, więc Uldolf już widział front jego domu i warsztatu.

Na ulicy przed warsztatem stał jego ojciec wsparty na lasce.

- Jesteś wreszcie.

- Jestem. - Uldolf podszedł i odłożył swój ładunek przed drzwiami.

- Dobrze wyglądasz.

- Jak tam gospodarstwo? - Uldolf kiwnął głową.

- Zbiory idą bardzo dobrze, ale brakuje nam ciebie.

- Wiesz, czemu odszedłem.

- Tak. Rozumiem. - Ojciec położył dłoń na ramieniu Uldolfa. - I wcześniej czy później musiałeś wyruszyć własną drogą.

Uldolf patrzył pod nogi, czując wyrzuty sumienia.

- Nie chciałem cię zmuszać do...

- Spójrz na mnie.

Uldolf podniósł wzrok.

- Wcześniej czy później musiałeś wyruszyć własną drogą. Gospodarstwo, mały okruch posiadłości, którą pozwolił mi zachować zakon, wiązało mnie z przeszłością. Teraz ziemia nie wydaje się już taka ważna.

Uldolf potrząsnął głową. Ponieważ odszedł, Gedim musiał dojść do porozumienia z trzema sąsiednimi gospodarstwami. Trzy rodziny wspólnie uprawiały teraz ziemię, dzieląc się pracą i plonami.

- To było wszystko, co miałeś.

- Ty, Hilda, moja żona... rodzina to wszystko, co miałem. I wciąż mam. Ziemia... - Gedim wzruszył ramionami. - Wiem, czemu nie mogłeś zostać.

Uldolf westchnął.

- Nie przyszedłeś tu, żeby prosić mnie o powrót?

- Nie. Proszę, żebyś z nią porozmawiał.

- Nie mogę. - Uldolf schylił się po swój pakunek, a Gedim chwycił go za rękę.

- Owszem, możesz.

- Proszę, nie.

- To ja wyniosłem cię przed laty z Mejdânu. Zginął tam mój brat, jego żona i córka.

Widziałem to wszystko. Rozumiem.

- Tato...

- Jeśli nie chcesz tego zrobić dla siebie, zrób to dla mnie.

Uldolf spojrział w pobrużdżoną twarz ojca i zobaczył błaganie w jego oczach.

- Przeprowadziłeś ją tu ze sobą, prawda?

Gedim przytaknął.

- Dlaczego? - zapytał Uldolf.

- Ponieważ go o to poprosiłam - usłyszał kobiecy głos.

Z warsztatu wyszła piękna dziewczyna. W jej rudych włosach jedno pasmo wyrastające ze skroni było białe. Patrzyła na Uldolfa zielonymi oczami.

- Mógłbyś się ze mną przejść? - poprosiła.

* * *

Wyszli z Mejdânu w las.

- Dobrze wyglądasz.

- Twoja matka się mną zaopiekowała. - Lilia potrząsnęła głową. - Nie spodziewałam się, że przeżyję.

Nikt się tego nie spodziewał, pomyślał Uldolf. Pamiętał swój szok, gdy Lankut oświadczył, że dziewczyna wciąż oddycha. Nawet gdy Burthe organizowała wóz do wywiezienia rannych z chaosu towarzyszącego upadkowi Johannisburga, Uldolf wciąż oczekiwał, że Lilia wyda ostatnie tchnienie.

Jednak trzymała się życia, a Burthe uparła się, by zabrać ją do domu. Choć wiedzieli teraz, że była bestią, że przed laty urządziła rzeź w Majdânie. A teraz wszyscy zawdzięczali jej życie. Przez kilka tygodni leżała nieprzytomna.

Gdy Gedim zaczął rozważać połączenie ziemi z dwoma sąsiednimi gospodarstwami,

Uldolf postanowił znaleźć sobie miejsce jako czeladnik w Mejdânie. Odszedł, zanim Lilia odzyskała siły na tyle, by mówić.

Nie wiedział, czy odszedł dlatego, że nie potrafił z nią rozmawiać, czy dlatego, że nie potrafił rozmawiać z ojcem. Wciąż nie rozumiał, jak Gedim mógł pogodzić się z jej naturą i jej przeszłością. Przecież stracił brata...

Wszystko w Uldolfie się burzyło, gdy Gedim spokojnie tłumaczył: „Była wojownikiem”. Choć pewnie te same słowa mógłby usłyszeć z ust Radwena Seigsona: „Była wojownikiem, synu. Na wojnie ludzie giną”.

- Nie chciałam cię wyganiać z domu - powiedziała, gdy już weszli do lasu.
- To w końcu i tak musiało się stać.
- A jednak zrobiłeś to z mojego powodu.
- Mama słusznie zrobiła, że się tobą zaopiekowała.
- Mimo że ciebie to bolało?

W powietrzu czuło się już chłód, liście na drzewach barwiły się jesiennie.

- Czemu przyszedłeś? - zapytał Uldolf po kilku chwilach ciszy.
- Chciałam po raz ostatni zobaczyć to miejsce z tobą.

Podniósł wzrok. Pogrążony w rozmyślaniach, nie zwrócił uwagi, gdzie prowadzi go dziewczyna. Przed sobą miał sadzawkę odbijającą jaskrawy baldachim pomarańczowych liści. Obok strumienia leżał porośnięty mchem głaz, a kilka kroków dalej wznosił się potężny dąb z zarastającymi powoli śladami pazurów.

Uldolf zapatrzył się w rany na korze dębu. Ślady pozostaną już na zawsze, ale drzewo żyło dalej, zablizniając rany. Gałęzie rozpościerały się równie szeroko jak zawsze, liście były równie pełne życia, a konary zapraszały do wspinaczki.

- Wtedy tutaj przyszedłeś, żeby mnie znaleźć, prawda?
- Byłam taka zdezorientowana, Uldolf. Nie wiem nawet, czy potrafię to oddać słowami. Dziewczyna, którą tu znalazłeś, była częścią mnie, którą zamknęłam gdzieś w głębi siebie. Bardzo długo myślałam, że zginęła.

Uldolf wspomniawszy dawny Mejdân, pierwszych rodziców. Mógł już o przeszłości myśleć bez ogłupiającej paniki. Czuł tylko głęboki smutek.

- Zakochałam się tu w tobie - wyszeptwała Lilia.
- Ja...
- Wiem, że nigdy nie będziesz mógł mi wybaczyć - powiedziała Lilia. - Dałeś mi najszczęśliwsze chwile mojego życia, a ja tobie dałam tylko cierpienie.

Położył dłoń na jej ramieniu.

- Proszę, nie...

Po jej policzkach spływały łzy.

- Nie chcę cię już więcej krzywdzić.

Wyciągnęła rękę. Na jej dłoni leżał srebrny sztylet rękojeścią skierowany do Uldolfa.

- Weź go - wyszeptała.

* * *

Podawała Uldolfowi sztylet, czując dudnienie pulsu w uszach. Wciąż widziała złość na jego twarzy. Złość, smutek i żal.

Wziął sztylet, ostrze zabłysło między nimi. Przygotowała się na cios. Zasłużyła na to.

Zresztą, nie chciała żyć bez niego.

Ostrze drżało w jego dłoni, a ona wbiła wzrok w groźną klingę. Chciała zamknąć oczy, ale przez osiem lat odwracała się od swojego życia, odwracała się od własnych zbrodni. Przyjmie karę z pokorą. Stała bez ruchu, gdy Uldolf zamachnął się sztyletem.

On nie jest okrutny, pomyślała, gdy ostrze przecięło powietrze. Zrobi to szybko.

Jednak ostrze nie wbiło się w jej pierś. Uldolf podniósł je nad głowę i rzucił. Sztylet zamigotał w powietrzu, lecąc łukiem nad jeziorem, z pluskiem przeciął powierzchnię wody.

Fale rozbiegły się po lustrzanej tafli sadzawki. Lilia nie miała odwagi odetchnąć.

Chwyił ją za ramię, obrócił twarzą do siebie.

- Myślisz, że tego właśnie chcę?! - krzyknął. - Myślałem, że nie żyjesz! Przeze mnie! Przez miesiąc budziłem się co rano ze strachem, że w nocy odeszłaś z tego świata. - Potrzęsnał nią. - Nie chcę stracić nikogo więcej!

Patrzyła na niego otępiała.

- Minęło osiem lat i dopiero teraz mogę myśleć o tym, co się stało, nie łamiąc się pod ciężarem bólu... Wciąż zadaję sobie pytanie, jak ktokolwiek mógłby to wybaczyć.

- Tak bardzo mi przykro, Ulfie. - Dotknęła jego policzka.

- I... - przyciszył głos prawie do szeptu - jak mógłbym ci się odwdzięczyć? Za Gedima, Burthe, Hildę? - Wziął ją za rękę. - Mam wrażenie, jakby bogowie w swym okrucieństwie postanowili wyrównać rachunki równą miarą krwi.

Schylił się i pocałował ją bardzo czule.

- Wciąż cię kocham - wyszeptał, gładząc jej włosy.

- Ale odszedłeś - wyszeptała Lilia.

Odsunął się od niej i potrzęsnał głową.

- Nie chciałem cię stracić.

Otwarła usta, ale przyłożył do nich palec.

- Przeżyłaś. Wmówiłem sobie, że to wystarczy. Jednak myślę, że mógłbym patrzeć na ciebie i nie sięgnąć wzrokiem poza to coś, rozdzierała mnie na strzępy. Nie wierzyłem, że jestem dość silny, by cię kochać tak mocno zraniony.

Oboje tacy byliśmy, pomyślała Lilia.

Uldolf podszedł na brzeg sadzawki. Fale w końcu ustały, powierzchnia wody ponownie była gładka i nieruchoma.

Lilia stanęła obok niego i zobaczyła w wodzie ich odbicia.

Uldolf wymamrotał coś pod nosem. Poczula, jakby jej serce wypadło z piersi. Nie była pewna, czy dobrze go usłyszała.

- Co powiedziałaś?

* * *

Gdy popatrzył w jej oczy, kiedy podawała mu sztylet, znalazł w sobie siłę. Dostatecznie się ukarała. Prawie zginęła, by uratować jego obecną rodzinę, a mimo to oferowała mu swoje życie.

Teraz Uldolf wymówił dwa najtrudniejsze słowa, jakie przyszło mu powiedzieć.

- Wybaczam ci.

Chwyciła go za ramiona. Jej intensywnie zielone oczy lśniły, otwarte szeroko z niedowierzania.

- Co powiedziałaś?

- Wybaczam ci. - Drugi raz było to łatwiej powiedzieć.

Przyciągnął ją do siebie i powtórzył jeszcze raz:

- Wybaczam ci.

* * *

Przez tak długi czas uciekała przed przeszłością i przed samą sobą, że niepojęte dla niej było, iż ktoś mógłby się o nią troszczyć, kochać ją. Przecież odwrócił się od niej nawet jej pan.

Ale Uldolf jej wybaczył. Po tym wszystkim i tak ją kochał.

Dał jej coś, o co nigdy nie mogłaby go poprosić. Nadzieję.